Pięć mitów o polskim ubóstwie ▪ Nasiona nas ocalą ▪ Zetki kontra globalizacja
Teolog w zaświatach ▪ Zmęczenie to nie grzech ▪ DODATKI: ARS CAMERALIS I CARITAS

Kraków 29 października – 4 listopada 2025 nr 44 (3982) cena 16 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

MOC CZYTANIA
NA DNI ZADUSZNE
STRONY 12–16, 36–40, 46–48

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl



WIĘZI TRWALSZE NIŻ ŻYCIE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl c5f975f817


RAINBOW
R.pl
Wszystkie
Oblicza
Egzotyki
Dominikana
Meksyk
Kolumbia
Wenezuela
Kuba

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Część historii*

Jak co roku Dzień Zaduszny. Jak co roku cały „Tygodnik” porządkuje groby na tynieckim cmentarzu, gdzie spoczywa wiele redaktorek i redaktorów z poprzednich pokoleń. Jak co roku odczytywanie imion zmarłych i jak co roku te imiona coraz mniej mówią tym, co sprzątają. Coraz mniej, bo ci, co sprzątają, są nowi. Ja jestem stary i patrząc na nagrobne napisy, widzę w duchu tych, którzy tam leżą. Wspominam ich, bo w większości są też częścią mojej historii. Historia jak historia, nic specjalnego, ale innej nie mam i nie będę już miał. Nie wszyscy leżą tu, w Tyńcu, ale jest ich tylu – Turowiczowie, Żychiewiczowie, Malewska, Pszon, Skwarnicki, Mamoń, Kołątaj, Krzeczkowski... – że jest co wspominać. Ja będę leżał na zakonnym cmentarzu w Warszawie. Właściwie to obojętne, gdzie będę leżał. W dniu powszechnego zmartwychwstania, jeśli będziemy chcieli, to jakoś się odnajdziemy. Kto zresztą wie, jak to będzie. Nie ma co się martwić na zapas.

Dziadek wybudował na cmentarzu kaplicę z katakumbami. Wielu zmarłych z rodziny tam leży, miejsca jeszcze są, tylko że nikt nie chce tam spoczywać. Już tam nie mieszkamy, dojazd jest skomplikowany, wszyscy wolą gdzieś bliżej. W kaplicy trzyma się jakieś rupiecie, mszy się tam chyba nigdy nie odprawia. Drzwi do katakumb zacięły się i nie sposób ich otworzyć. Nie wiemy, gdzie hitlerowcy pochowali mego ojca, rozstrzelanego w egzekucji w Warszawie. W kaplicy jest pamiątkowa tablica.

Groby innych przodków rozsiane są po Polsce, wiele z pewnością już nie istnieje. Dziadek Adam, heraldyk, zrekonstruował dzieje rodziny także z tych czasów, z których grobów nie ma. Zachowała się pamięć – ale co to za pamięć: jakie urzędy ktoś pełnił, jaki majątek posiadał, co stracił, co zyskał, w jakich wojnach brał udział, za co był sądzony. „Kronika rodziny Bonieckich”, drukowany owoc niezwykłego wysiłku i rzetelności dziadka-historyka, jest sucha, niemal pozbawiona informacji o życiu codziennym dziadków i prapradziadków (jeszcze mniej jest o babkach i praprababkach). Nie ma źródeł. Ale oni jednak byli, przekazali jakiś rodzinny etos, jakieś obyczaje. Zapis w genach? W rodzinnych tradycjach.

Nie za wiele myślimy o przodkach, zwłaszcza jeśli nie mieliśmy dziadka-historyka. Nie zdajemy sobie sprawy z dziedzictwa, które często zanika pod naciskiem świata, w którym żyjemy, tak zupełnie innego (nie znaczy, że gorszego) od tego, w którym żyli oni. Pamięć zachowuje strzępy wspomnień, i to głównie naszych własnych, nie rodzinnych. Kronik rodzinnych na ogół się nie pisze.



GRAŻYNA MAKARA

Dlatego opracowane i wydane na prawach rękopisu przez moją siostrę trzy tomy rodzinnych dziejów są ważną kontynuacją tradycji. Sięgają pokolenia dziadków. W żaden sposób nie jest to dalszy ciąg kroniki dziadka Adama, nie jest wyczerpująca, ale za to jest pełna życia. Fascynująca dla tych, którzy większość wspomnianych w niej ludzi znali, ale także dla tych, którzy poznają ich zapiski, listy czy relacje o nich. Znajomość historii rodziny może kształtować dalsze pokolenia.

Dziadek Adam napisał we wstępie do „Kroniki”, że są rodziny, których udział w historii kraju był znaczący, i takie, które niczym szczególnym się nie wyróżniały. Napisał też, że nasza rodzina należy do tych ostatnich. Ale i jedne, i drugie rodziny jakoś współtworzyły świat swojej epoki. Co jednak ważniejsze, pokolenia przodków przekazały nam jakieś geny, jakieś cechy, jakieś odruchy. To od nich otrzymałem je w spadku. Które? Nie mam pojęcia. Ale z pewnością otrzymałem. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”:

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
pozytywny mit to już za mało? Potrzebujemy nowego języka polskiego patriotyzmu i niepodległości w niespokojnych czasach.

MONIKA BIAŁKOWSKA:
historia trzydziestu lat przyjaźni Karola Wojtyły z Anną-Teresą Tymieniecką i ich nieznanej dotąd korespondencji.

MICHAŁ KĘDZIERSKI:
czy kapitalizm wymusi posiadanie dzieci? Dziś oferta skrojona głównie pod indywidualne potrzeby oznacza niedobór klientów i konsumentów.

Redakcje wysyłają swoich autorów w różne miejsca na świecie. My posłaliśmy swojego człowieka w zaświaty. Oczywiście nie dosłownie. **MAREK KITA**, doktor habilitowany teologii fundamentalnej, w tekście otwierającym dział Wiara, opowiada o tym, co współczesna teologia ma do powiedzenia o życiu wiecznym. Temat niby znany, bo przecież nie ma mszy z kazaniem, podczas której nie pojawiłyby się nawiązania do niebios i do tego, co chrześcijaństwo obiecuje (i czym straszy) po śmierci. Jak dalekie bywają tymczasem te księżowskie powiastki od głównego nurtu teologii – o tym przeczytają Państwo we wspomnianym materiale.

Wzięliśmy się za życie wieczne w powodów docześnie prozaicznych. Numer, który właśnie oddajemy, ukazuje się tuż przed 1 i 2 listopada, kiedy Polska wspomina Zmarłych. Z premedytacją i bez egzaltacji sięgam po wielką literę, bo wydaje mi się tu po prostu na miejscu. Nikomu nie trzeba tłumaczyć, jak ważny to czas dla nas wszystkich. W numerze znajdą więc Państwo dwa inne teksty, w których próbujemy dotknąć istoty naszych relacji z tymi, którzy już odeszli.

ANNA GOC zapyta Państwa, czy zastanawialiście się, kim byli dla Was zmarli bliscy. Kim byście byli, gdybyście ich nigdy nie spotkali? Jaki świat oglądalibyście, pozbawieni tego wszystkiego, co Wam pokazali i powiedzieli ci, których uważacie za tak ważnych, by dotkliwie czuć ich brak?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI ruszył śladem tej pustki, do domu człowieka, który niedawno odszedł, zostawiając rodzinie i bliskim nie tylko dobre wspomnienia, ale także szczegółowy plan na swoje odchodzenie i niebycie. Ten reportaż aż migocze od zdań, które zapadają w pamięć, ale mnie szczególnie mocno utkwiło jedno. Wypowiada je starsza pani, przywieziona do łóżka umierającego syna i już nie do końca zdająca sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zapytana, czy chciałaby mu coś powiedzieć, mówi: „Ja bym mu bardzo chciała powiedzieć, ale on wygląda na takiego, co nie ma czasu”. ©℗



MAREK RABIJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

MOC CZYTANIA NA DNI ZADUSZNE



12 Więzi trwalsze niż życie
ANNA GOC
Zapach, choćby skórki pomarańczy. Wrona, która usiadła na balkonie i chwilę patrzyła w okno. Jedno zdanie: Lubię cię, wiesz?”. Wtedy wracają nasi bliscy zmarli.



36 Bądź wola twoja
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
W ponad dwudziestu punktach Sławek starannie zaplanował swoje odchodzenie oraz niebycie.



46 Piekło, niebo, czyściec, raj
MAREK KITA
Co współczesna teologia mówi o życiu wiecznym?

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS DLA „TP” // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP” // METROPOLITAN MUSEUM OF ART, NOWY JORK

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kreml traci Trumpa. Na dobre?
FILIP RUDNIK

7-11 Komentarze i wydarzenia

■ ■ TEMAT TYGODNIKA

12 Więzi trwalsze niż życie
ANNA GOC

■ ■ KRAJ

18 Stan konta i inne stany
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
obala mity o polskiej biedzie

21 Droga na manowce
JAROSŁAW FLIS:
Do czego polskim samorządom potrzebna jest wielokadencyjność?

23 Los loch
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
Polskie miasta przelewają się na tereny, które były domem dzikich zwierząt. W ten sposób stajemy się ich sąsiadami

■ ■ ŚWIAT

28 Bunt zetek
MAREK RABIJ:
Maroko, Nepal, Bangladesz – młodzież tych krajów kontestuje model rozwojowy obrany przez stare elity

31 Nasionka nas ocalą
PATRYCJA BUKALSKA:
Gdy zmienia się klimat, nadzieję dają nam nasiona: są odporne, a niektóre mogą przetrwać nawet kilkaset lat

34 Ministerstwo chałtury
TOMASZ OTOCKI:
Litewska kultura boleśnie zderzyła się z tamtejszą polityką

■ ■ REPORTAŻ

36 Bądź wola twoja
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ WIARA

46 Piekło, niebo, czyściec, raj
MAREK KITA

FESTIWAL CONRADA 2025



ALICJA RZEPA / FESTIWAL CONRADA

82
Nadzieja radykalna
MICHAŁ SOWIŃSKI
Podsumowanie zakończonego festiwalu Conrad 2025

■ EKSTRA STRONY ■

41 DODATEK ARS CAMERALIS
55 DODATEK CARITAS
68 DODATEK CENTRUM NAUKI KOPERNIK

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
26 OLGA DRENDA **52** ZUZANNA RADZIK
84 PAWEŁ BRAVO **90** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS DLA „TP”

49 Zaklęcie na trzy litery
JAN MACIEJEWSKI *przybliża postać kard. Johna Newmana*

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

60 Z Bieszczad pod Bachmut
ANTONINA PALARCZYK *o losach Bojków, których w 1951 roku wywieziono z bieszczadzkich wsi do Donbasu*

■ ■ NAUKA

64 Nowy kosmiczny wyścig
WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
O rywalizacji między USA i Chinami o panowanie w kosmosie

■ ■ KULTURA

70 Wielka lekcja
KATARZYNA KUBISIOWSKA *rozmawia z reżyserem i scenarzystą* PIOTREM DUMAŁĄ

74 Wyjedź z tego miasta
MICHAŁ WALKIEWICZ:
Twórcy gry „Silent Hill” stworzyli oniryczny poemat grozy

77 Po co nam Adam
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Młody polski teatr bierze się za nasz poemat narodowy

80 Bez uproszczeń
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na filmy „Miłość” Daga Johana Haugeruda i „Być kochaną” Lilji Ingolfsdottir*

81 Głos wolny
LEKTOR
o książce Jurija Andruchowycza „Listy do Ukrainy”

■ ■ PSYCHE

86 Być zmęczonym to nie wstyd
JACEK TARAN *rozmawia* z psychoedukatorką MARTĄ MŁYŃSKĄ: *Świat potrzebuje nas żywych, a nie półprzytomnych z przepracowania*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 54

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ TYGODNIA

KREML TRACI TRUMPA. NA DOBRE?

Administracja Bidena była ostrożna w zakresie sankcji dotyczących sektora naftowego, bo bała się wzrostu cen ropy w trakcie kampanii wyborczej. Trump robi właśnie radykalny zwrot w swojej polityce – i może pójść na całość.

FILIP RUDNIK

POWYŻEJ:
Trump wprowadził sankcje i ruszył w podróż po Azji, unikając spotkania ze specjalnym wysłannikiem Putina. Na zdjęciu: Kuala Lumpur, 27 października 2025 r.

Marchewka nic nie dała, Trump sięgnął więc po kij. Po miesiącach zwlekania i hamletyzowania, USA wprowadziły nowe sankcje wobec Rosji. Nałożono je na dwa największe rosyjskie koncerny naftowe: Rosnieft i Łukoil. Łącznie wydobywają one co drugą baryłkę krajowej ropy. To giganci, generujący znaczną część dochodów Rosji. W 2024 r. sam Rosnieft odpowiadał za 17 proc. wpływów jej budżetu.

Wraz z ograniczeniami z czasów Bidena, sankcjami USA objęto trzy czwarte rosyjskiego wydobycia ropy, a więc 7 proc. globalnego rynku tego surowca.

DOLAR JAKO BROŃ | W myśl zapisów sankcyjnych, od 21 listopada (do tego dnia trwa okres przejściowy) Stany zakazują jakichkolwiek transakcji z oboma wspomnianymi koncernami. Sankcje te są eksterytorialne, działają na całym świecie. USA mogą z automatu objąć nimi każdy podmiot, który wchodzi we współpracę z Rosjanami. To tzw. sankcje wtórne, a ich siła stanowi wypadkową pozycji dolara i opartego na nim systemu rozliczeń. Gdy USA wpisują na listę sankcyjną jakiś podmiot, odłączają go od zachodniego obiegu pieniądza. Traci on możliwość operacji na globalnych rynkach.

Z sankcjami USA liczą się więc wszyscy. I o ile Chiny starają się odizolować handel z Rosją od ingerencji USA, to dla Indii i Turcji – ważnych odbiorców rosyjskiej ropy – tworzą one duży dylemat. Oba kraje zarabiają na kupowaniu rosyjskiej ropy i sprzedawaniu jej dalej na zachodnie rynki w formie paliw. Ignorowanie sankcji nie wchodzi w grę. Indyjska firma Reliance, mająca największą rafinerię świata, już zapowiada rewizję portfela dostaw.

Nowe sankcje USA wywracają też sytuację w Europie. Na prawach wyjątku od unijnego embarga, Słowacja i Węgry wciąż importują rosyjskie węglowodory. Objęcie sankcjami USA kluczowych eksporterów z Rosji zawęża im tę możliwość. Pod znakiem zapytania stoi też los europejskich rafinerii, które wciąż formalnie należą do rosyjskich spółek – w Niemczech, Rumunii i Bułgarii.

SANKCJE DZIAŁAJĄ | Rynek zareagował błyskawicznie: cena baryłki wzrosła z 60 do 66 dolarów. Jednocześnie, ze względu na swą „toksyczność", tanieje ropa z Rosji. To zła wróżba dla rosyjskich koncernów. Jeśli presja USA poskutkuje i obecni odbiorcy odwrócą się od Rosji, jej sektor naftowo-gazowy znajdzie się pod ścianą – nie będzie komu sprzedawać. Przejąć „niczyje" baryłki zawsze mogą Chiny, w ramach budowania swych gigantycznych rezerw, ale nie zrobią tego po cenie rynkowej – kupią taniej.

Tymczasem kondycja rosyjskiej branży jest daleka od dobrej, a poprawy próżno wypatrywać. Koncernom nie udało się wrócić do poziomu produkcji sprzed lutego 2022 r., nie wspominając o wskaźnikach finansowych. Obserwowane od początku 2025 r. spadki cen ropy owocują obniżeniem zysków: w pierwszej połowie roku sektor notował przychody o połowę mniejsze niż przed rokiem. Sankcje powodują, że rosyjska ropa jest tańsza niż ropa innych producentów.

CIOS W BUDŻET | Swoją rolę odgrywa też Unia Europejska, deklarująca całkowite odejście od rosyjskich węglowodorów do 2028 r. Przyjęty dzień po sankcjach Trumpa 19. pakiet unijnych sankcji przyspiesza proces derusyfikacji, zapowiadając zakaz importu rosyjskiego gazu skroplonego (LNG) od 2027 r. Paliwo to jest wciąż sprowadzane przez zachodnioeuropejskie podmioty i wyładowywane we Francji czy Hiszpanii.

Wszystko to negatywnie wpływa na dochody naftowo-gazowe Rosji, stanowiące ok. 30 proc. budżetu. Przez dziewięć miesięcy 2025 r. zebrano ich o jedną piątą mniej niż przed rokiem, co przy rosnących wydatkach na wojnę jest złą wieścią. Z braku innej opcji, koszty są przerzucane na Rosjan: rok temu podwyższono podatek dochodowy, a od 2026 r. wzrośnie VAT. I to mimo wcześniejszych obietnic Putina, że nie podniesie obciążeń do 2030 r.

OCZAMI KREMLA | W reakcji na woltę Trumpa, Putin robi dobrą minę do złej gry. Mówi, że nowe sankcje „nie będą miały znaczącego wpływu, zwłaszcza na nasz dobrobyt gospodarczy". Gdy to mówił, w drodze do USA był już Kirył Dmitriew, specjalista od „kuszenia" Amerykanów – co przeczy tezie, jakoby sankcje nie miały znaczenia. Miał namawiać do wznowienia dialogu, ale nastawienie Białego Domu jest wyraźnie chłodniejsze.

Gra negocjacyjna toczy się o wysoką stawkę, ale aspekt ekonomiczny nie jest tu najważniejszy. Rosjanie poważnie boją się, że „stracą" Trumpa. Uważają, że jego opór przed wzmocnieniem nacisku na Moskwę brał się z charakterologicznej niechęci do takich kroków, z obawy przed pogorszeniem relacji z Putinem. Stąd zdziwienie, jakie zapanowało na Kremlu.

Z punktu widzenia władz Rosji utrata przychylności prezydenta USA byłaby katastrofą – stanowi ona bowiem potężne narzędzie, jakie im się trafiło nieco przypadkiem. Dotąd skwapliwie z niego korzystali.

STARCZY KONSEKWENCJI? | Zwracając się do przedstawicieli establishmentu USA, Dmitriew apelował, by nie byli „Bidenami" i nie powtarzali wrogich działań poprzedniego prezydenta, który zacieśniał pętlę sankcyjną. Faktycznie, Trump nie powinien działać wobec Rosji jak Biden. Poprzedni prezydent był ostrożny w zakresie sankcji na ropę, bo bał się wzrostu jej ceny w trakcie kampanii. Teraz Waszyngton może pójść na całość.

Jednak wybijanie zębów machinie wojennej Kremla, która niszczy Ukrainę, to proces żmudny. Aby sankcje się do tego przyczyniły, Stany muszą konsekwentnie ścigać tych, którzy je łamią. Do tego potrzebna jest determinacja głównodowodzącego – Donalda Trumpa. Ten zaś, jak wiemy, jest zmienny w swoich poglądach. W przeszłości byliśmy świadkami, że wystarczył jeden telefon Putina, by wywrócić wcześniejsze ustalenia.

Wycofując sankcje bądź nie wypełniając ich zapisów, Trump osłabiłby wiarygodność USA. Pozostaje nadzieja, że nie poświęci powagi gwiaździstego sztandaru dla swych relacji z Putinem. ©

ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES



Kasa i kosmos

MAREK KĘSKRAWIEC

Sobotnie kongresy polskiego duopolu odbyły się w cieniu zaskakujących sondaży. W badaniu CBOS prowadzi KO (28,4 proc.), ale partia premiera Tuska nie ma powodów do radości, bo „utopiła" pod progiem wszystkich swych koalicjantów. Tymczasem prawica (PiS, Konfederacja, Braun) zbiera nad progiem 43,9 proc. poparcia. Z kolei w badaniu OGB Koalicja Obywatelska zgarnia aż 38,1 proc., niemal jak PiS za najlepszych lat, ale ma podobny problem – choć odskoczyła partii Kaczyńskiego na 8 pkt. proc., to znowu nie miałaby z kim rządzić, bo wchłonęła elektorat reszty „antypisu", lądującego pod progiem. Prawica zaś znowu zdobywa większość – ponad 51 proc. Rządzącym byłoby łatwiej, gdyby startowali z jednej listy, ale wtedy poparcie się nie sumuje aż tak korzystnie.

W takiej atmosferze Kaczyński organizuje w Katowicach zjazd: 500 stron dokumentów, 120 paneli, 600 gości. Można się śmiać, że za kwestie konstytucyjne odpowiadała Przyłębska, a za media Kania z Kurskim. Oznacza to jednak, że jeśli PiS odzyska władzę, obuchem potraktuje media publiczne, sędziów, a na dokładkę lekarzy; tych ostatnich ku ponurej satysfakcji niejednego pacjenta, któremu za chwilę NFZ – płacący krocie szpitalom za zabiegi – przesunie termin operacji.

To główne pola konfrontacji, ale w tle pojawiają się kolejne plany okiełznania demokracji, jaką znamy. PiS chce systemu kanclerskiego albo prezydenckiego, z jasnym ośrodkiem decyzyjnym władzy wykonawczej. Spodziewany jest też kurs antyzachodni i antyunijny. Droga do realizacji tych planów ma być okupiona programami drenującymi budżet: 40 tys. zł za pierwsze dziecko, 100 tys. za trzecie, oraz 500 zł dla każdego Polaka.

Bardzo to populistyczne, ale zarazem konkretne i łatwe do ubrania w hasła. Na dodatek: „jak PiS coś obiecuje, to dowozi".

Tak myśli wielu wyborców, także tych, którzy czują zawód, patrząc na poziom realizacji „stu konkretów" KO. I dlatego jej sobotnia konwencja zjednoczeniowa była tak ważna. Mimo że zjazd nie miał wielkiego rozmachu, to sam Tusk przypominał siebie z jesieni 2023 r. i dobrze punktował niebezpieczeństwa powrotu PiS do władzy. Tylko czy skusi Polaków, mówiąc o „polskiej obecności w kosmosie" i centrum operacji satelitarnych? Na razie, jeśli PiS miałby się o coś przewrócić, to raczej nie o plany KO, ale o wewnętrzne walki, możliwe spory z prezydentem i bzdury wygadywane przez własnych radykałów. ©℗



Rzeczy nie do końca nowe

EDWARD AUGUSTYN

W cieniu królewskiej wizyty zniknęły dwa wydarzenia, które pokazują, że szary i mało wyrazisty pontyfikat Leona XIV nabiera kolorów.

Spotkanie z Karolem III było ważne ze względów historycznych i ekumenicznych – po raz pierwszy przywódcy obu Kościołów modlili się razem i ogłosili się „współbraćmi". Ale najważniejsze, a na pewno najbardziej radykalne przemówienie pontyfikatu papież wygłosił kilka godzin później.

Przedstawicieli ruchów ludowych zaprosił do Watykanu Franciszek – po raz pierwszy w 2014 r. i ponownie dwa lata później. Traktowano to jako wyraz „lewicowego skrzywienia" argentyńskiego papieża. Ku zaskoczeniu wielu Leon XIV ponowił zaproszenie. Witając działaczy społecznych z najbiedniejszych krajów świata, przypomniał, że z ruchem spotkał się w Peru i w pełni solidaryzuje się z jego żądaniem „ziemi, domu i pracy". A także, że swoim imieniem chciał przywołać pamięć o papieżu, który pod koniec XIX w. stanął w obronie robotników, pisząc w encyklice o „pragnieniu rzeczy nowych" („Rerum novarum"), że to właśnie oni ponoszą największy koszt rewolucji przemysłowej i wprowadzania technologicznych nowinek.

Analogia do współczesnej sytuacji jest oczywista – mówił Leon XIV. Państwa i globalne koncerny nadal bogacą się kosztem najbiedniejszych, prowadząc rabunkową gospodarkę surowcową, rozpętując wojny o złoża metali ziem rzadkich, handlując bronią, przyczyniając się do katastrofy klimatycznej (którą najmocniej odczuwają mieszkańcy najuboższych regionów), dopuszczając się „poważnych przestępstw wobec emigrantów pod pretekstem obrony suwerenności narodowej" czy kumulując zyski z nowych technologii cyfrowych (media społecznościowe, e-hazard, kryptowaluty) i farmaceutycznych (rozpowszechnianie fentanylu). Dajemy ludziom namiastki dobrobytu, zamiast zadbać o dobra podstawowe, jakimi wciąż są „ziemia, dom i praca" – przestrzegał papież. Co w ustach ostrożnego i ważącego słowa Leona XIV brzmiało jeszcze dobitniej niż za jego poprzednika.

Zaskakująca była też odpowiedź, udzielona kolejnego dnia, podczas spotkania z ekipami synodalnymi. Zapytany o równość płci w Kościele, Leon XIV potwierdził, że trwają studia nad możliwością święceń diakonatu dla kobiet, dodając, że zbyt często „nasze wyrażanie wiary uwarunkowane jest kulturą, a nie wartościami ewangelicznymi".

Spojrzenie na świat z perspektywy peryferii i zrównanie praw kobiet to nie są „rzeczy nowe". Choć w Kościele wciąż traktowane jak nowinki. Leon XIV, włączając je do agendy swojego pontyfikatu, ma szansę to zmienić. ©℗



SAMIR HUSSEIN / WIREIMAGE / GETTY IMAGES

Królowa Kamila i król Karol III na spotkaniu papieżem Leonem XIV. Watykan, 23 października 2025 r.



Nie będzie niczego

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wszystko wskazuje na to, że jeden z dłuższych – i nudniejszych – seriali polskiej polityki, czyli próby uchwalenia prawa o związkach partnerskich, potrwa jeszcze trochę. Szef Kancelarii Prezydenta RP Zbigniew Bogucki zasugerował w rozmowie z money.pl, że Karol Nawrocki rozważyłby podpisanie nowej ustawy, gdyby nie godziła ona – w odczuciu głowy państwa – w chronioną konstytucyjnie instytucję rodziny.

Problem jednak w tym, że w optyce prezydenta i prawicy w rodzinę godzi niemal każdy zapis próbujący powołać do życia nowy status związku. Nie tak dawno Lewica i PSL ogłosiły triumfalnie koalicyjne porozumienie w tej sprawie, prezentując założenia do prawa, które nawet w nazwie – „ustawa o statusie osoby najbliższej" – miało być kompromisem i nie ranić konserwatywnych uczuć ludowców. Ustawa, okrojona także m.in. o postulowane przez zwolenników nowego prawa tzw. przysposobienia wewnętrzne (chodzi o możliwość wzięcia odpowiedzialności przez drugą osobę w związku za biologiczne dziecko partnerki/partnera), nie zyska jednak aprobaty prezydenta ze względu na zapis o możliwości wspólnego opodatkowania partnerów.

W całym tym serialu słowem kluczem, wbrew przymiotnikowi zawartemu w nowym tytule ustawy, jest słowo „oddalenie".

Po pierwsze, ideowe oddalenie od siebie koalicjantów, którzy potrzebowali niemal dwóch lat, by wypracować wspólne rozwiązanie. A gdy już w końcu je wypracowali, okazało się, że z pierwotnych postulatów środowisk czekających na związki partnerskie niewiele zostało.

Po drugie, oddalenie konserwatywnych polityków od ich własnych elektoratów. W 2024 r. CBOS ogłosiło, że związki partnerskie tej samej płci popiera już więcej niż połowa Polaków (52 proc.), przy ledwie 33 proc. dekadę wcześniej. Inny sondaż z tego samego roku, zrobiony przez Ipsos dla OKO.press i TOK FM, pokazał z kolei, że aż 69 proc. z nas skłonnych jest zaakceptować wewnętrzne przysposobienia. Co więcej, zgody na takie rozwiązanie udzielała nawet nieco ponad połowa zwolenników PiS i Konfederacji.

Cóż z tego, skoro ustawy – nawet okrojonej – nie chce prezydent. W praktyce może to oznaczać, że Polska, będąca jednym z ostatnich europejskich krajów bez podobnych uregulowań, pozostanie nim na lata. Skoro nowego prawa nie udaje się uchwalić przy obecnym układzie sił, trudno to sobie wyobrazić przy jakimkolwiek innym. ©℗

NA PUNKTY

EMERYTURA
„Ojczyzna nie rozpieszcza byłych prezydentów” – skomentował Bronisław Komorowski doniesienia o wejściu przez Andrzeja Dudę w skład rady nadzorczej jednej z firm zajmujących się innowacjami technologicznymi. Pogłoski, że Agata Kornhauser-Duda ma znaleźć zatrudnienie w NBP, zostały zdementowane.

GRZYWNA
Sąd skazał TVN na 6 tys. zł grzywny za nielegalną reklamę alkoholu na antenie. Dla byłych prezydentów taka kwota to mniej więcej połowa miesięcznej emerytury.

POSTÓJ
Z powodu przejścia na czas zimowy pociągi Intercity zatrzymały się na godzinę. Przeżywamy to co roku, podobnie jak apele – płynące zwłaszcza z PSL – o odejście od tej „niepotrzebnej i szkodliwej” (jak to ujął Władysław Kosiniak-Kamysz) rutyny.

ZYSK
À propos szybkich pociągów: politycy PiS tuż przed oddaniem władzy zgodzili się na zbycie kluczowych dla budowy CPK 160 hektarów państwowej ziemi – podaje Wirtualna Polska. Wartość działki ma wzrosnąć kilkunastokrotnie. ©℗



Szkoła bez wyjścia

JACEK TARAN

Zmiana w sposobie rozliczania godzin ponadwymiarowych, wprowadzona nowelizacją Karty Nauczyciela, wzbudziła niezadowolenie wśród nauczycieli. Uważają, że to kolejne działanie ministry Barbary Nowackiej (na zdjęciu), które nie uwzględnia realiów szkolnej codzienności.



Zgodnie z nowymi zasadami o wynagrodzeniu za zaplanowane lekcje w godzinach ponadwymiarowych decyduje ich rzeczywista realizacja. Oznacza to, że nauczyciel, który w danym czasie nie prowadzi zajęć, ponieważ jego klasa uczestniczy w wycieczce z innym pedagogiem, traci wynagrodzenie za tę godzinę, pomimo swojej gotowości do pracy. Uściślijmy: zasada nie dotyczy godzin wpisanych w pensum.

W efekcie nauczyciele wycofują się z organizowania wyjść poza szkołę. Wycieczki czy wizyty w muzeach, będące ważną częścią edukacji, stają się obciążeniem towarzyskim i organizacyjnym. Nauczyciele w Opolu wystosowali list otwarty do władz miasta, w którym deklarują wycofanie się z uczestnictwa w miejskich wydarzeniach kulturalnych. Nie można im się dziwić – kiedy decyzja jednej osoby wpływa na zarobki drugiej, pojawia się obawa przed konfliktami. Takie rozwiązania podkopują poczucie wspólnoty, zachęcają do bierności i sprzyjają nieufności.

Do głosu nauczycieli przyłącza się branża turystyczna i placówki kulturalne. Europejskie Stowarzyszenie Przedsiębiorców Turystycznych apeluje o niezwłoczne wypracowanie sprawiedliwych zasad wynagradzania nauczycieli. Swój list otwarty w tej sprawie wystosował też Teatr dla Dzieci i Młodzieży z Gniezna.

Trudno odmówić nauczycielom racji, kiedy mówią, że edukacja wymaga współdziałania. Jeśli system wynagradzania może prowadzić do konfliktów i rezygnowania z działań edukacyjnych, to problem nie dotyczy jedynie finansów. Dotyka istoty szkolnej misji: uczenia poprzez doświadczenie, spotkanie, uczestnictwo.

Na koniec zostaje wrażenie, że analiza skutków została tu uznana za etap zbędny. Edukacja, która żyje zaufaniem i współpracą, źle znosi takie pominięcia. ©℗

MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS



Jak związkowcy koksują Polskę

MAREK RABIJ

Polska od lat wydobywa węgiel, którego nie potrzebuje. Teraz nieopłacalna stała się także eksploatacja złóż jedynej jego odmiany, która była jeszcze faktycznie przydatna gospodarce. Mowa o węglu koksującym, niezbędnym przy produkcji stali.

Największy europejski producent tego surowca, Jastrzębska Spółka Węglowa, padła ofiarą przeceny tego surowca na rynkach międzynarodowych, który w ciągu dwóch ostatnich lat potaniał o 30 proc. Po pierwszym półroczu firma ma ponad 2 mld zł pod kreską i już wiadomo, że nie wyjdzie z tego zakrętu bez pomocy państwa. W ub. tygodniu minister energii Miłosz Motyka wpisał JSW na listę podmiotów, które mają zostać objęte tzw. Nowym Mechanizmem Wsparcia w ramach projektu noweli ustawy górniczej. Decyzja oznacza, że firmę czeka restrukturyzacja, a 30 tysięcy jej pracowników dostanie świadczenia osłonowe. Rozważane jest także włączenie JSW do Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Z wypowiedzi związkowców wynika tymczasem, że na restrukturyzację się nie zgodzą. Ich zdaniem problemy spółki mają charakter przejściowy i wynikają ze złego zarządzania. Niedawny pożar należącej do firmy kopalni węgla kamiennego Knurów-Szczygłowice miał osłabić jej zdolności produkcyjne. Firma ma też zatrudniać zbyt wiele osób w administracji, zamiast tworzyć etaty dołowe. Poza tym rząd powinien „oddać” jej 1,6 mld zł składki solidarnościowej, pobranej w 2023 r., kiedy JSW była jeszcze na plusie.

Opowieść o sytuacji spółki będzie jednak niekompletna bez informacji o tym, że tylko w okresie węglowej *prosperity*, czyli w latach 2022-23, pensje w JSW wzrosły o 30 proc. W ub. roku, który JSW zamknęła już z ponad 7 mld zł straty, prawie 70 organizacji związkowych działających w firmie wywalczyło 14. pensję oraz nagrodę roczną! Uzwiązkowienie w JSW sięga 150 proc., co oznacza, że wielu pracowników należy do więcej niż jednej organizacji, a same związki licytują się, który wywalczy więcej. ©℗

Nie jest to sukces feministek. Japonia coraz mocniej skręca na prawo

JAPONIA ▪ Na czele rządu w Tokio stanęła – po raz pierwszy w japońskiej historii – kobieta: 64-letnia Sanae Takaichi. Zanim to się stało, przez chwilę nie było wiadomo, czy do tego dojdzie. Po tym, jak Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP) wybrała Takaichi na swoją liderkę, koalicję rządową opuściła konserwatywna partia Kōmeitō i w efekcie LDP w pośpiechu musiała szukać poparcia u innego prawicowego ugrupowania, Nippon Ishin.

W Japonii, która jest na 118. miejscu na 148 państw w rankingu Gender Gap Report (to indeks równości płci), wybór kobiety na stanowisko premiera nie jest bez znaczenia – ale nie jest to zwycięstwo feminizmu. Takaichi reprezentuje skrajnie prawicowe skrzydło swej partii i rozczaruje tych, którzy spodziewają się po niej – jako kobiecie – bardziej prospołecznej polityki.

Jedna z pierwszych zmian, które proponuje nowy rząd, to zniesienie limitu dozwolonych nadgodzin – choć Japończycy należą do najbardziej zapracowanych narodów. Takaichi ostro sprzeciwia się legalizacji małżeństw jednopłciowych i umożliwienia małżonkom pozostania przy różnych nazwiskach. Odrzuca też nowelizację prawa tak, by na cesarskim tronie mogła zasiąść kiedyś kobieta.

W swej pierwszej przemowie w parlamencie Takaichi obiecała, że jako priorytet potraktuje rosnące koszty życia. Jednak kilka dni wcześniej jeden z ministrów przyznał, że rząd nie będzie działać na rzecz obniżenia cen ryżu, które wzrosły niemal dwukrotnie przez ostatnie dwa lata. W planach jest też podwyżka podatków i zmniejszenie refundacji niektórych leków.

Takaichi chce za to zwiększyć wydatki na zbrojenia, argumentując to chińskim zagrożeniem, i kontynuować starania LDP o zniesienie 9. artykułu konstytucji, który zabrania państwu posiadania sił zbrojnych (choć w istocie Siły Samoobrony są armią z prawdziwego zdarzenia; artykuł ten jest pokłosiem XX-wiecznego japońskiego militaryzmu).

Mimo zapewnień, że rząd skupi się na ekonomii, możemy spodziewać się powolnego skrętu LDP w stronę jeszcze mocniejszego nacjonalizmu. Takaichi regularnie odwiedza kontrowersyjny chram Yasukuni, w którym czczeni są też zbrodniarze wojenni, i wcześniej brała udział w budowaniu narracji negującej japońskie zbrodnie wojenne.

Aby przekonać do siebie skrajną prawicę, w tym rosnącą w siłę ultrapopulistyczną partię Sanseitō, LDP coraz mocniej uderzać będzie prawdopodobnie w antyimigranckie tony (imigranci to dziś 3 proc. społeczeństwa). Wbrew nadziejom zachodnich obserwatorów, Sanae Takaichi – jako protegowana Shinzō Abego (wieloletniego nestora LDP) i fanka Margaret Thatcher – zapewne nie uzna poprawy jakości życia japońskich kobiet za swój priorytet.

© KAROLINA BEDNARZ

Autorka jest japonistką, wydała książkę „Kwiaty w pudełku. Japonia oczami kobiet”.



HOW HWEE YOUNG / AFP / EAST NEW

Premierka Japonii Sanae Takaichi na szczycie Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej w Kuala Lumpur. Malezja, 26 października 2025 r.

Alergie i orzeszki

ZDROWIE ▪ Wszyscy chyba słyszeliśmy o alergii na orzeszki ziemne. Wyraźnie oznaczony jest każdy produkt, który mógł mieć z nimi styczność. W sklepach z artykułami BHP można kupić tabliczki ostrzegawcze „Uwaga, orzeszki!”. Niektóre organizacje medyczne zalecały kobietom w ciąży, aby unikały spożywania fistaszków jak alkoholu. Okazuje się, że ta nasza nadwrażliwość może sama napędzać problem.

W 2009 r. ruszył eksperyment o nazwie LEAP. 640 dzieci w wieku 4-11 miesięcy, „typu alergicznego” (egzema, alergia na jajka, łagodna reakcja na orzeszki w teście skórnym itp.), przydzielono losowo do dwóch grup. Połowę całkowicie chroniono przed orzeszkami, a połowie celowo je podawano. W 2015 r. ogłoszono, że kontakt z orzeszkami zmniejszył częstość występowania alergii – i to mocno, bo z 14 proc. do 2 proc.!



MATES / ADOBE STOCK

W następnych latach kolejne organizacje medyczne dołączały do rewolucji: nie chrońmy „na zapas” dzieci przed orzeszkami! Teraz, 10 lat później, w czasopiśmie „Pediatrics” opisano społeczne skutki tej zmiany: nowe rekomendacje chyba działają, a dzieci są coraz mniej alergiczne. Hm, a może ta sama logika zadziała w przypadku owoców morza, jaj, sezamu?

To część ogólniejszego trendu. W latach 80. XX w. sformułowano hipotezę, że nadmierny poziom higieny zwiększa chorobliwość dzieci. Dziś wiemy, że jest w tym trochę prawdy. Przykładowo, dezynfekcja rąk bez naprawdę dobrego powodu może nam zaszkodzić. Są już wstępne badania szkód, jakie w ostatnich latach wyrządziliśmy swojemu mikrobiomowi, lejąc na ręce hektolitry płynów dezynfekujących. Tylko czym jest „naprawdę dobry powód”?

W całych Stanach rocznie ok. 4 osoby, spośród 6 milionów alergików, umierają wskutek kontaktu z orzeszkami – choć ich przypadkowe spożycie jest względnie częste. Już w 2006 r. na łamach czasopisma medycznego „BMJ” padło pytanie, czy nie jest to przypadek rozdmuchanego ryzyka, wywołującego więcej szkód niż pożytku? A może społeczeństwo też może wpaść w ów stan nadwrażliwości na początkowo niegroźną rzecz, powodujący przesadną, ostatecznie szkodliwą reakcję, tzw. reakcję alergiczną?

©℗ ŁUKASZ LAMŻA



MSN / MATERIAŁ PRASOWY

„Chłopiec i orzeł” Mirosława Bałki na wystawie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Patriotyzm, sztuka, pieniądze

AUKCJE ▪ Przed kilkoma dniami na licytacji w domu aukcyjnym Desa Unicum za 1,5 mln zł sprzedano „Chłopca i orła” Mirosława Bałki. Powstała w 1988 r. rzeźba stała się jedną z ikonicznych prac w kolekcji warszawskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Była kilkakrotnie wystawiana, ale nigdy nie była jego własnością. W 2008 r. zdeponowała ją Fundacja Egit, która w ubiegłym roku poinformowała, że wycofuje pracę Bałki. Jednocześnie złożyła propozycję sprzedaży rzeźby do kolekcji MSN-u. Muzeum wystąpiło do MKiDN o dotację w wysokości 1,35 mln zł na wykup depozytu. Nie uzyskała jednak pełnego wsparcia, a zaproponowana przez muzeum kwota 850 tys. zł została przez właścicieli odrzucona. Ostatecznie „Chłopiec i orzeł” trafił na aukcję, wycofanie zaś rzeźby, a następnie jej sprzedaż wywołała ostre kontrowersje. Zbiory Fundacji Egit, o czym wielokrotnie mówiono, miały być bowiem zalążkiem Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Dodatkowo członkinią zarządu fundacji jest Anda Rottenberg, znana i ceniona krytyczka, kuratorka oraz pomysłodawczyni stworzenia warszawskiego muzeum.

Sprawa „Chłopca i orła” dobitnie przypomina o skomplikowanych relacjach zachodzących między rynkiem sztuki a instytucjami publicznymi. Obecność dzieła w muzeum w formie depozytu, jego wystawianie, prezentacja w muzealnych katalogach znacząco wpływa na jego cenę rynkową. Instytucja publiczna swym autorytetem i prestiżem niejako potwierdza wartość tego obiektu oraz nadaje mu rozpoznawalność. Dlatego też MSN w wydanym oświadczeniu podkreślił, że tylko zakupy i dary zapewniają trwałość i stabilność zbiorów. W związku z tym wiele muzeów, w tym MSN, „ogranicza lub rezygnuje z depozytów w swoich kolekcjach”. Trzeba też pamiętać, że to muzeum ponosi koszty przechowywania oraz konserwacji depozytów – dlatego do Fundacji Egit zwrócono się z prośbą o zwrot kosztów związanych z konserwacją i magazynowaniem pracy Bałki.

Muzea są także beneficjentami: mają w swoich zasobach dzieła, które z różnych powodów, także cenowych, są poza ich zasięgiem. Zyskuje publiczność. Dlatego nawet najważniejsze muzea przyjmują depozyty. Łatwo oburzać się na właścicieli dzieł, że wycofują depozyty z muzeum i chcą je sprzedać, ale nie jest to nowa sytuacja i wiele muzeów na świecie wypracowało już sposoby radzenia sobie z wycofywaniem depozytów. Jednak tu jest potrzebna aktywność państwa. Poprzedni rząd dotował zakupy do zbiorów publicznych. Były wśród nich nabytki nietrafione, błędne, a ceny – czasem nieadekwatne do ich wartości. Jednak przełamano trwający całe dekady imposybilizm. Po zmianie władzy powołano komisję ekspercką opiniującą zakupy do muzeów, które podlegają MKiDN.

Pozostaje jednak kluczowe pytanie: czy polskie państwo nadal będzie wspierać zakupy do zbiorów publicznych? Rząd ma problemy budżetowe, są inne pilne wydatki. Ale to są także ważne inwestycje, bo to m.in. muzea budują naszą tożsamość. Na tworzenie narodowych kolekcji sztuki w tym roku wydaliśmy równowartość kosztów budowy... 217 metrów drogi ekspresowej. © PIOTR KOSIEWSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

WIĘZI TRWALSZE NIŻ ŻYCIE

Zapach, choćby skórki pomarańczy. Wrona, która usiadła na balkonie i krótką chwilę patrzyła w okno. Jedno zdanie: „Lubię cię, wiesz?”. Wtedy wracają.

ANNA GOC



A może są z nami częściej, niż sądzimy. We wrażliwości, której nas nauczyli. W rzeczach, które zostawili. W myślach, które przychodzą, gdy za nimi tęsknimy.

I w rozmowach. Choć tych potrzebujemy więcej.

ZDANIA | Ma w pamięci zwłaszcza trzy: „Nieważne co, ważne, że razem", „tata siłacz" i jedno z ostatnich: „lubię cię, wiesz?".

Michał miał wtedy cztery lata i niechętnie się przytulał. Nie to co Karol, jego starszy o dwa lata brat. Był sierpień 2022 r. Chłopcy właśnie zasnęli. Filip Tarachowicz powiedział żonie Paulinie, że przyjęcie urodzinowe Michała powinni wyprawić jutro. Przeczuwał, że muszą się spieszyć. Pobiegł do sklepu po składniki na tort, przystroili dom, zapakowali prezent.

Kilka miesięcy wcześniej odebrali telefon z przedszkola, że Michał zwymiotował. Przez kolejne dni obserwowali syna – był częściej śpiący, mniej chętnie się bawił. Po tygodniu lekarz skierował Michała do szpitala. Tomografię zrobili od razu, Paulina zadzwoniła w nocy, że to guz mózgu. W poznańskim szpitalu zorganizowali transport do warszawskiego Centrum Zdrowia Dziecka. Michałowi powiedzieli, że ma „kulkę w głowie" i że trzeba ją wyciąć. Kilkugodzinna operacja i kolejna diagnoza: rak mózgu, bardzo złośliwy. Kilka tygodni po operacji Michał stracił przytomność. Rezonans magnetyczny i znów diagnoza: rozsiew nowotworu.

ROZMOWY | Czwarte urodziny Michała były w sierpniu, ale wtedy byli w szpitalu. Między chemioterapiami wrócili do poznańskiego mieszkania i wtedy postanowili je wyprawić.

Na jednym ze zdjęć zdmuchują świeczki na torcie. Na nagraniu uchwycili rozmowę braci. Karol powiedział, że Michał jest jego królewiczem i że będzie miał go w sercu. A Michał, że zawsze będzie się o Karola troszczył.

Chwilę wcześniej Michał złapał tatę za rękę, jak nie on, pogłaskał i powiedział: „Lubię cię, wiesz?".

SENS | – Czy w tym wszystkim jest jakiś sens? – pyta Filip. – Nie, nie ma. Najmniejszego.

Ani w tym, że kolejnego dnia po przyjęciu urodzinowym musieli wracać do szpitala, bo Michał w nocy stracił przytomność. Przestał mówić, więc szeptali mu na ucho, że tam, dokąd pójdzie, nie ma lekarzy, ale są za to prababcia, która na niego czeka, i inne dzieci, które poznał w szpitalu. I że oni z Karolem też tam przyjdą, choć jeszcze nie teraz.

Ani w tym, że gdy dziecko umiera, kąpie się je i ubiera. A potem pomaga włożyć do dwumetrowego zasuwanego worka, zdecydowanie za dużego na małe ciało.

Ani w tym, że po śmierci robi się cicho. Sprzęt podtrzymujący życie przestaje działać, bliscy, lekarze i pracownicy zakładu pogrzebowego wychodzą.

– Michała z nami nie ma. Nie ma go już na zawsze. I jednocześnie jest, każdego dnia – mówi Filip.

Był też tamtego dnia na szczycie Śnieżki. To była druga rocznica jego śmierci. Filip miał zdiagnozowaną depresję, zaczął leczenie. Wdrapali się z Karolem na szczyt. – Piękna pogoda, widok. Obok stał syn, na dole czekała żona, która była w ciąży z naszym najmłodszym synem, Adamem – mówi Filip. – A ja nie chciałem żyć. I właśnie wtedy wróciły słowa Michała: „tata siłacz".

A zaraz po nich: „Nieważne co, ważne, że razem".

I jeszcze: „Lubię cię, wiesz?".

– Pomyślałem, że muszę znaleźć siłę. I że mam żyć tak, żeby on mnie dalej lubił. Bo przecież kochamy się zawsze, ale być lubianym, gdy się kocha, to coś znacznie więcej.

Filip założył Fundację Panda Team imienia Michałka Tarachowicza, której pracownicy pomagają rodzicom, także rodzeństwu, gdy umiera dziecko i bliscy są w żałobie. Panda, bo Michał miał całą rodzinę pluszaków pand.

CHOLERNY BRAK | – To taki cholerny brak, że chce się wyć. Jednocześnie to ciągła obecność – mówi Katarzyna Jackowska-Enemuo.

Jest antropolożką kultury, pisze teksty i komponuje, jest pisarką i autorką podkastów „Między Światem a Zaświatem". W cyklu piosenek „Nieuchronne" żegna córkę Naomi i opowiada o jej ciągłej obecności.

Gdy pytam, jaka ona była, rozpromienia się.

Uporządkowana i chaotyczna. Lubiła być sama i z ludźmi. Gdy wracała z przedszkola, chciała zatrzymywać się przy każdym listku, nachylać się nad nim i szeptać: „poproszę o autograf". Wymyślała piosenki. Miała sześć lat, bawiła się z bratem w przedziale pociągu i nagle położyła mu ręce na głowie i zaczęła śpiewać: „Wszystko jest, wszystko jest, ale nie wiesz, co to jest".

– Słyszę jej śmiech. Żołnierski rechot, jak mój – mówi Jackowska-Enemuo. – Lubię o niej myśleć. Przypominać ją sobie. Pamiętać, jaką miała skórę. Rozczochrane włosy. I to uczucie, gdy kładła głowę na moim ramieniu albo przytulała się do pleców. Ciągle ją czuję, wiesz? Jest przez to wszystko nadal obecna w moim życiu – mówi.

ROZMOWY | Gdy Naomi umarła, nie potrafiła o niej rozmawiać. – Jednak właśnie rozmowy o naszych zmarłych, ale i te, które prowadzimy z nimi, oddalają nas od pustki, która po nich zostaje. Gdy tuż po śmierci Naomi nie potrafiłam o tym rozmawiać, pomogła mi muzyka, dzięki której ta twarda ściana, z którą się zderzamy po ich śmierci, jest obłożona czymś miękkim, łagodzącym uderzenia.

W domu czeka syn. Gdy Katarzyna wraca z podróży, odbiera jej bagaże, całuje na przywitanie. Podbiega pies.

– Za każdym razem idę się przywitać też z Naomi. Mam w domu święty kąt, gdzie są zdjęcia moich bliskich i niektóre ich rzeczy. Wisi tam portret Naomi, jest pluszowy niedźwiedź, jej ulubiony – opowiada.

Mówi o ciastkach w proszku, które co jakiś czas piecze, okropnych, ale właśnie je lubiła. O szarlotce, którą zostawia jej na pianinie. I o tym, że gdy dzieje się coś superfajnego, pyta córkę w myślach: „Stara, widzisz to?".

– I tak, mój syn tu jest emocjonalnie i fizycznie. Jej fizycznie nie ma, ale emocjonalnie jest – mówi. – Czasami ktoś mnie pyta, czy mam dziecko. Odpowiadam, że tak, dwoje. Ile mają lat? – pyta dalej ktoś. Syn osiemnaście, a córka miałaby siedemnaście. Jak to miałaby? – dziwi się ktoś. Miałaby, bo nie żyje od sześciu lat – odpowiadam. Wtedy pojawia się napięcie, zapada cisza. Bo jak pytać o taką stratę? I jak o niej opowiadać? Musimy próbować, bo rzeczywistość, z której wyjmujemy śmierć, jest niespójna i pokruszona.

BLISKOŚĆ | Katarzyna Borowczak, psychopedagożka i edukatorka żałoby, ↦

APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS DLA „TP"

↦ zapraszała do rozmów o śmierci ludzi z różnych kręgów kulturowych, głównie z Ameryki Południowej, w której spędziła pół roku. Bo tam – mówi – zmarli są bardziej obecni w codzienności ich bliskich. Poprzez gotowanie ich ulubionych potraw, opowieści czy domowe ołtarzyki z pozostawionymi po nich rzeczami.

– W Polsce, podobnie jak w wielu innych krajach Europy, jedynym społecznie akceptowalnym sposobem podtrzymywania więzi ze zmarłymi, jest chodzenie na groby. Coraz więcej osób, zwłaszcza z młodego pokolenia, przyznaje, że to nie wystarcza. Relacji z bliskimi zmarłymi możemy potrzebować całe życie – opowiada. – Relacja może raz przygasać, a w sytuacjach granicznych być znów mocna i żywa. Wtedy zwracamy się do zmarłej osoby, prosimy o opiekę, ochronę, a nawet o znaki obecności.

I przywołuje jedną z opowiedzianych jej historii.

Ktoś po śmieci mamy posadził w ogrodzie jabłonkę, bo mama lubiła jabłka. Drzewo było już stare, objęła je choroba, ale mimo to – dawało co roku owoce. Karmiło, jak matka, rodzinę. A rodzina przeżyła to jak dar, prezent od mamy, która zmarła.

– W opowieściach rozmówczyń z Polski o podtrzymywaniu więzi często pojawiają się ich mamy. Opowiadają o tym także kobiety, które straciły mamy we wczesnym dzieciństwie, a mimo to silnie czują ich obecność, zwłaszcza gdy same stają się matkami – mówi Borowczak. – Ta więź daje im siłę. Czują, że mogą się zwrócić do matek z pytaniami, zwłaszcza w sytuacjach trudnych. I że matki się nimi i ich dziećmi opiekują.

ROZMOWY | Borowczak organizuje spotkania online, zaprasza na nie tych, którzy stracili bliskich. Rzadko rozmawiają o wyobrażeniach „życia po", najczęściej o trwających z bliskimi zmarłymi relacjach.

– Mało jest momentów, gdy ktoś poprosi: opowiedz, jaki on był/jaka ona była. Badania jednak pokazują, że jeśli rodzina po śmierci kultywuje pamięć o zmarłym, lepiej radzi sobie z odejściem – mówi.

Dlatego w czasie spotkań zadaje pytania: Jaki on był? Jakie miał ulubione powiedzonka? Jak się złościł? Jak się do niego zwracałeś? Jak on zwracał się do ciebie?

Katarzyna Borowczak: – Niektórzy znów płaczą, bo przypominanie sobie tego, w jaki sposób zwracaliśmy się do siebie, rozczula. I nieraz ktoś przyznaje, że od śmierci bliskiej osoby z nikim tak długo o niej nie rozmawiał. Wtedy widzę, jak bardzo potrzebujemy rozmów o zmarłych. I jak bardzo oni w nas żyją.

NIGDZIE NIE CHODŹCIE | – Młodzi czują, że w milczeniu o śmierci bliskich jest coś nieprawdziwego – przyznaje Urszula Kaźmierczak, socjolożka.

Od lat organizuje w Poznaniu spotkania „Porozmawiajmy o śmierci przy kolacji".

– Ludzie coraz częściej odchodzą odseparowani i pozbawieni bliskości: w szpitalach, w domach opieki. Kwestią pochówku zajmują się zakłady pogrzebowe. Po pogrzebie szybko wracamy do codziennych obowiązków. Być może dlatego jesteśmy pogubieni w tym, jak dbać o relacje z nimi po ich śmierci – mówi.

Zwraca na to uwagę także Aleksandra Kurowska-Susdorf, która zbierała materiał do pracy doktorskiej na Kaszubach.

Najpierw jednak opowiada o dziadku. – Bał się, że umrze w szpitalu, samotnie. Wiedział, że w domu można zapalić gromnicę, pomodlić się, być w tym razem. „Nigdzie nie chodźcie" – mówił nam, jakby czuł, że śmierć się zbliża. To wytrwanie do końca w towarzyszeniu umierającemu może i po jego śmierci umacniać relacje z nim.

Pracując nad doktoratem, pytała osoby po 35. roku życia o ich relacje ze zmarłymi. – Okazało się, że rozumienie tych więzi jest podobne do tej z żywymi. Panuje tu przekonanie, że śmierć nie oznacza końca relacji, zmienia się tylko jej status. Z relacji żywy-żywy na żywy-świętej pamięci. A „świętej pamięci" to znaczy, że żyje w mojej pamięci, jest moim prywatnym świętym – mówi.

Widać to w tradycyjnych kaszubskich domach, gdzie wciąż można znaleźć tzw. święte kąty, czyli małe domowe ołtarzyki. – Jest tam figura Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, lichtarz, krzyż i zdjęcia zmarłych. Czasami także ich rzeczy – opowiada. – Zmarli nie znikają więc z przestrzeni domu, zmieniają tylko swoje miejsce bytowania.

I dodaje: – Podobną rolę pełnią ławeczki przy grobach. Gdy dbamy o relację, to się odwiedzamy, przynosimy kwiaty, rozmawiamy, spędzamy razem czas.

CZĘŚĆ NATURY | Marta Tarnowska najpierw opowiada o swojej półeczce w północno-wschodnim rogu domu, czyli „świętym kącie". Są tam zdjęcia: siostry Moniki, taty Zygmunta i babci Jadzi.

– Byłam przy śmierci siostry. Miałam wtedy 19 lat, Monika – 27. Ona była ciągle czegoś ciekawa. Studiowała wiele kierunków, ale żadnego nie ukończyła. Podróżowała i czytała Kapuścińskiego. Tańczyła. Malowała. Pisała wiersze. Poślizgnęła się i spadła z dachu kamienicy. A może wcale się nie poślizgnęła? – zastanawia się.

I po chwili: – Monika uwielbiała wrony. Gdy zmarła, wielka czarna wrona zaczęła przylatywać na mój balkon. Hej, to ty? – pomyślałam.

„Święty kąt" w jej domu jest miejscem żywym, zagląda tam regularnie. Pali zmarłym świece, przynosi mak, miód i pszenicę. Rozmawia z nimi, czasami śpiewa im pieśni.

– To dla mnie sposób rozmowy. Sposób na to, żeby utrzymywać z nimi kontakt. Na Kurpiach starsi ludzie mają często w kątach obrazy świętych przykryte rozetami, niektórzy mają telewizory, a u mnie ten kąt jest dla zmarłych – mówi.

Uczyła się śpiewać od wiejskich śpiewaczek i śpiewaków pogrzebowych na Kurpiach i na Podlasiu. – Przez ponad dziesięć lat snułam się po domach, uczyłam pieśni pogrzebowych i rozmawiałam z najstarszymi mieszkańcami o tym, jak dawniej wyglądało życie. Pojawiały się również rozmowy o śmierci i wyobrażeniach tego, co dalej, bo to też jest część życia – opowiada.

Gdy dopytuję o wyobrażenia życia po u śpiewaczek i śpiewaków na wsiach, mówi głównie o tych związanych z religią katolicką. – Niepewność, czy pójdzie się po śmierci do piekła, czy do nieba. A może do czyśćca? I że w związku z tym dusze naszych bliskich potrzebują modlitwy – tłumaczy.

Wspomina historię starszego pana, który opowiedział jej o swoich spotkaniach ze zmarłą żoną. Przez wiele lat czuł jej obecność wieczorami. Przychodziła i zajmowała dawne miejsce na łóżku obok niego. Zostawiał jej więc poduszkę. Jednak pewnego dnia poczuł chłód, poprosił, by więcej go nie odwiedzała.

Wiejskie obrzędy pogrzebowe i zaduszne są dla niej źródłem inspiracji przy projektowaniu i prowadzeniu ceremonii

pogrzebowych w miastach. – Zwyczaje pogrzebowe na wsiach zmieniają się powoli. Wciąż obecne są w nich opowieści o duchach zmarłych i spotkaniach z nimi – przyznaje.

Jednocześnie coraz silniejszy, także wśród mieszkańców miast, jest nurt powrotu do natury i szukania w niej łączności ze zmarłymi. Także przekonanie, że po śmierci sami stajemy się częścią natury. – W tym cyklu jest coś uspokajającego i pierwotnego. Wyobrażenie życia po i jednocześnie spotkania z nimi.

POŻEGNAĆ SIĘ | Być może dlatego coraz popularniejsze, zwłaszcza w miastach, są ceremonie humanistyczne.

Izabela Jachnicka miała 17 lat, gdy pierwszy raz odwiedziła starszego brata w Paryżu. Poczęstował ją krewetkami kupionymi na bazarze. Rok po jego śmierci pojechała na konferencję o francuskich interesach na Indo-Pacyfiku, na lunch były krewetki.

– Siedziałam wśród obcych ludzi w garniturach i płakałam. Przeniosłam się we wspomnieniach do małej kuchni Tomka, byliśmy znów razem – opowiada Izabela Jachnicka, która prowadzi ceremonie pogrzebowe.

Pierwszą, którą poprowadziła, choć tylko w części, był właśnie jego pogrzeb.

Przygotowała modlitwę wiernych i fragmenty Pisma Świętego, które odnosiły się do życia Tomka. Ksiądz zwrócił jej uwagę, że obowiązuje ciągłość liturgii i będą się modlić ustalonymi na ten dzień fragmentami. Ale powiedział też, że przed mszą i po niej mogą wprowadzić własne elementy pożegnania. Przygotowała czuwanie. Osobiste, ze wspomnieniami. Na cmentarzu włączyła ulubioną muzykę brata. Podeszło kilka osób, żeby podziękować i powiedzieć, że też chcieliby być tak pożegnani. Trzy tygodnie później poszła na kurs dla celebrantów pogrzebowych w Instytucie Dobrej Śmierci.

ROZMOWY | – Uroczystości współtworzymy z rodziną. Gdy się przygotowujemy, proszę, by opowiedzieli o zmarłym. Płaczemy razem. Niektórzy przyznają, że to pierwsze łzy od chwili śmierci. Bo o tej nikt nas nie uczył, jak możemy mówić. Ani jak o niej słuchać – opowiada Jachnicka. – Omijamy ten temat, bo boimy się, że wspomnienia będą bolesne. Być może nauczyła nas tego też kapitalistyczna kultura i przekonanie, że trzeba się pozbierać, wziąć w garść i iść dalej.



APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS DLA „TP"

Czego zmarły cię nauczył? Co ci pokazał? Jaki byś był, gdybyś go nie spotkał? – pyta tych, z którymi przygotowuje ceremonię.

Wracają wspomnienia. Starego poloneza i wspólnych wakacji. Zapachu pomarańczy w święta, gdy pomarańcze były nie do zdobycia. – Wraca bliskość i więź, która mimo śmierci jest – mówi.

ULGA | Po śmierci bliskiej osoby. W czasie świąt, rekolekcji. Także wtedy, gdy chorują i przeczuwają własną śmierć.

– Ci, którzy przychodzą do księdza, najczęściej chcą porozmawiać o własnej śmierci. I o tym, co będzie po niej. Nie jest to jednak pytanie o to, jak tam będzie. O wyobrażenia nieba czy piekła. Raczej o emocje z tym związane, głównie niepokój, ale i tęsknotę za zmarłymi – mówi o. Jacek Siepsiak SJ. – Nie jest łatwo pytać o życie wieczne językiem doczesności. Ale często pojawia się wtedy przekonanie, że jeśli Bóg nas kocha, to nie musimy się tak o to martwić – dodaje.

Ksiądz jest też osobą, której opowiadają nie tylko o zmarłych, za którymi tęsknią, ale i o tych, po odejściu których poczuli ulgę. – Nie potrafili z kimś wytrzymać, a mimo tego starali się. Gdy ta osoba umiera, pojawiają się wyrzuty sumienia wobec tej emocji, jakby to pragnienie przerwania męki spowodowało śmierć. I z tym nie chcą zostawać sami – mówi o. Siepsiak.

NIEŚMIERTELNOŚĆ CYFROWA | Pragnienie więzi ze zmarłymi zauważyły w ostatnich latach firmy, które wykorzystują sztuczną inteligencję.

Katarzyna Nowaczyk-Basińska w ramach projektu, który od dwóch lat realizuje na Uniwersytecie Cambridge, bada, jak ludzie w różnych obszarach geograficznych podchodzą do tematu cyfrowej nieśmiertelności.

Wraz z zespołem wybrali trzy miasta: Pekin, New Delhi i Poznań. I zadali pytania o nowe technologie, w ramach których sztuczna inteligencja zbiera dane, które pozostawiamy w sieci, i na ich podstawie tworzy cyfrowe reprezentacje. Te po naszej śmierci mogą być w kontakcie z naszą rodziną. Chatboty, ale też hologramy, będą się starały udzielać odpowiedzi w imieniu zmarłej osoby.

– Od 2022, odkąd pojawiały się generatywna sztuczna inteligencja, ChatGPT, duże modele językowe, potrzebujemy niewielkiego wysiłku, by taką reprezentację stworzyć – mówi. – W tej technologii możemy oczekiwać relacji z naszymi zmarłymi. Badaczka Jenny Huberman zaproponowała nawet przejście z myślenia od paradygmatu, że pamiętamy o zmarłych, do paradygmatu, że się z nimi komunikujemy.

Lista zastrzeżeń i dylematów etycznych jest długa. Na jej szczycie są pytania o regulacje prawne, których nie ma. I o dane, które wykorzysta technologia. A także o naszą pośmiertną prywatność. Tym bardziej że awatara można nakarmić danymi – naszymi zdjęciami, korespondencją, wszystko po to, by mógł przejąć i naśladować nasz styl komunikacji.

Mogą to zrobić i osoby, które tworzą własnego awatara przed śmiercią, i ich bliscy – po ich odejściu. – Pytanie, czy mamy do tego prawo? I czy to jest w porządku wobec zmarłej osoby? Co z jej prywatnością i pośmiertnym spokojem? – mówi Nowaczyk-Basińska.

Poza tym – jak podkreśla – pracujący w tym obszarze psychologowie czy psychiatrzy zwracają uwagę, że technologie mogą nas uzależniać. Bo jeśli kogoś kochaliśmy i po jego śmierci awatar potrafi zaangażować nas w relację z nim, jest to dla nas ryzykowne. ↦

↦ Co więcej: firmy będą mogły stosować różne mechanizmy, by zwiększyć przychody. – W jednym z negatywnych scenariuszy pokazujemy rozwój technologii w tym kierunku, że firma używa pośmiertnego awatara, by lokować produkty. Rozmawiasz z awatarem i on nagle doradza ci, że powinnaś w coś zainwestować. Manipuluje lub zachęca do konkretnej transakcji. A wszystko dzieje się w czasie, gdy borykamy się z utratą bliskiej osoby i być może nie jesteśmy tak silni, by myśleć krytycznie – dodaje.

Albo – rysuje jeszcze jeden scenariusz – wyobraźmy sobie, że rodzic stworzył awatara swojego dziecka. Czuje, że sytuacja wymyka się spod kontroli, chce pozbyć się awatara i wtedy słyszy: „Mamo nie zostawiaj mnie. Nie chcę drugi raz umierać. Chcę być z tobą już zawsze".

Awatary mogą też pogłębić nasze poczucie samotności i izolacji, jeśli trudny czas po stracie bliskiej osoby zaczniemy przeżywać z własnym telefonem.

ROZMOWY | W ramach badania zespół Nowaczyk-Basińskiej spotykał się z grupą ekspertów i nie-ekspertów: księży, lekarzy i pracowników opieki paliatywnej, przedstawicieli branży funeralnej. Także z artystami, akademikami i ludźmi, którzy przeżyli utratę kogoś bliskiego. Chodziło o to, by badanie miało charakter interdyscyplinarny i międzykulturowy.

– Zorganizowaliśmy „Kolacje z nieśmiertelnością" i zaprosiliśmy na nie łącznie 70 osób w trzech wybranych miastach. Potwierdziło się, że jeśli ludzie są słuchani, to chętnie dzielą się swoimi, nawet intymnymi przeżyciami związanymi z utratą kogoś bliskiego. W tym kontekście zaskoczyły nas Chiny, gdzie mówienie o śmierci należy raczej do sfery kulturowego tabu – opowiada. – Uczestnicy spotkań podkreślali, jak bardzo im takich rozmów brakuje.

PAN OD ŚMIERCI | Na cmentarzu w Lublinie, najstarszym w mieście i wielokulturowym, zbiera się co roku 2 listopada niewielka grupa, by wspólnie śpiewać. Spotykają się przy kaplicy, rozdają śpiewniki. W ubiegłym roku przynieśli ich 150, nie wystarczyło dla wszystkich.

Ich śpiew przyciąga kolejne osoby. Inicjatorem spotkań jest Paweł Grochocki, śpiewak pogrzebowy, przez znajomych nazywany „panem od śmierci".

– W jednym z rodzajów pieśni śpiewak czy śpiewaczka pogrzebowi wyrażają ostatnie życzenie zmarłego i jego pożegnanie z bliskimi: moja żono kochana, moje dzieci, módlcie się za mnie, będę się wami opiekował. Jest w tym nadzieja, że niebawem się spotkamy – mówi. – A sam śpiew sprawia, że stłumione emocje mogą popłynąć.

Tym bardziej że nie zawsze wiadomo, jak do nich dotrzeć.

Opowiada o swojej babci, która zmarła cztery lata temu. Na stypie, która była tylko dla najbliższej rodziny, o babci nikt nie mówił. – Jakbyśmy się spotkali w innej sprawie – wspomina. – Pół roku później zmarła nagle moja mama. Wszyscy byliśmy w dużej rozsypce. Przygotowałem prezentację z jej zdjęciami, którą wyświetliłem na stypie. Dołączyłem nawet krótkie nagranie, na którym słychać jej głos. Płakaliśmy, ale zaczęliśmy też o niej rozmawiać. Jaka była, co nam dała, jak bardzo tęsknimy. Nikt nie prosił, żeby zatrzymać albo wyłączyć prezentację.

Paweł często słyszy od ludzi, którzy stracili bliskich, że na różne sposoby próbują zachować o nich pamięć. Chcą, by byli obecni w ich codzienności. Noszą ich biżuterię, używają ich naczyń. A nawet piszą do nich listy, w których jest dużo tęsknoty i czułości, ale i złości. – Śmierć jest znormalizowana społecznie. Normą jest, że powinniśmy sobie poradzić. A nie przeżywać i opowiadać o tym, że tęsknimy, a przecież tęsknimy – mówi.

ROZMOWY | 2 listopada ubiegłego roku śpiewali na cmentarzu. – Poprosiłem, by ludzie powiedzieli na głos imię zmarłego, którego mają teraz w sercu.

Najpierw cisza.

Marta, Kazik, Wiola, Marcin. Wybrzmiało kilkadziesiąt imion.

– Przez chwilę znów byliśmy razem – wspomina. ©℗ ANNA GOC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): Michał Kuźmiński
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępczyni redaktora naczelnego: Ewelina Burda
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

BONUS

TYGODNIK POWSZECHNY

W świecie, w którym sensacja wygrywa z sensem, wyróżniamy tych, którzy robią coś innego – dobrego, dla innych.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego" – stworzona po to, by docenić ludzi i inicjatywy, które wnoszą do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo *bonus* po łacinie znaczy „**dobry**". I tak właśnie rozumiemy tę nagrodę – jako wyróżnienie dla tych, którzy w przestrzeni publicznej nie poddają się logice uproszczeń i polaryzacji.

Nagradzamy tych, którzy:

- łączą zamiast dzielić
- rozmawiają zamiast krzyczeć
- tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały

Pięć kategorii, pięć przestrzeni wspólnego dobra.

Poznajmy nominowanych!

MEDIA

Nagradzamy dziennikarzy, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog zamiast sensacji i klikbajtu.

Monika Białkowska

Jędrzej Dudkiewicz

Jakub Dymek i Marcin Giełzak „Dwie Lewe Ręce"

Zbigniew Parafianowicz

Justyna Suchecka

Karolina Wigura

Zespół „Historia BEZ KITU"

KULTURA

Wyróżniamy twórców, którzy otwierają przestrzeń dla różnych perspektyw i głosów, żadnego z nich nie uciszając.

Maria Apoleika (Maria Saktura)

Paweł Błach

Wojciech Bonowicz

Hiob Dylan

Iga Dzieciuchowicz

Dorota Ogrodzka

Daniel Rycharski

Justyna Sobczyk

Arjun Talwar

Jurij Zawadski

Maciej Zdanowicz

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Honorujemy inicjatywy, które odbudowują wspólnotę i dają przestrzeń do rozmowy mimo różnic.

Piotr M.A. Cywiński

Anja Franczak

Anna Krawczak

Cecylia Malik

Dariusz Martynowicz

Marcin Piotrowski

Wawrzyniec Smoczyński

Krystyna Święcicka

Adam Wajrak

LIDER/LIDERKA

Nagradzamy przywódców budujących dobro wspólne, inspirujących i pociągających za sobą innych.

Andrzej Andrysiak

Anna Cieplak

Agnieszka Czmyr-Kaczanowska

Basil Kerski

Bartosz Pilitowski

Magdalena Tchórznicka

Marta Titaniec

Mateusz Widłak

Jakub Wygnański

TECHNOLOGIA

Wyróżniamy innowacje, które włączają zamiast wykluczać i ułatwiają dostęp do wiedzy i rzetelnej rozmowy.

Magdalena Bigaj

Tomasz Chołast

Jakub Dębski

Krystian Jażdżewski

Mateusz Kowalczyk i Jakub Fryszczyn

Przemysław Kuśmierek

Joanna Michalska

Rafał Modrzewski

Mati Staniszewski

(nominowani w każdej kategorii zaprezentowani w kolejności alfabetycznej)

Gala wręczenia nagród
28 listopada 2025, godz. 19.00
Muzeum Manggha, Kraków

Więcej informacji:
bonus.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STAN KONTA I INNE STANY

Rojenia celebrytów o biedzie jako „stanie umysłu” to tylko jeden z wielu stereotypów ubóstwa. A jaka jest prawda?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Gdyby nie te dwa dokumenty, o polskiej biedzie mogłoby być cicho jak makiem zasiał – niemal jak w PRL-u, gdy zjawiska tego rodzaju po prostu „nie występowały". W okolicach jesieni i początku zimy dostajemy dwa głośne raporty rysujące polską mapę ubóstwa: ten ogłaszany niedługo przed Świętami przez Szlachetną Paczkę, a także nieco wcześniejszy „Poverty Watch" – powstający w ramach działań Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu. Drugi z dokumentów właśnie przypomniał nam (za danymi GUS), że co dwudziesty Polak tkwi w biedzie skrajnej – która na dłuższą metę może nawet zagrażać zdrowiu i życiu.

Z jednej strony mamy tegoroczny „Poverty Watch", poprzednie edycje raportów Szlachetnej Paczki, oraz inne dane i badania. A z drugiej, historie ludzi z krwi i kości. Wreszcie z trzeciej: medialno-polityczne wyobrażenia na temat tego zjawiska, czyli lepiej lub gorzej przemyślane refleksje polityków i celebrytów w temacie wykluczenia. Wszystko to składa się nie tylko na obraz polskiej biedy, ale także na zestaw mitów i stereotypów dotyczących polskiego ubóstwa.

Za bogaci na biedę

Scena z życia Joanny Sadzik, prezeski Stowarzyszenia Wiosna, organizującego między innymi akcję Szlachetna Paczka. – Duża biznesowa konferencja, ludzie na wysokich stanowiskach mówią o Polsce jako „20. gospodarce świata". A później, w zakulisowych rozmowach, słyszę: „Daj spokój z tą biedą, ja jej nie widzę" – opowiada Sadzik. – To dlatego w raporcie, który opublikujemy za niecały miesiąc, we wstępie wyeksponuję właśnie ten wątek. Fakt, że jesteśmy szybko rozwijającą się gospodarką, nie chroni nas przed biedą. Tak, odnieśliśmy sukces, nie wyobrażam sobie Polski bez Unii Europejskiej, ale nie wolno nam przez to tracić z oczu drugiej strony, czyli np. 2,5-milionowego Biedańska [nazwa fikcyjnego miasta stworzonego przez autorów raportu „SP", by zobrazować skalę ubóstwa – red.].

Dane z tegorocznego „Poverty Watch" dają się (po zaokrągleniu) ułożyć w piramidę wielkich liczb: miliona, dwóch, pięciu i siedemnastu milionów Polaków. U góry skala biedy ustawowej, czyli nasi rodacy łapiący się na wsparcie pomocy społecznej (ponad 900 tys.). Nieco niżej (1,9 mln) wspomniani wcześniej skrajnie ubodzy, owi mieszkańcy Biedańska, których spora grupa pozostaje poza radarami ośrodków pomocy społecznej. Jeszcze niżej (5 mln) jest obszar biedy relatywnej: to Polacy, których wydatki są mniejsze niż 50 proc. przeciętnych. Wreszcie wartość ostatnia (stanowiąca niemal połowę społeczeństwa!) odnosi się do grup ubóstwem zagrożonych.

Czy przed wielkością tej piramidy chroni nas wzrost gospodarczy? Nijak – jeśli istnieje tu zależność, to działa ona w drugą stronę. Jak dowodzą w wydanej w zeszłym roku książce „Nierówności po polsku" Michał Brzeziński, Paweł Bukowski i Jakub Sawulski, nierówności to nie – jak sądzono jeszcze kilka dekad temu – nieodłączny element gospodarczego rozwoju, lecz jego hamulcowy. Jeśli nawet rozwarstwienie przyczynia się do wzrostu PKB, to dzieje się tak na początkowych etapach rozwoju gospodarki, które Polska już dawno przeszła.

W tym kontekście niemal dwa miliony Polaków tkwiących w ubóstwie skrajnym powinny zapalać systemowe czerwone lampki także tym, którzy skupieni są wyłącznie na PKB. Ale rzecz jasna nie tylko im: owe dwa miliony to ludzie doświadczający każdego w zasadzie rodzaju ubóstwa i każdego związanego z tym kryzysu. Niedojadający. Niedogrzewający swoich mieszkań. Wykluczeni transportowo. Bezdomni. Emeryci i renciści, ludzie w średnim wieku, dzieci.

500 plus likwiduje ubóstwo

Scena druga, kilka lat temu. Joanna Sadzik wchodzi do radiowego studia, gdzie ma być gościnią tuż po wystąpieniu prominentnej polityczki rządzącego wówczas PiS. – Prowadzący jeszcze poza anteną pyta: „Słyszałaś, co właśnie powiedziała? Że biedy w Polsce już nie ma, bo PiS ją zlikwidował programem 500 plus". A ja muszę chwilę ochłonąć – opowiada Sadzik.

Jaka jest prawda o wpływie flagowego polskiego świadczenia rodzinnego na wskaźniki skrajnego ubóstwa? Mimo wszystko budująca. Jeszcze w 2015 r., a więc na rok przed jego wprowadzeniem, wskaźnik ten wynosił w Polsce 6,5 proc. – w roku 2017, a więc pierwszym pełnym roku obowiązywania 500 plus, obniżył się o mniej więcej jedną trzecią, do 4,3 proc. Później przez lata oscylował wokół 4-5 procent, by w 2023 r. poszybować znowu do 6,6.

Dane za rok 2024, tzn. obniżenie z powrotem do 5,2 proc., pokazują po raz kolejny wagę świadczenia rodzinnego dla budżetów domowych najuboższych Polaków – przynajmniej tych z dziećmi. Zmniejszenie liczby osób tkwiących w nędzy z 2,5 mln do 1,9 mln, a skali skrajnie biednych dzieci z 521 do 364 tysięcy – to w dużej mierze efekt zamiany 500 plus na 800 plus od 1 stycznia ub. roku. Owszem, rolę odgrywały też inne czynniki – jak spowolnienie inflacji i podniesienie pensji minimalnej – ale rola podwyżki 500 plus była tu kluczowa.

– Jednak pamiętajmy, że 800 plus nie zlikwiduje biedy – zaznacza Joanna Sadzik. – Bawią mnie i irytują równocześnie wyliczenia, że jak ktoś ma piątkę dzieci, to dostaje cztery tysiące złotych „socjalu", więc nie powinien narzekać. Przecież te dzieci wymagają wielokrotnie większych nakładów!

Głód to był kiedyś

Bieda może i istnieje, ale współcześnie ma inny niż kiedyś wymiar – bez głodu. Ten kolejny z mitów upowszechniają również politycy, np. prezes PiS Jarosław Kaczyński, który w czasie spotkania w Uniejowie w 2023 r. mówił m.in.: „W Polsce nie ma już głodnych dzieci, niskich płac i nędzy".

– Opowiem o pani Helenie, która zemdlała z niedożywienia w środku Warszawy – mówi Joanna Sadzik. – Zmarł jej mąż, ma najniższą emeryturę, więc po opłaceniu rachunków zostawało na życie niewiele. Jadła to, co wygrzebała ze śmietników, tłumacząc równocześnie naszym wolontariuszom, że sobie świetnie radzi. Dopiero po którejś wizycie przyznała, że chleb wyciągnięty ze śmietnika podgrzewa na patelni i to jej jedyny ciepły posiłek. Takich historii jest trochę. Niektórzy nie wiedzą, że mogą poprosić o darmowy posiłek w MOPS. Że są banki żywności, organizacje wydające posiłki, Caritas. Głód w Polsce istnieje.

Raport „Poverty Watch" analizuje zjawisko ubóstwa żywnościowego, w którym może tkwić nawet 88 proc. osób uznanych za skrajnie biedne (przekładałoby się to na ok. 1,5 mln niedojadających Polaków). Jak pisze autor ↦

Warszawa, październik 2022 r.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

↦ raportu, badacz zjawiska biedy prof. Ryszard Szarfenberg, zjawisko dotyka głównie grupy najbardziej wrażliwe: „Wśród małżeństw posiadających co najmniej 3 dzieci wskaźnik skrajnego ubóstwa żywnościowego sięga niemal 70 proc., a w gospodarstwach domowych utrzymujących się ze świadczeń społecznych zbliża się do 60 proc.”.

Biedota na zasiłkach

Na szczęście mamy – to kolejny stereotyp – „rozbuchany socjal”, z którego opłaca się żyć. Depozytariuszem tego z kolei mitu jesteśmy po trosze wszyscy – to nasz *vox populi*, mądrość przystanków autobusowych, a może prędzej korytarzy korporacji pełnych przedstawicieli klasy średniej. Więcej niż co trzeci Polak pytany o wyobrażenia na temat biedy na potrzeby raportu „Szlachetnej Paczki” stwierdzał w 2022 r., iż „na zasiłku żyje się wygodniej”.

Mit, który apogeum swojej żywotności miał w latach 90. i początkowych dwutysięcznych, później w nowej odsłonie odżył po wprowadzeniu świadczenia 500 plus, a ostatnio w odniesieniu do Ukraińców, mających rzekomo „żyć wygodnie z socjalu, kosztem polskiej gospodarki”. Z prawdą ma wspólnego niewiele: ok. 80 proc. uchodźców zza wschodniej granicy pracuje, przyczyniając się do wzrostu naszego PKB, a pula wypłacanych ukraińskim rodzinom świadczeń 800 plus to – jak wyliczył ekspert Instytutu Sobieskiego i były wiceminister rodziny w rządzie PiS Bartosz Marczuk – jedna trzydziesta kwoty przeznaczanej na ten program (ok. 2 z 60 miliardów).

Tyle samo prawdy ma w sobie stereotyp powszechnego korzystania przez ludzi biednych z zasiłków. Gdyby z nowej edycji „Poverty Watch” wybrać statystykę najbardziej dla naszego państwa wstydliwą, a równocześnie z największym hukiem obalającą powyższy mit – ranking wygrałaby niechybnie liczba 945 tysięcy. To mniej więcej połowa z grupy Polaków znajdujących się w skrajnym ubóstwie – połowa, która jest równocześnie „zbyt zamożna”, by dostać zasiłek.

– Po tym raporcie niech zostanie z nami przynajmniej ta jedna myśl – radzi Joanna Sadzik. – Że są ludzie, którzy mają dochód na poziomie 900 złotych na głowę w rodzinie, albo 1100 mieszkając samemu. I że dla „dwudziestej gospodarki globu” to zbyt dużo, by otrzymali od niej wsparcie.

> 900 złotych na głowę w rodzinie albo 1100 mieszkając samemu to dla „dwudziestej gospodarki globu” **zbyt duże dochody, by wypłacić zasiłek z pomocy społecznej.**

Dramatyczne progi

Jak to możliwe? Progi dochodowe regulujące zasady przyznawania zasiłków z pomocy społecznej waloryzowane są co trzy lata i dramatycznie nie nadążają za ekonomiczną rzeczywistością – choćby za inflacją czy wzrostem płacy minimalnej (obecnie progi te opiewają na 823 złote na osobę w rodzinie i 1010 złotych dla gospodarującego samotnie). Organizacje pomocowe od lat postulują, by wprowadzić ustawowy wymóg waloryzacji corocznej. Na razie bez efektu. „W projekcie budżetu na 2026 r. przewidziano spadki wydatków na świadczenia z pomocy społecznej – czytamy w „Poverty Watch”. – Oznacza to, że w 2026 r. nadal będzie obowiązywała stara trzyletnia weryfikacja i znowu duża część skrajnie ubogich osób będzie wykluczana z systemu pomocy”.

Czy z kolei ci, którzy na zasiłki się łapią, są w stanie z nich wyżyć i – zgodnie ze stereotypem – opłaca im się nie pracować? Maksymalna kwota zasiłku stałego to ponad 1200 zł, czyli ok. jedna trzecia pensji minimalnej. A zasiłki rodzinne – niewaloryzowane od 2016 r. – to kwoty ok. 100 zł na dziecko. – Możemy uznać, że tych zasiłków po prostu nie ma – kwituje Joanna Sadzik.

Mitowi „wygodnego życia z socjalu” towarzyszy zresztą inny – dotyczący rzekomo dużych wydatków państwa na tę sferę. Owszem, Polska wydaje sporo na 800 plus, ale to świadczenie nie należy do narzędzi pomocy społecznej – przysługuje bez względu na dochody i obejmuje tylko rodziny z dziećmi. Wydatki polskiego państwa na zasiłki z pomocy społecznej i te rodzinne to kwoty rzędu ledwie kilku miliardów rocznie – kilka procent kosztów, jakie ponosimy z tytułu wypłat 800 plus.

Bieda to decyzja

Na koniec oddajmy głos gwiazdom, na czele z Kubą Wojewódzkim. Tak, właśnie jemu, a nie młodej aktorce Julii Wieniawie, której przypisano niedawno pochodzące z programu Wojewódzkiego stwierdzenie, iż „bieda to stan umysłu”. Nie do końca słusznie. Aktorka najpierw podpisała się pod wygłoszonym przez dziennikarza mottem: „Sukces to decyzja”. A gdy Wojewódzki ni to zapytał, ni stwierdził: „A jak sobie 26-latka z pokolenia Zet poradzi z takim motto, (...) bo wiem, że to jest prawda, że bieda to jest stan umysłu?” – Wieniawa odparła: „Niestety, ja też się z tym zgadzam”.

– Sama przez lata uczyłam się, jak nie reagować pochopnie na pytania dziennikarzy, więc tak po ludzku rozumiem, skąd biorą się podobne niezręczności – mówi Joanna Sadzik. – W tym przypadku nie do końca wiemy, „co poeta miał na myśli”, ale w wersji, w jakiej to zdanie było odczytywane medialnie, stało się komunikatem krzywdzącym dla osób ubogich.

Bo stanowi kolejną wersję osławionego: „Każdy jest kowalem własnego losu”. W tym ujęciu ubóstwo jest funkcją umysłowej stagnacji i lenistwa – z czym zdaje się zresztą zgadzać wielu Polaków. 15 proc. z nas jeszcze w 2022 r. uważało, że życie w biedzie to wybór, a 31 proc. twierdziło, iż wystarczy wziąć się do roboty, by z tego stanu wyjść (raport „SP” sprzed trzech lat).

Jak się mają do tego realia? Raport „Poverty Watch” sporo miejsca poświęca lekceważonemu – także przez lokalne i krajowe służby socjalne – problemowi „biednych pracujących”. – Owszem, płaca minimalna jest już dość solidna, ale wiele osób w Polsce pracuje na czarno, na śmieciówkach albo na pół etatu, by płacę minimalną ominąć – zauważa Joanna Sadzik. – Możesz zarabiać na pełen etat trzy i pół tysiąca, mieszkać z dużą rodziną w dużym mieście, i równocześnie nie mieć po opłaceniu rachunków pieniędzy na podstawowe potrzeby. Pamiętam np. młodą nauczycielkę, o której pisaliśmy w raporcie. Uczyła w klasach 1-3, więc ciężko jej było dorobić np. korepetycjami, mąż wypisał się z rodziny, koszty

utrzymania były ogromne. Przyznała wolontariuszom, że czasami zupę na obiad zjadało tylko jej dziecko.

Kto ma pod górę

Co jeszcze pomijają mądrości o „stanie umysłu" oraz „kowalach losu"? Np. to, czy mieszkasz w dużej miejscowości (dane mówią o znacznie niższych statystycznie osiągnięciach nastolatków z prowincji na egzaminie ósmoklasisty, co później przekłada się na karierę akademicką i zawodową); czy twoi rodzice chcą inwestować w edukację (autorzy „Nierówności po polsku" wskazują, iż ledwie trzy zmienne – wykształcenie rodziców, ich zawód i pochodzenie – odpowiadają za jedną trzecią polskich nierówności dochodowych).

– Czy urodziłeś się w rodzinie inteligenckiej, czy postpegeerowskiej – kontynuuje wyliczanie Joanna Sadzik. – Czy autobus dojeżdża do twojej wsi, czy ją omija. Czy w twojej rodzinie wszyscy są zdrowi, czy są w niej osoby z niepełnosprawnościami, bo i to stanowi czynnik ryzyka ubóstwa. Czy ktokolwiek, np. nauczyciel, pokazał ci możliwości i perspektywy, czy może przekonał cię, że „jesteś nikim". Czy mogłeś iść na studia w dużym mieście, bo miałeś odziedziczone mieszkanie po babci. Czy nie zachorowałeś na depresję albo czy nie szedłeś po pasach akurat w momencie, gdy pijany kierowca nie zauważył czerwonego światła, bo i takie historie znamy w „SP".

To wszystko, jak zauważa prezeska Wiosny, czynniki decydujące o naszym życiu, ale też o stanie konta. A także o tym, czy uda nam się z trudnego położenia wyjść, czy będziemy w nim tkwili. – Na gali ogłoszenia raportu „Poverty Watch" wystąpiła pani, która opowiedziała historię swojego życia – wspomina Joanna Sadzik. – Dowiodła, że bieda to wypadkowa wielu czynników: kryzys psychiczny może doprowadzić do utraty pracy, jej brak pośrednio do odebrania dzieci, to z kolei może spowodować trafienie na ulicę, popadnięcie w nałóg i w konsekwencji jeszcze większe ubóstwo. Można z tego wszystkiego wyjść, ale do tego są potrzebni inni ludzie. A to zaprzeczenie motta, że „jesteśmy kowalami własnego losu".

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski rządził Krakowem przez pięć kadencji. 14 września 2017 r.

Droga na manowce

JAROSŁAW FLIS

POLITYKA | Wprowadzenie dwukadencyjności w samorządach było końską kuracją na źle zdiagnozowaną chorobę – teza o „zabetonowaniu" Polski lokalnej jest mocno wątpliwa, a skutki uboczne lekarstwa bardzo niepokojące.

Zacznę od tego, że kluczowy argument zwolenników cofnięcia zakazu startu w wyborach „starych" wójtów, burmistrzów i prezydentów miast również mija się z istotą problemu. Gdyby jedyny szkopuł tkwił w tym, że dwukadencyjność to ograniczenie demokracji, sprawa nie byłaby warta uwagi. Jednak emocje, które jej towarzyszą, są świetną okazją do rozmowy o tym, co w polskich gminach warto udoskonalić.

Dotrwać do emerytury

Obowiązująca od 2018 r. ustawa limitująca do dwóch kadencji władzę w samorządach wydaje się spójna z praktyką innych instytucji – nie tylko prezydenta RP, lecz także np. rektorów wyższych uczelni. To formalne podobieństwo nie powinno jednak zacierać różnic. Rektor po dwóch kadencjach wraca do swojej katedry, mając z czego żyć i zachowując pozycję zawodową. Także prezydent państwa może liczyć na dożywotnią pensję i biuro oraz stałą obecność w życiu publicznym.

Tu pojawia się kluczowy problem. Burmistrz w drugiej kadencji będzie miał nieuniknione wyzwanie – musi się zatroszczyć o to, z czego będzie żył po jej zakończeniu. Średnia wieku nowo wybranych burmistrzów to 45 lat, więc dekadę później będą jak najbardziej zainteresowani, czym zajmą się przez kolejne 10 lat, które im zostaną do emerytury. Nie chodzi jednak o to, żeby się o nich troszczyć w przypadku wyborczej porażki. Rzecz w tym, że wiedząc, iż nie mogą zabiegać o reelekcję, będą poddani pokusie, by zasoby gminy, którą zarządzają, wykorzystać do zabezpieczenia sobie miękkiego lądowania. Tak jak w przypadku burmistrza nadmorskiego Rewala, który najpierw sprzedał działkę pod mocno kontrowersyjny, największy w Polsce hotel Gołębiewski w Pobierowie, by potem (w nagrodę?) zostać dyrektorem tego hotelu.

Takie przykre skutki uboczne można by jeszcze zaakceptować, gdyby lekarstwo okazało się skuteczne w zwalczaniu poważniejszych chorób. Na co jednak cierpi nasz samorząd, żeby konieczny był aż tak radykalny krok jak ↦

↦ limit dwóch kadencji? Czy powtarzana często teza o „zabetonowaniu" samorządów jest prawdziwa?

Popatrzmy na fakty

Zwykle jako dowód przytacza się konkretne przypadki „wiecznych" prezydentów miast czy wójtów, podkreślając, że są „nie do ruszenia". Taki „dowód przez anegdotę" lepiej jednak skonfrontować z systematyczną analizą. Pomaga w tym zestawienie losów wszystkich 2478 zwycięzców gminnych wyborów z 2006 r. W każdych kolejnych wyborach średnio co jedenasty z nich rezygnował – czy to z powodu wieku, wypalenia, czy w przeczuciu nieuchronnej porażki. To oznacza, że po 10 latach, czyli w czasie odpowiadającym obecnemu limitowi sprawowania urzędu, co czwarty odszedł sam, bez przeganiania przez wyborców. Natomiast z pozostałych na placu boju wyraźnie więcej było takich, którzy przegrali zabiegi o reelekcję, niż tych, którym się udało. Po trzech kadencjach u władzy utrzymał się tylko co czwarty. W najszerszej perspektywie, po 17 latach, na stanowisku pozostał ledwie co ósmy z wybranych w 2006 r. Z tych, którzy nie odeszli sami, wyborcy zachowali na urzędzie tylko co piątego. Selekcja wygląda na naprawdę ostrą.

Jeśli wyborcy byli w stanie odstawić od urzędu cztery piąte chcących tam pozostać włodarzy, to trzeba postawić pytanie, dlaczego nie miało to miejsca w pozostałych przypadkach. Czy to oznacza, że wyborcy, owszem, są w stanie pozbyć się kiepskich sitw, lecz te naprawdę szczwane wychodzą z każdej próby buntu obronną ręką? A może powinniśmy raczej zaryzykować hipotezę, że w jednym na osiem przypadków obywatele decydują się poprzeć kogoś, kto ani się nie skorumpował, ani nie zdziadział, ani nie zbzikował od długotrwałego rządzenia?

Nawet w najbardziej podejrzliwej interpretacji danych opowieść o „pladze" skostniałych samorządów jest daleka od faktów i nie powinna być uzasadnieniem dla wprowadzenia nowych reguł na podstawie ułamka przypadków.

Partie antylokalne

Zwolennicy utrzymania limitu dwóch kadencji uważają jednak, że zabiegający o reelekcję wójtowie czy prezydenci mają wyraźne przewagi. Pełna zgoda. Wieloletnie badania pokazują, że aktualnie urzędujący mogą średnio liczyć na dodatkowe 20 proc. poparcia. Pretendenci biegną pełne 500 metrów, natomiast rządzący startują 200 m bliżej mety. Jeśli więc burmistrz utrzymuje się w dobrej kondycji, dba o kontakty z mieszkańcami i rozwiązywanie ich problemów – o wyprzedzeniu go nie ma mowy.

Teza o skostnieniu samorządów nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Po trzech kadencjach u władzy utrzymał się **tylko co czwarty lider lokalnej społeczności.**

Przewaga ta jest faktem; jej naturę i przyczyny badam od lat. W tej chwili wiadomo, że w przypadku wójtów, burmistrzów i prezydentów miast ich dominacja nie narasta z czasem. Jest nieznacznie większa po pierwszej kadencji, jednak po trzeciej i kolejnych jest już taka jak po drugiej. Zatem to nie czas zajmowania urzędu jest za nią odpowiedzialny, tylko samo jego sprawowanie.

Tym, co mogłoby wyrównać szanse, jest zapewnienie gminnej opozycji porównywalnego z rządzącymi dostępu do kontaktu z mieszkańcami czy urzędem. To ostatnie jest ważne, bo osoby, dla których burmistrz jest pracodawcą, są zawsze znaczącą grupą wyborców. Można byłoby stworzyć instytucję wybieranego przez gminną opozycję „obywatelskiego orędownika", który wraz z wójtem podpisywałby się pod zaproszeniami na dożynki i życzeniami świątecznymi i miał dostęp do gminnych mediów. Realnej władzy by nie miał, lecz mógłby oswajać ze sobą mieszkańców i urzędników.

Wadą polskiego samorządu jest słabość ogólnokrajowych partii, dla których wyłanianie konkurentów dla rządzących jest trzeciorzędne – względem rywalizacji centralnej oraz tej wewnętrznej. Nawet w największych miastach kandydatów wyłania się w ostatniej chwili, a ważniejsze jest to, jak ich start wpłynie na układ sił między frakcjami niż na szanse zwycięstwa, nie mówiąc o interesie mieszkańców. Gdyby zmusić lub zachęcić ugrupowania będące w lokalnej opozycji do otwartego wyłaniania pretendentów, gminna rywalizacja wyglądałaby inaczej.

Realna siła sukcesji

Są jednak tacy, którzy uważnie przygotowują kandydatów do wyborów dopiero majaczących na horyzoncie. To ci burmistrzowie, którzy zamierzają zrezygnować z zabiegania o reelekcję z powodu wieku bądź innych planów. Przypadki udanych sukcesji nie przyciągają uwagi tak, jak kolejne reelekcje, choć powinny. Jeśli wierzyć w teorię lokalnych sitw i układów, które nie dopuszczają realnej konkurencji, to właśnie zdolność do przekazania władzy kolejnemu reprezentantowi tej samej sitwy powinna być przeanalizowana, zanim narzuci się prawo zmuszające *de facto* do sukcesji.

Takie badanie jest trudniejsze, lecz przecież i tu udało się zgromadzić jakąś wiedzę. Sukcesorzy dalej mają zdecydowanie większe szanse na zwycięstwo niż zupełnie nowi kandydaci walczący o formalnie „zwolniony" stołek. Przypadek Rafała Trzaskowskiego, który w odróżnieniu od swej poprzedniczki Hanny Gronkiewicz-Waltz zdobył prezydenturę Warszawy już w pierwszej turze, jest tylko jedną z długiego szeregu takich historii – od Katowic przez Dąbrowę Górniczą do Niepołomic i Starego Sącza.

Tu dochodzimy do kluczowego aspektu zaordynowanej nam w 2018 r. końskiej kuracji – jej skuteczności. Wiara w „przewietrzenie" samorządu metodą limitowania kadencji ma słabe podstawy. Lokalna polska polityka nie jest w bliższym oglądzie aż tak spersonalizowana, jak to się wielu zdaje. Gminne „grupy trzymające władzę" czasem faktycznie wiszą na jednym człowieku, lecz częściej to właśnie on utrzymuje się u władzy dzięki tym grupom, ale też swoim konkurentom, dokładniej zaś: słabościom tych ostatnich. Jeśli grupy lokalnie rządzące zgnuśniały lub się skorumpowały, oczyszczenie sytuacji też wymaga nie samotnego bohatera, lecz całej koalicji środowisk i postaci. Przekonanie, że zmiana władzy jest za trudna, może tu faktycznie działać zniechęcająco. Lecz przekonanie, że to się stanie samo, dzięki zmianie ustawy, też jest demobilizujące. Warto więc dyskutować o wzmocnieniu lokalnej konkurencji i zawsze pamiętać, że drogi na skróty często prowadzą na manowce.

© JAROSŁAW FLIS



CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dziki w centrum Szczecina

Los loch

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

NATURA | Budujemy się na terenach będących do niedawna domem dzikich zwierząt, a potem dziwimy się, że są naszymi towarzyszami. Jedni chcą je zabijać, inni karmić. Obu grupom brakuje wiedzy.

Loszka Basia zagląda do mnie co parę dni z warchlakami. Na początku się ich bałam, ale teraz z ręki mi jedzą, dają się głaskać i można powiedzieć, że się oswoiły. Jak już sobie podjedzą, leżą w sadzie i nikomu krzywdy nie robią – śmieje się pani Anna, mieszkanka Wołomina. Tak się z dzikami zżyła, że wybacza im zryte grządki. Trochę tylko się boi, że zacznie się na nie obława i już ich nie zobaczy. Czy postępuje rozsądnie?

W sieci można znaleźć mnóstwo filmów poświęconych dzikim zwierzętom w mieście. Rekordy popularności bije nagranie pokazujące stado dzików pędzące przez nadmorską plażę. Ale jest też dzik grający w piłkę w Olsztynie. Są oswojone jelenie na Krupówkach, jest locha z młodymi na spacerze w centrum Gdańska. Dzikie zwierzęta buszują w śmietnikach, wyjadają resztki pozostawione w miskach dla psów i kotów, ryją w ogrodach albo wpadają nagle do kosmetyczki, jak trzy lata temu w Krakowie. Nikt ich nie policzył, ale moi rozmówcy mówią z przekąsem, że teraz łatwiej dzika, lisa czy sarnę spotkać w mieście niż w lesie.

Krajobraz bez strachu

– Miasto jest bezpieczniejsze, nie ma tu myśliwych, nie ma dużych drapieżników, jak wilki. Toteż ich „krajobraz strachu" jest w tej przestrzeni zupełnie inny niż w naturze, gdzie zmuszone są do nieustannej czujności. W mieście znajdują pokarm na terenach zielonych i w śmietnikach, a nawet są dokarmiane przez ludzi, co jest skrajną nieodpowiedzialnością. Dzikie zwierzęta przyzwyczajone do karmienia mogą stać się niebezpieczne, kiedy przestaną otrzymywać pożywienie. Powinniśmy się od nich trzymać z daleka – przestrzega prof. Jakub Borkowski, kierownik Katedry Leśnictwa i Ekologii Lasu na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim.

Trudno jednak o dystans, gdy dziki przejmują w posiadanie pustostany i zarośnięte działki w sąsiedztwie domów jednorodzinnych, pomieszkują w sadach i ogrodach. Tak jak to ma miejsce na jednej z ulic nieopodal Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie czy na Białołęce, gdzie mieszkańcy traktują je jak stały element pejzażu. „Stały", bo telefony do urzędów nic nie dają, a mieszkańcy boją się wypuszczać dzieci na plac zabaw czy chodzić na spacery z psami po okolicy. Bo choć ataki dzików nie zdarzały się w ostatnich latach często, trudno je całkowicie wykluczyć. Przekonali się o tym w maju mieszkańcy warszawskiego Gocławka, gdy zwierzę zaatakowało kobietę spacerującą z psem. Podobny wypadek zdarzył się w Gdyni; dzik tak poturbował 55-latkę wracającą z zakupami, że lekarze przez kilka dni walczyli o jej życie.

– Zgłoszenia o dzikach w miastach od kilku lat rosną lawinowo. Jednak my, jako gmina, nie mamy narzędzi prawnych, żeby rozwiązać ten problem. ↦

↦ Dziki są własnością skarbu państwa, więc nasze możliwości są ograniczone – tłumaczy Małgorzata Izdebska, sekretarz w gminie Wołomin oraz przewodnicząca Komisji Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska Związku Miast Polskich. – Podejmujemy co prawda działania prewencyjne, odstraszamy, stosujemy opryski, ale to nie wpływa znacząco na zmniejszenie populacji. Mam wręcz wrażenie, że ich liczba rośnie. Powstało nawet pojęcie „miejskie dziki", co obrazuje, jak te zwierzęta przystosowały się do życia obok człowieka.

Izdebska uczestniczyła w konsultacjach z samorządami, leśnikami, ekologami i myśliwymi. Wywnioskowała z nich, że nie ma jednomyślności w kwestii postępowania z dzikimi zwierzętami w miastach. Dodatkowo sprawę komplikuje ASF (afrykański pomór świń), w związku z którym obowiązuje zakaz transportu dzików, mogących rozprzestrzeniać wirusa. Jeśli więc trafią do odłowni, są zabijane – nie można ich wywieźć do lasu i tam wypuścić.

– Jest duża grupa mieszkańców, która domaga się zdecydowanych kroków – zauważa Małgorzata Izdebska. – Pokazują zdjęcia zniszczonych ogrodów, zrytych rabatek i zrujnowanych działek. Boją się opuszczać domy, żądają odszkodowań i domagają się od władz oczyszczenia miasta, nawet jeśli miałoby się to wiązać z zabijaniem zwierząt. Z kolei ekolodzy uważają, że to my jako ludzie weszliśmy na tereny zamieszkiwane kiedyś przez dzikie zwierzęta, poprzecinaliśmy ich siedziby drogami, zbudowaliśmy domy na ich siedliskach, więc one tylko próbują żyć w zmieniających się warunkach.

Ludzie się boją

W kwietniu 2025 r. Związek Miast Polskich przedstawił swoje stanowisko parlamentarzystom i zwrócił uwagę na ważny problem – samorządy mają na swoim terenie zwierzęta, które nie są ich własnością, ale gdy podejmują próby radzenia sobie z obecnością np. dzików oraz wyrządzanymi szkodami, Regionalne Izby Obrachunkowe kwestionują wydatki na te cele. ZMP domaga się więc od Sejmu doprecyzowania przepisów; potrzebne są jasne wytyczne, jakie działania mogą podejmować i kto poniesie koszty. Minęło pół roku, a ZMP nie otrzymał odpowiedzi.

Tymczasem stosunek do dzików, których według Lasów Miejskich jest w Warszawie ok. 2500, podzielił mieszkańców, szczególnie w dzielnicach Białołęka i Wawer, gdzie odnotowano najwięcej zgłoszeń. Od stycznia do końca września urzędnicy przyjęli już 6011 interwencji w sprawie tych zwierząt. W całym 2024 r. było ich 5128, więc władze uznały, że trzeba w końcu zareagować, czyli odłowić, a potem zabić 400 osobników – do końca tego roku. Decyzję wydał Rafał Trzaskowski.

Strzelać czy sadzić hiacynty?

Podobne rozwiązania przyjęto w wielu innych miastach. W Gdyni rok temu zredukowano populację dzików o 202 sztuki, ale prezydent Aleksandra Kosiorek powołała też zespół ds. dzikich zwierząt. Ma stworzyć długofalową strategię i znaleźć alternatywne do zabijania metody zmniejszania ich populacji. Przyjęto założenie, że odstraszanie zapachowe i dźwiękowe oraz zmiany w nasadzeniach roślin w przestrzeni miasta będą skuteczniejsze niż zabijanie albo kosztowna, wymagająca odławiania i usypiania, sterylizacja. Toteż latem na rabatach i klombach Gdyni pojawiły się hiacynty, rdest i lawenda. Ich intensywny zapach odstrasza dziki.

– W Berlinie przez wiele lat próbowano zredukować populację dzików poprzez odstrzały, ale nie przyniosło to dobrych rezultatów. Tymczasem Barcelona, w której w 2016 r. zarejestrowano 2 tysiące incydentów z ich udziałem, przyjęła inną strategię – wyjaśnia Izabela Kadłucka, biolożka i zoopsycholożka z fundacji Niech Żyją. – Władze zdecydowały się na działania kompleksowe: współpracę z naukowcami, odpowiednie zabezpieczenie koszy, lepsze gospodarowanie odpadami, wprowadzono też zmiany w nasadzeniach i planowaniu przestrzennym. Efektem był spadek liczby incydentów o 70 proc.

Kadłucka podkreśla, że w Polsce poprzez fragmentację i zniszczenie naturalnych ekosystemów zwierzęta straciły przestrzeń do życia. Ale choć świat ludzi i dzikich zwierząt rządzi się innymi prawami, powinniśmy rozumieć, iż chroniąc przyrodę, działamy też na własną korzyść. Dlatego fundacja Niech Żyją protestuje przeciwko masowemu zabijaniu dzików; eliminacja jednego gatunku ze środowiska może przynieść nieprzewidziane konsekwencje.

Na przecięciu ścieżek

We Wrocławiu najwięcej dzikich zwierząt można spotkać na osiedlach przylegających do lasu. Żyją też na terenach niezurbanizowanych, takich jak pola uprawne, parki, lasy oraz doliny rzeczne, stanowiące jedną trzecią powierzchni miasta. W 2024 r. w stolicy Dolnego Śląska odnotowano 1453 zgłoszenia o zagrożeniu stwarzanym przez dzikie zwierzęta; najbardziej obawiano się ataków ze strony dzików, lęk budziły też lisy, które podejrzewano o przenoszenie chorób.

– W obrębie Wrocławia żyją nietoperze, dziki, sarny, lisy, kuny, staramy się więc realizować programy profilaktyczne ograniczające uciążliwości, jakie powodują. Musimy się też jednak nauczyć, jak współżyć ze zwierzętami, które przecież były tu przed nami, i jak reagować w sytuacjach „przecięcia naszych ścieżek" – wyjaśnia Bartłomiej Świerczewski, zastępca dyrektora Departamentu Strategii i Zrównoważonego Rozwoju Urzędu Miasta we Wrocławiu.

Programy profilaktyczne obejmują działania edukacyjne dla mieszkańców, ale też wspieranie ośrodków rehabilitacji dzikich zwierząt czy całodobowego pogotowia interwencyjnego. Istotne jest również zapobieganie migracjom w głąb miasta poprzez używanie odstraszających środków zapachowych. Na terenie Wrocławia (i w wielu innych miastach) znajdują się także „odłownie", jednak z uwagi na wspomnianą już groźbę rozprzestrzenienia się ASF nie można schwytanych zwierząt transportować dalej. Odławianie oznacza więc w praktyce zabijanie dzików.

Stowarzyszenie Ochrony Zwierząt Ekostraż działa we Wrocławiu od 2009 r., po-

OGŁOSZENIE

tokfm

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice
97,7 FM Poznań | 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

magając przez całą dobę zwierzętom domowym, dzikim oraz wolno żyjącym. W ośrodku znalazł pomoc m.in. osierocony lis z padaczką, wydra, mały jenot znaleziony w rowie w stanie hipotermii i wiele innych zwierząt, które ludzie odbierali naturze, a potem nie potrafili sobie z nimi radzić w domu. Szczególnym symbolem działalności Ekostraży stała się pomoc jeżom.

– Mamy w sobie jako społeczeństwo sporo empatii, która sprawia, że chcemy pomagać małym zającom, lisom czy jeżom, ale nie wiemy jak i ostatecznie bardziej im szkodzimy. Jesteśmy skrajnie niewyedukowani. Przynosimy do domu dzikie zwierzęta, a gdy okazuje się, że to nie są zabawki, tylko niezależne osobniki, które nie poddają się ludzkim zachciankom i odbiegają od wyobrażeń wykreowanych przez popkulturę, postanawiamy się ich pozbyć – opisuje Katarzyna Szakowska, wolontariuszka i rzeczniczka prasowa Ekostraży. – Widziałam przypadki bardzo niefrasobliwego traktowania zwierząt. Ludzie chcą się zaprzyjaźniać, głaskać, robić im zdjęcia. Nie wiedzą, jak bardzo je to stresuje, ale też naraża ich samych na niebezpieczeństwo.

Darmowe stołówki

Kamil Guzik, opiekun ssaków drapieżnych we wrocławskim zoo, wrócił właśnie ze szkolenia w Rumunii, gdzie przy głównej drodze obok turystycznych miejsc ustawiają się niedźwiedzie. Nie opłaca się im szukać jedzenia w lesie, bo lepsze kąski dostają od turystów, i do tego bez żadnego wysiłku. Na podobny pomysł wpadł jeleń nad Morskim Okiem. Nie boi się ludzi – jak mu gorąco, to chłodzi się w wodzie, a jak zgłodnieje, patrzy znacząco turystom w oczy. Ludzie oznaczają pokarm.

– Zwierzęta dostosowują się do zmieniających się warunków. Obecnie miasto jest dla nich o wiele łatwiejsze do życia niż las – to darmowa stołówka. Obsadzamy parki dębami, na działkach sadzimy drzewa owocowe, a przecież to doskonały pokarm dla dzików. To bardzo inteligentne zwierzęta, charakteryzuje je doskonały węch, więc bez problemu wytropią też resztki jedzenia na naszych osiedlach – wyjaśnia Kamil Guzik.

Pracownicy wrocławskiego zoo obserwują, jak „miejskie dzikie zwierzęta" zapuszczają się do ogrodu zoologicznego, aby

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



W Gdyni przyjęto założenie, że skuteczniejsze od zabijania będą rośliny, których zapachu dziki nie znoszą. Latem na klombach pojawiły się hiacynty, rdest i lawenda.

na jego terenie polować lub podkradać pokarm. Zoo mieści się nad brzegiem Odry i przyciąga dzikich lokatorów, bo niektóre zwierzęta umieszczone w klatkach nie mogą się bronić przed intruzami. Zdarzało się już, że lisy, kuny czy szopy pracze przekradały się przez ogrodzenie i polowały na ptaki, dlatego przy wielu stanowiskach zainstalowano elektryczne pastuchy.

– Usuwamy intruzów, ale to walka z wiatrakami. Złapaliśmy niedawno w ogrodzie lisa, oznaczyliśmy go specjalną zieloną farbą, wywieźliśmy do lasu i w ciągu tygodnia wrócił – opisuje Kamil Guzik.

Tragedie na poboczu

Opieka nad dzikimi zwierzętami to kolejny temat, będący gorącym kartoflem. Gminy nie chcą ponosić kosztów opieki i leczenia zwierząt żyjących w naturze, bo nie mają na to środków. Nie ma również procedur, jak postępować w sytuacji, kiedy na terenie jednostki samorządowej znajduje się chory lub ranny osobnik. W wielu działaniach samorządy wyręczają dziś organizacje pozarządowe.

– Ratujemy zwierzęta, które ucierpiały na skutek kontaktu z człowiekiem, ale możemy pomóc tylko drobnej części poszkodowanych. Czasami pomoc wiąże się z przeprowadzeniem eutanazji; skracamy w ten sposób cierpienie, którego doświadcza zwierzę. Kiedy jednak jest szansa na pomoc lekarską, ratujemy danego osobnika, ale staramy się nie przetrzymywać go zbyt długo w naszym azylu. Nie chcemy oswajać zwierząt, zależy nam na ich szybkim powrocie do środowiska, dlatego mamy dużą rotację w ośrodku – tłumaczy Daniel Rutkowski, prezes fundacji Kopytka z Nadzieją.

Fundacja mieści się w Okuniewie koło Warszawy i prowadzi azyl „dla zwierząt leśnych i gospodarskich". Trudno jednak pomóc sarnie potrąconej przez auto, bo nawet jeśli ma złamaną kończynę, nie można jej z gipsem wypuścić do lasu. Nie można też dokonać amputacji, bo tak okaleczone zwierzę stanie się łatwym łupem dla wilków, toteż najczęściej kończy się na eutanazji. Niestety, na dodatek zdarza się często, że gdy dorosła sarna przebiega przez jezdnię, w kolejce za nią czekają dzieci. Kiedy więc dogorywa w rowie po kolizji, niedaleko w krzakach czekają jej młode. Pracownicy fundacji biorą często na odchowanie te „powypadkowe" maluchy, osierocone przez sarny, jelenie czy łosie, i zajmują się nimi tak, by mogły wrócić do przyrody.

– Mamy na tym polu wiele sukcesów – zapewnia Rutkowski. – Udało nam się np. uratować dwa łosie z ciąży bliźniaczej i przywrócić je do środowiska naturalnego.

W azylu fundacji dom znalazło piętnaście koni, dwie krowy, trzy młode osierocone łosie oraz sześć młodych saren. Jest też łoś Wojtek, który trafił do ośrodka po wypadku. – W naszym ośrodku nie ma dzików, ale przyglądamy się ich problemom. Mamy nawet pomysł, jak sobie z nimi poradzić bez konieczności zabijania – twierdzi prezes fundacji. – Procedury związane z ASF zabraniają przewożenia dzików. Może lepiej byłoby wprowadzać odłowione zwierzęta w stan sedacji, pobierać próbki, robić testy na ASF, a jeśli dziki okażą się zdrowe, wywozić je do lasu?

To wszystko jest możliwe, ale nasze państwo niestety ma ważniejsze sprawy na głowie, a po drugie – nie ma w budżecie duszącym się od deficytu pieniędzy. Dziki muszą poczekać na lepsze czasy.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

OLGA

Drenda: *Zobaczyć kuropatwy*



To naprawdę krzepiące widzieć, jak ludzie cierpliwie stoją w kolejkach – albo nawet i doczekują braku biletów – na wystawy w muzeach. I nie chodzi nawet o międzynarodowe, podróżujące hity czy o multimedialne spektakle, lecz o sztukę nobliwą i dobrze znajomą. „Znów nie udało mi się dostać na Boznańską, takie tłumy!", „Na Chełmońskiego kolejka aż za róg" – takie cytaty zdarzyło mi się zasłyszeć osobiście, choć przypominają raczej żart rodem ze wspaniałego komiksu Krzysztofa „Prosiaka" Owedyka o subkulturze szopenowców (o konkursie specjalnie nie wspominam, choć niemal mundialowa atmosfera, jaka z każdą kolejną edycją mu towarzyszy, na pewno i tu by pasowała).

Tym, co tak przyciąga widzów i co budzi tak gorączkowe emocje, jest malarstwo oswojone, można by powiedzieć – ze szkolnego kanonu, widziane wiele razy w setkach reprodukcji, na pocztówkach, notatnikach i kubkach. Błotniste przedwiośnia polskiego pejzażu, roztopy, konne wozy, skromne, szare kuropatwy i żurawie jak pterodaktyle u Chełmońskiego, ciche niedopowiedzenia i stonowana paleta portretów Boznańskiej, malarstwo tak własne, że łatwo zaryzykować myśl, iż oczywiste aż do przezroczystości. A jednak stanąć oko w oko z płótnem – to inny rodzaj doświadczenia.

Kura i jakaś dziwna kuropatwa



OLGA DRENDA

Gdybym miała większe skłonności do snobowania się, napisałabym triumfalnie, że popatrzcie: kolejki ustawiają się do galerii sztuki, a nie do galerii handlowych. Ale byłby to jedynie popis ignorancji. Najprawdopodobniej te same osoby, które z tak godnym podziwu uporem tkwią w kolejkach po bilety na klasyków malarstwa, lubią także galerie handlowe i może nawet specjalnie wybierają się tam na wyprzedaże w czarny piątek. Odbiorca kultury i zwyczajny klient to ten sam człowiek.

Bo też chyba największą i najbardziej żenującą mielizną, na jaką można wpaść, myśląc i mówiąc o kulturze, jest postrzeganie jej w kategoriach albo-albo. Choć pokusa publicystycznego popisu – a pewnie także i lekceważonej u siebie samego skłonności do snobizmu czy upodobania do sądzenia bliźnich – każe często wybierać, jakby grożąc bronią: albo sztuka, albo rozrywka, to jednak przeciętny człowiek bez większego problemu mieści w swoich upodobaniach jedno i drugie. Poznałam w życiu wystarczająco wielu ludzi, którzy nie widzieli, i słusznie, sprzeczności w tym, że można słuchać i disco polo, i Renaty Przemyk, Marka Grechuty czy muzyki filmowej. Przeciętna ludzka głowa jest pojemna i wcale nieszczególnie (na szczęście) poszufladkowana.

Być może człowiek ma jednak w sobie potencjał samoregulacji. I ten potencjał podpowiada mu pragnienie bliskiego, naocznego kontaktu z gęsto kładzionymi warstwami farby w bogatej tonacji brązów i rudoburości; zachęca, by przyglądać się uważnie, jak to też człowiek może wymyślić, że kropka bieli raptem tworzy światło, a z gąszczu plamek układa się melancholijna twarz dziewczynki sprzed ponad stu lat. Patrząc z bliska na choćby doskonale znany obraz, dziwimy się, i często nadziwić nie możemy temu, co potrafi ludzkie oko i ręka, podziwiamy nie tylko samo przedstawienie, ale i to, jak zostało wymyślone i zrobione, w naszych głowach odtwarza się proces. Dlatego tłoczymy się w kolejkach po bilety – nie tylko po to, by zobaczyć kuropatwy czy móc powiedzieć „widziałam kuropatwy", ale też dla całej chwalebnej dziobaniny kryjącej się za ich dwuwymiarowym przedstawieniem. To coś, czego żadne zapośredniczenie dać nam nie może, i to właśnie podpowiada: idź zobaczyć malarstwo (także i takie, które już dobrze znasz: najprawdopodobniej tym razem zobaczysz w nim coś, co cię znów poruszy).

I znów: jest oczywiście pokusa, żeby pobawić się w pouczanie, bo tak przyjemnie przecież gromić z katedry: „jak to dobrze, że triumfuje klasyczne malarstwo, dzieło ludzkich rąk, a nie głupie filmiki z telefonu". Tyle że znów nie ma tu żadnego albo-albo: najprawdopodobniej ci sami ludzie, którzy realnie zachwycają się „Odlotem żurawi", oglądają także i błahe filmiki. Jedna ludzka głowa – i to najzwyczajniejsza, najbardziej przeciętna z powszednich ludzka głowa – jest bowiem zdolna pomieścić jedno i drugie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

SCULPTURE EXHIBITION

The Voice(s)

of Alina Szapocznikow

18.09.2025 – 9.03.2026

Mecenas Muzeum

Sponsor strategiczny Muzeum

Oficjalny przewoźnik Muzeum

Wspólna instytucja kultury

Patroni wystawy

Patroni medialni

REKLAMA

ŚWIAT

BUNT ZETEK

Maroko i Nepal, a wcześniej Bangladesz. Paliwem dla protestów, które wstrząsnęły ostatnio tymi krajami, jest to samo: zmęczenie młodych kierunkiem modernizacji, który obrały stare elity.

MAREK RABIJ



Grube czarne litery, składające się na to hasło, musiała pisać wzburzona ręka. Nie trzymają linii i niemal zlewają się w jedno słowo. „Przynajmniej na stadionach FIFA będą zestawy do pierwszej pomocy" – czytamy na kawałku kartonu, który trzyma nad głową młoda Marokanka.

Za jej plecami, na zdjęciu jednej z agencji prasowych, tłum rówieśniczek i rówieśników również powiewa własnoręcznie wykonanymi transparentami.

Protest w Rabacie, stolicy Maroka, przebiegnie spokojnie. Za to na przedmieściach Agadiru, półmilionowego kurortu nad Atlantykiem, policja nie wytrzyma ciśnienia i otworzy ogień do demonstrantów; zginą dwie osoby. Ich śmierć rozsierdzi ulicę bardziej niż wcześniejsza informacja, że w miejscowym szpitalu zmarło kilka młodych kobiet, którym nie udzielono należytej pomocy.

Nastroje w Maroku względnie uspokoi dopiero król Mohammad VI: w specjalnym orędziu obieca zwiększyć wydatki na zdrowie i edukację o równowartość ok. 15 mld dolarów. Wezwie też do „przyspieszonych reform", których celem ma być poprawa jakości życia młodych Marokańczyków.

Zetki kontra mundial

Iskrą, która w połowie września doprowadziła do wybuchu protestów w głównych miastach Maroka, była informacja, że budowa wielkiego stadionu piłkarskiego i remont kilku innych nie zamknie się w planowanej kwocie 5 mld dolarów. Maroko wydaje te pieniądze, gdyż jest współgospodarzem mundialu w 2030 r. (obok Hiszpanii i Portugalii).

Stadion imienia króla Hasana II, ojca obecnego monarchy, powstaje w Benslimane, 40 km od Casablanki. Ma pomieścić 115 tys. widzów. Dla władz jest nie tylko wyznacznikiem ich modernizacyjnych aspiracji, ale też symbolem rosnącego znaczenia Maroka w regionie.

O tym, że w tym punkcie rząd całkowicie mija się z nastrojami społecznymi, zwłaszcza wśród młodych, już na początku roku przestrzegały kolejne sondaże. Wynikało z nich, że poparcie dla mundialu i związanych z nim wydatków systematycznie spada.

W marokańskich mediach społecznościowych popularność zyskało za to hasło „Stadiony są, ale gdzie są szpitale?". Oraz: „Nie potrzebujemy mundialu, lecz pracy". Atmosferę zaogniły plotki, jakoby w budowę w Benslimane włączyły się firmy powiązane z ludźmi ze sfer rządowych.

W niedzielę 14 września młodzi demonstranci starli się z policją w Casablance. W kolejnych dniach protesty – coraz gwałtowniejsze i coraz brutalniej tłumione – miały miejsce w Fezie, Rabacie, Marrakeszu, Tangerze i Agadirze. Na 19 września władze zaplanowały uroczystość, podczas której miały przedstawić stan przygotowań do mundialu. Premier Aziz Achannusz odwołał ją w ostatniej chwili. Zamiast fety zapowiedział audyt wydatków.

Na próżno. Trzy dni później protesty objęły już kilkanaście miast w całym kraju. Wedle oficjalnych informacji zginęły w nich trzy osoby.

Rewolucja wyłączonych

Gdy w Maroku dopiero gęstniała atmosfera, w Nepalu protesty młodych już trwały.

12 września prezydent Ram Ćandra Paudel rozwiązał parlament, a misję stworzenia rządu tymczasowego, który ma doprowadzić kraj do zaplanowanych na marzec 2026 r. wyborów, powierzył 73-letniej Sušili Karki, byłej przewodniczącej Sądu Najwyższego. W istocie była to desperacka próba usankcjonowania *status quo*, które elitom narzuciła ulica.

Wszystko zaczęło się w lipcu, gdy rząd rozpoczął prace nad ustawą o bezpieczeństwie cyfrowym, która – wbrew nazwie



DAMIEN MEYER / AFP / EAST NEWS

Młodzi Marokańczycy z pokolenia Z protestują pokojowo przed parlamentem w Rabacie, 9 października 2025 r.

– miała być kneblem na wolność słowa. Pod pretekstem walki z dezinformacją, nowe prawo miało pozwolić rządowi na blokowanie serwisów i kont społecznościowych, które „naruszają porządek publiczny".

Gdy 4 września władze w Katmandu faktycznie zablokowały dostęp do 26 serwisów i platform społecznościowych (w tym TikToka, Instagrama, Discorda i platformy X), na ulice stolicy i większych miast wyszło ponad 200 tys. ludzi. Głównie uczniów i studentów.

Rząd wysłał przeciw nim służby mundurowe. Protestujący, używający na masową skalę technologii VPN (zapewniającej bezpieczną sieć), obchodzili rządowe blokady i skrzykiwali się w sieci na kolejne demonstracje. Zwykle pod hasztagiem #UnpluggedRevolution, rewolucja wykluczonych.

9 września w Katmandu, Pokharze i Lalitpurze na ulice wyszło ponad pół miliona ludzi. Dołączyło do nich wojsko. Premier Khadga Prasad Szarma Oli złożył dymisję. Rząd tymczasowy szybko cofnął wszystkie blokady sieci i zapowiedział powołanie komisji do spraw reform cyfrowych.

Protesty wyciszyła jednak dopiero inna obietnica: rząd zobowiązał się do utworzenia miejsc pracy w administracji dla młodych Nepalczyków.

Przemoc w Bangladeszu

Nepal i Maroko dzieli 7 tys. kilometrów. Łączy skala nepotyzmu i korupcji w życiu publicznym oraz brak perspektyw dla młodych. W obu krajach bezrobocie wśród ludzi do 24. roku życia przekracza 20 proc.

Pod tym względem Nepal i Maroko bardzo przypominają Bangladesz – trzeci kraj, w którym na przestrzeni ostatnich miesięcy protesty generacji Zet wymusiły korektę polityki.

W krótkiej, acz burzliwej historii Bangladeszu (niepodległy jest od 1971 r.) obalonym liderom rzadko udawało się ujść z życiem. W 1981 r. od kul spiskowców zginął prezydent Ziaur Rahman. W 1975 r. grupa oficerów, rozgoryczonych nieudolnością rządu utworzonego przez prezydenta Mudźibura Rahmana, zaatakowała jego dom. W masakrze zginął sam Rahman, jego żona i trzech synów z żonami, a także kilkadziesiąt innych osób. Ocalały dwie córki, które bawiły w Europie.

Niemal pół wieku później, 5 sierpnia 2024 r., jedna z tych córek, Szejk Hasina – pełniąca funkcję premierki Bangladeszu – wsiadła na pokład wojskowego śmigłowca i wraz z młodszą siostrą opuściła rezydencję w Dhace. Kilka godzin później wylądowały w Indiach.

Kontrolę nad państwem przejęło wojsko, a jego dowódcy zapowiedzieli, że doprowadzą do sformowania gabinetu ↦

↦ tymczasowego „w ciągu kilku godzin". Do sztabu generalnego zaprosili profesora Asifa Nazrula z uniwersytetu w Dhace i poprosili, by zaapelował do studentów o „powstrzymanie rozlewu krwi". Na próżno. Tłum protestujących, wściekłych na wieść o ucieczce premier Hasiny, zaatakował i podpalił rządowy kompleks.

Studenci kontra system

Zanim premierka Hasina uciekła, przez największe miasta Bangladeszu przetoczyły się protesty, których motorem była – podobnie jak później w Nepalu i Maroku – młodzież i młodzi dorośli. Ich przyczyną była zaś decyzja Sądu Najwyższego, która poza Bangladeszem mogłaby wydać się nawet egzotyczna, gdyby nie pociągnęła tylu ofiar.

Sąd nakazał mianowicie przywrócić tzw. kwotowanie (zawieszone sześć lat wcześniej), czyli zasady naboru do pracy w sektorze publicznym, które umożliwiały dziedziczenie posad przez bliskich tych urzędników, którzy wcześniej zasłużyli się w walce o niepodległość.

W 2018 r., po masowych protestach studentów, władze zawiesiły przepisy, które aż 56 proc. miejsc pracy w służbie publicznej oddawały na wyłączność potomkom kombatantów, a także kobietom i przedstawicielom mniejszości etnicznych. Z tej puli 30 proc. miejsc zarezerwowano konkretnie dla bliskich „bohaterów 1971 roku".

W lipcu 2024 r. studenci – znów studenci – zajęli kampusy i odmówili ich opuszczenia, choć rząd zamknął czasowo wszystkie uczelnie, a na demonstrantów posłał policję i uzbrojonych w maczety bojówkarzy, rekrutowanych wśród Ćhatra League, młodzieżówki rządzącej partii Awami. Ponadto w stołecznej Dhace wyłączono dostęp do mobilnego internetu, aby utrudnić koordynację protestów.

Władze wprowadziły następnie stan wyjątkowy, ale to jedynie zaogniło sytuację. Tylko do końca lipca 2024 r. w Dhace zginęło co najmniej 250 osób, a 10 tys. trafiło do aresztów.

Duży wzrost, niskie zarobki

To tylko pozorna sprzeczność, że tak dramatyczne w skutkach protesty wybuchły w kraju, który w ostatnich latach należy do najszybciej rozwijających się państw globu. W 2024 r. gospodarka Bangladeszu – kraju o powierzchni mniej więcej połowy Polski, a mającego ponad 20 mln więcej ludności niż Rosja – urosła o ponad 4 proc. Od 2020 r. bangladeski PKB wzrósł łącznie o prawie 30 proc.

W tej kategorii Nepal i Maroko wypadają słabiej, bo ze wzrostem PKB na poziomie odpowiednio o 14,3 i 8,7 proc. Jednak w obu przypadkach trudno mówić o gospodarczej stagnacji (dla porównania: w Polsce gospodarka urosła w tym samym czasie o 13,8 proc.).

Protestujący studenci blokują skrzyżowanie w Dhace, stolicy Bangladeszu, 14 października 2025 r.



MARUF RAHMAN / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Wszystkie trzy kraje łączy natomiast wysoki odsetek bezrobotnych wśród młodych. W Bangladeszu pracy nie miało w 2024 r. niemal 11,5 proc. osób w wieku 15-24 lata. Przy czym, zdaniem miejscowych ekonomistów, statystyki oddają raczej stan rzeczy w stolicy i głównych miastach, a nie w całym kraju; gorzej jest zwłaszcza na wsi.

W Nepalu położenie młodych jest jeszcze bardziej niekorzystne: oficjalne dane mówią o bezrobociu na poziomie aż 21 proc. wśród osób w wieku 18-24 lata. Podobnie jest w Maroku: w 2024 r. bez pracy było 22 proc. młodych.

A pensje? Średnia w Bangladeszu to ok. 225 dolarów, ale większość młodych – zwłaszcza zatrudnionych w sektorze odzieżowym, głównej gałęzi gospodarki – może liczyć najwyżej na 180-200 dolarów miesięcznie. Waloryzacja pensji nie nadąża za inflacją, która uparcie trzyma się pułapu 8 proc. rocznie.

W Nepalu średnia zarobków to także ok. 220 dolarów. Na tle obu państw mocno w górę odstaje Maroko, gdzie średnie wynagrodzenie oscyluje na poziomie tysiąca dolarów. Jednak pensje młodych, którzy dopiero wchodzą na rynek pracy, rzadko przekraczają 500 dolarów.

Kwestia nierówności

Nic też dziwnego, że w tych trzech tak szybko rozwijających się krajach wspólnym mianownikiem protestów były również oskarżenia elit o nepotyzm i korupcję.

W Bangladeszu odsetek mieszkańców, którzy wegetują poniżej oficjalnego progu nędzy (tj. za mniej niż dwa dolary dziennie), na przestrzeni trzech ostatnich lat urósł z 18,7 proc. do ponad 25 proc. Kraj stoi nie tylko na produkcji odzieży – jego towarem eksportowym od dekad jest też tania siła robocza. Nieprzypadkowo najbogatszym obywatelem, z majątkiem szacowanym na 12 mld dolarów, jest Musa Bin Szamser, twórca agencji pracy tymczasowej DATCO.

Z kolei w Nepalu, żyjącym z turystyki, średnią pensję windują wynagrodzenia specjalistów. W języku potocznym funkcjonuje zaś pejoratywny termin *nepo-kids*: to bananowa młodzież z domów zamożnych oficjeli, która nie musi się martwić o przyszłość, bo tę zaaranżowali im wpływowi rodzice.

Stare elity, przeciw którym występują dziś młodzi Nepalczycy, Bengalczycy i Marokańczycy, to w olbrzymiej większości ludzie z pokolenia w dorosłość wchodzącego w latach 80. i na początku lat 90. XX w. W państwach, nazywanych wtedy Trzecim Światem, masowa turystyka i outsourcing produkcji jawiły się jako panaceum na społeczne i gospodarcze bolączki.

W ten porządek były wpisane też nierówności dochodowe, co kolejne roczniki przyjmowały nawet nie tyle z rezygnacją, co ze zrozumieniem. Na szybkim rozwoju gospodarki prędzej czy później zyskiwać mieli wszyscy. Aż przyszło bolesne otrzeźwienie.

Komu służy rozwój

Młodzi z Maroka, Nepalu i Bangladeszu dostrzegli już, że służalczy model rozwojowy, który ich państwom zaszczepiono jakby z taśm montażowych Toyoty, na dłuższą metę jedynie utrwala nierówności.

O co chodzi z tą Toyotą? W latach 70. XX w. japońscy menedżerowie wymyślili system organizacji produkcji, oparty na szybkich dostawach podzespołów dla fabryk tylko w niewielkich ilościach, dopiero wtedy, gdy są potrzebne. Model ten, nazwany potem *just in time* (ang. w samą porę), dawał duże oszczędności na magazynowaniu, ale wymuszał na koncernie stałą współpracę z zewnętrznymi dostawcami.

Szefowie Toyoty nie zdawali sobie wtedy sprawy, że usprawniając w ten sposób produkcję, zarazem przestawiają globalną gospodarkę na tory outsourcingu. Nie mogli tym bardziej przewidzieć, że takie państwa jak Bangladesz, Nepal czy Maroko uzależnią się od zamówień i klientów z zagranicy.

Elity rządzące w Dhace, Rabacie i Katmandu wciąż łączy przekonanie, że ich kraje mogą się rozwijać jedynie w ten sposób. Jednak dla dwudziestolatka z Bangladeszu ze średnią krajową, który na nową toyotę corollę musiałby pracować 29 lat, nie jest to już oczywiste.

©℗ MAREK RABIJ



INES STUART-DAVIDSON / RBG KEW

Milenijny Bank Nasion (MSB) Królewskich Ogrodów Botanicznych Kew w Wakehurst

Nasionka nas ocalą

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

STYL ŻYCIA | Gdy zmienia się klimat, a pogoda staje się nieprzewidywalna, nadzieję dają nam nasiona. Najlepsze są te z naszych własnych ogródków. Opowieści na czas jesieni – i nie tylko.

W sierpniu, po kilkutygodniowej nieobecności, w ogródku powitały mnie uschnięte zbrązowiałe warzywa i kwiaty. Zwykle nie potrzebowały podlewania, wystarczał im deszcz. Ale w tym roku w Szkocji padało rzadko, wiosną w ogóle najmniej od 1964 r. Latem gdzieniegdzie poziom rzek spadł do poziomu krytycznego.

Tych tygodni bez deszczu w moim ogrodzie nie przetrwała więc nie tylko delikatna sałata, ale nawet ziemniaki i odporna zwykle mięta. Zostało ledwie kilka roślin: srebrzyste kocanki (ze względu na zapach zwane rośliną curry), a z warzyw cebule, marchewki i pory. Oraz maliny: choć ich liście zbrązowiały, wydały drobne owoce.

Pory natomiast – mimo że to warzywo mające duże wymagania, gdy idzie o wodę – nie tylko wyglądały na zdrowe i silne, ale zakwitły wielkimi kulami na długich grubych łodygach. Za późno było na ich wykorzystanie w kuchni, więc je zostawiłam, by sobie kwitły.

DOMOWE SASZETKI | Teraz, pod koniec października, te białe kuliste kwiatostany – złożone z maleńkich kwiatów na cienkich szypułkach – zmieniają się w kule nasion. Przetrwały i lato, i niedawny orkan Amy. Położył on kres tym roślinom w ogrodzie, które, podlewane, znów się zazieleniły.

Wstrząsam kwiatostanami porów nad pudełkiem – maleńkie czarne nasiona wysypują się z nich jak mak. W jednym gramie może się ich zmieścić nawet czterysta. Trafią do papierowych torebek, a te do pudełka po butach, gdzie trzymam nasiona na kolejny sezon.

Są tu nasiona z lokalnej biblioteki, która wiosną spełnia ważną dla okolicy funkcję: można się w niej dzielić nasionami. Ludzie przynoszą to, co mają. ↦

↦ Saszetki, z odręcznymi opisami i poradami, leżą potem na stoliku – można przebierać. Mam też nasiona, które przywiozłam z tegorocznej wystawy RHS Hampton Court Palace Garden Festival w Londynie.

Na wiosnę czeka też garść fasolek w kolorze kawy z mlekiem – też z Hampton Court. Dostałam je na stoisku The Heritage Seed Library: organizacji, która gromadzi nasiona tradycyjnych i rzadkich warzyw. Opisane były krótko jako fasolki oro, podobno ktoś je podarował. Umówiłam się, że wezmę je i zasadzę, a potem zamelduję, co wyrosło. To moje nasiona-niespodzianka.

PAPRYKA Z DONIECKA | W 1989 r., gdy Związek Sowiecki chylił się ku końcowi, do Doniecka przybyła ekipa brytyjskich filmowców. Mieli kręcić zdjęcia do dokumentu o założycielu miasta – walijskim przedsiębiorcy Johnie Hughesie (założył je w 1869 r.). Był wśród nich Adam Alexander, wówczas producent filmowy. Ta podróż miała okazać się przełomowa w jego życiu – choć nie za sprawą filmu, lecz tego, co przywiózł z Doniecka: nasion papryki.

O historię tego niezwykłego warzywa pytam Alexandra dziś, ponad 35 lat później. Obecnie jest znanym ogrodnikiem i autorem książek; mówią o nim: „detektyw od nasion".

– Poradzono mi, że jeśli chcę kupić świeże jedzenie, najlepiej jest pójść na Rynek Centralny – opowiada Alexander „Tygodnikowi". – Tam spotkałem starszą kobietę, typową babuszkę. Sprzedawała owoce i warzywa ze swego ogródka, aby dorobić do emerytury.

– Tego dnia miała papryki – wspomina Alexander. – Kupiłem kilka, bez większych oczekiwań. Uprawiałem już paprykę w moim ogrodzie w Wielkiej Brytanii. Ale, bądźmy szczerzy, brytyjskie odmiany nie mają w sobie nic szczególnego. Tymczasem te z Doniecka... Przekroiłem jedną, ugryzłem i... wow!

– Miała gruby miąższ, fantastyczny, bardzo złożony smak, lekko owocowy, z delikatną nutką ostrości, tylko na tyle, by przypomnieć, że jemy paprykę – opisuje swoje odczucia. – Wprawdzie to typowy smak dla tradycyjnych słodkich papryk, ale współcześni hodowcy zdołali się tej ostrości pozbyć.



PATRYCJA BUKALSKA

Pory w ogródku naszej autorki, jesień 2025 r.

PIĘKNA PODRÓŻ | Alexander zabrał nasiona do domu i tu wyhodował. – Jest dla mnie niezwykle ważna, bo od niej zaczęła się moja wielka podróż w poszukiwaniu i zbieraniu nasion – mówi dziś.

Jednak nie tylko dlatego: – Ponieważ uprawiam tę paprykę tak długo, na przestrzeni lat starannie zbierałem nasiona tych roślin, które owocowały pierwsze, i tych, które były w stanie rosnąć na zewnątrz w Wielkiej Brytanii. Dziś mam odmianę, która zakwita jako pierwsza, a owocuje długo. Nawet teraz, jesienią, mam jeszcze co zbierać w moim ogródku w Walii!

Tak powstała walijska odmiana donieckiej papryki, której nasiona, jak zapowiada Alexander, w przyszłym roku trafią po raz pierwszy do sprzedaży.

Przygoda z doniecką papryką, która stała się papryką walijską, to ilustracja faktu, że najlepsze nasiona dla naszych ogrodów pochodzą z roślin w tychże ogrodach, a nie od wielkich dostawców.

Choć rzecz dotyczy hodowli na małą skalę, ma znaczenie globalne. – Odmiany przystosowane do lokalnych warunków mają kluczowe znaczenie dla naszego przetrwania. Zwykli ogrodnicy są częścią tego rozwiązania: tego, jak odbudowujemy genetyczną bioróżnorodność i odporność uprawianych przez nas roślin – uważa Alexander.

Dodaje: – Powinniśmy przyjąć sposób myślenia pierwszych rolników, którzy 12 tys. lat temu, kierowani głodem i ciekawością, dokonywali wyborów w oparciu o kolor, wielkość, smak, wydajność. Powinniśmy rok do roku zbierać nasiona tych roślin, które nam odpowiadają, szukając w nich cech dla nas ważnych. To początek podróży, podczas której tworzymy odrębność i żywotność naszych upraw.

BANK Z WAKEHURST | O ile zwykli ogrodnicy pieczołowicie pakują swoje nasionka w papierowe torebki, dużo bardziej skomplikowane procesy przechowywania i zabezpieczania nasion trwają w Milenijnym Banku Nasion (MSB) Królewskich Ogrodów Botanicznych Kew w Wakehurst.

Bank właśnie obchodzi 25. urodziny. W ciągu ćwierćwiecza zgromadzono tam 2,5 miliarda nasion z 40 tys. gatunków dzikich roślin z całego świata. Przechowywane są w podziemnym bunkrze, w zamrażarkach w temperaturze minus 20 stopni.

Czy jest jakiś limit tego zbioru? Pytam o to Charlotte Lusty, szefową działu Seed Collection MSB. – Pewnie jest limit pojemności fizycznej. Nie dążymy jednak do jakiejś liczby gatunków i odmian, nie o to chodzi – mówi Charlotte.

O co więc? – Wszystkie nasiona, które tu się znalazły, mają jakieś przeznaczenie. Czy w obszarze naukowym, czy dlatego, iż rośliny te znikają tak szybko, że próbujemy ochronić je przed wyginięciem. Rolą naszego banku jest nie tylko ochrona nasion, by nie znikły, ale też poprawa stanu środowiska, wprowadzenie tam na nowo nasion pewnych roślin i poprawa siedlisk na świecie, niszczonych np. przez pożary i powodzie.

W banku są dziś nasiona ośmiu gatunków, które całkowicie wyginęły – przy czym jeden udało się na nowo wprowadzić w Wielkiej Brytanii. To *bromus interruptus*, rodzaj stokłosy.

Kolejne ponad 600 gatunków uznaje się za krytycznie zagrożone.

EKSPERYMENTY | W Wakehurst gromadzi się nasiona roślin dzikich, ale niektóre są jadalne, a inne spokrewnione z gatunkami roślin uprawnych.

Charlotte Lusty: – Gdy uprawiamy rośliny, pozbywamy się pewnych ich charakterystyk. Pierwsze rośliny były bardziej odporne na zmiany środowiska, choroby i szkodniki. W wyniku hodowlanych modyfikacji stały się słabsze. Ważne jest więc, by mieć zasoby, do których można wrócić. Tak, by przywrócić roślinom pewne cechy, utracone w procesie hodowli. Wiele uprawianych roślin ma w rodowodzie „dzikiego rodzica".



PATRYCJA BUKALSKA

Ich bank ma też znaczenie dla rolnictwa. Tutejsi naukowcy zajmują się np. badaniem rzadszych odmian prosa czy yam, które dobrze sobie radzą w gorącym klimacie. Na podstawie ich genetyki i morfologii zdecydują, czy warto wykorzystać je do krzyżówek w hodowlach lub do próbnych upraw.

– Mogą odegrać olbrzymią rolę w życiu rolników w południowych Indiach czy Afryce subsaharyjskiej – wierzy Charlotte Lusty.

Naukowcy starają się, by zbierane nasiona pochodziły z różnych populacji tego samego gatunku. To istotne zwłaszcza w przypadku nasion, które mogą mieć zastosowanie rolnicze – chodzi o możliwość uprawy dostosowanej do warunków w danym miejscu.

NATURA WIE, CO ROBI | Będąc kiedyś w Albanii, której południowo-wschodni region uważa się za unikalny w Europie „tygiel różnorodności upraw", Adam Alexander spotkał Astrita Kadilli. Ogrodnika, który uprawia miejscowe warzywa



ADAM ALEXANDER

Papryka hodowana przez Adama Alexandra z nasion z papryki z Doniecka.
Obok: Adam Alexander

na hektarze ziemi w Korczy. W tym wiele różnych papryk obok siebie. Zapytał, czy go nie martwi, że przez to wymieszanie niektóre dadzą inne owoce, niż można się spodziewać po macierzystych krzaczkach.

„I co z tego? – odparł albański rolnik. – Chcę smaczną ładną paprykę, a jeśli będzie miała wymieszane geny, mi to nie przeszkadza.

Alexander przytacza tę historię, bo uważa, że należy pozwolić naturze na ogrodnicze eksperymenty. – Im bardziej pozwalamy jej na przypadki, z których wyłania się nowa różnorodność warzyw i owoców, tym lepiej dla nas – przekonuje. – Im większe zróżnicowanie naszego systemu żywieniowego, tym bardziej odporni jesteśmy na lepsze i gorsze zbiory w dzisiejszym klimacie.

Na marginesie: na albańskim polu Alexander szukał odmiany papryki, zwanej Gogozhare e Madhe, podobnej do tej z Doniecka. Możliwe, że obie pochodzą od tego samego przodka, który przybył do wschodniej części basenu Morza Śródziemnego w XVI w. Choć Korcza i Donieck mają różny klimat, tu i tam lato jest długie i gorące. To wystarczyło.

GARŚĆ PORAD | Większa różnorodność: ta magiczna recepta pada także w mojej rozmowie z Heleną Dove, która kieruje Ogrodem Kuchennym w Królewskich Ogrodach Botanicznych Kew w Londynie.

Pytam, co począć z moim szkockim ogródkiem, skoro w 2024 r. padało za dużo, a teraz za mało. – Sadzę szerszy zakres warzyw i godzę się z tym, że niektóre nie przyniosą plonów. Na przykład w tym samym sezonie sadzę rośliny lubiące chłodne lato, jak groszek, i te dobrze rosnące podczas gorącego lata, jak melony – wylicza Helena. – W upalne lato groszek nie wzejdzie, a w chłodne lato nie urosną melony, ale w obu latach będę jednak miała co zbierać.

Ponieważ trudno jest dziś przewidzieć pogodę, wydaje się to jej najlepszym sposobem, by zapewnić sobie plony. – A melony można uprawiać wokół podstawy grochu, więc nie zabiorą dodatkowej przestrzeni.

Helena Dove radzi też, by uprawiać więcej roślin wieloletnich. Mają lepiej rozwinięty system korzeniowy, więc są bardziej odporne na suszę. – Korzenie pełnią też funkcję kotwic, co jest przydatne podczas obecnych intensywnych wiatrów.

Obserwacja i eksperymentowanie: Helena Dove zdradza słowa-klucze. – Jako ogrodnicy musimy być cierpliwi, bo możemy testować nowe idee tylko raz w roku, a resztę sezonu spędzamy na obserwacji. Nie należy bać się eksperymentowania, próbowania nowych upraw. Warto uczyć się na błędach.

ZIARNA OPTYMIZMU | – Nasiona są odporne, innowacyjne i twórcze. Są naszymi najlepszymi przyjaciółmi od początku ludzkości, bo przecież jesteśmy rolniczym gatunkiem. Możemy na nich polegać – mówi Charlotte Lusty. Podkreśla, że jest optymistką, bo nasiona w ich banku to jak skrzynia pełna skarbów, pełna nowych rozwiązań. – Te, które zgromadziliśmy, będą żyć dłużej niż my.

Z kolei Adam Alexander pokłada wiarę w tym, co do ogrodnictwa wniesie młode pokolenie: – Wielu młodych ludzi myśli, jak zapewnić smaczne i zdrowe jedzenie dla nas wszystkich. Szybko się uczą, wnoszą nowe umiejętności, to źródło energii na przyszłość.

Za kilka miesięcy wysieję nasiona porów z mojego ogródka. Dostaną kolejną szansę na życie. Może rok 2026 nie przyniesie suszy? A nawet jeśli, to kto wie, może dadzą sobie radę? Przecież ich „rodzice" jedno trudne lato już przetrwali.

Zasadzę też fasolki oro, może spodoba im się w Szkocji. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Ministerstwo chałtury

TOMASZ OTOCKI Z WILNA

LITWA | Pisarze i artyści protestują przeciw udziałowi skrajnej prawicy w rządzie. Niedawno jej polityk objął resort kultury. Co z tego wynikło?

Wiesz, nawet w Połądze dużo się dzieje! – pisze litewski znajomy Dainius Stonys. Połąga – miasteczko nad Bałtykiem, kilkunastotysięczne, ale za to będące najbardziej znanym litewskim kurortem – stało się ostatnio areną poważnych politycznych wystąpień.

Do protestów, które miały tu miejsce, przyłączyły się nie tylko partie opozycyjne wobec centrolewicowej koalicji, która rządzi krajem – tworzą ją socjaldemokraci i kilka mniejszych ugrupowań, w tym populistyczna i antysystemowa partia „Świt Niemna". Udział wzięły też tutejsze muzea: Muzeum Bursztynu (mieści się w Pałacu Tyszkiewiczów), Muzeum Kurortu (w willi Anapilis), a także Muzeum Sztuki im. Antanasa Mončysa.

Wreszcie, Połąga „strajkowała" jako całość. Mieszkańcy gromadzili się wokół lokalnego kurhauzu. Przemawiał burmistrz Šarūnas Vaitkus – konserwatysta, przedstawiciel partii, która w grudniu 2024 r. oddała władzę, a teraz należy do najgłośniejszych krytyków „Świtu Niemna".

Co wywołało protesty nie tylko w Wilnie, Kownie czy właśnie Połądze, ale właściwie w całym kraju?

„ŚWIT NIEMNA" | Cofnijmy się do poprzedniej kadencji Sejmu, gdy Litwą rządzili konserwatyści i liberałowie, a sprawujący dziś władzę socjaldemokraci byli w opozycji. Wtedy to „gwiazdą" parlamentu – w negatywnym tego słowa znaczeniu – stał się nagle 43-letni Remigijus Žemaitaitis. Nagle, choć posłem jest długo, bo od 2009 r.

Wiosną 2024 r. jego wpisy na Facebooku rozgrzały internet, a także łącza między ambasadami Izraela, USA i Niemiec a władzami Litwy. Komentując konflikt palestyńsko-izraelski, w tym zburzenie przez armię izraelską szkoły w Palestynie, poseł napisał, że „oprócz Putina na świecie pojawiło się jeszcze jedno zwierzę – Izrael".

Žemaitaitis zaczął też atakować miejscową społeczność żydowską, oskarżając litewskich Żydów o kolaborację z Sowietami w czasie II wojny światowej.

Wileńska prokuratura wszczęła w maju 2024 r. postępowanie przeciw posłowi pod zarzutem propagowania i podżegania do nienawiści. On sam zaczął wspominać o możliwości założenia nowej partii. W końcu ją stworzył, a nazwał ją „Świt Niemna" (lit. *Nemuno Aušra*). Jesienią 2024 r. partia ta uzyskała w wyborach 15 proc. głosów, tylko o 4 punkty mniej niż zwycięscy socjaldemokraci.

DLA KOGO KULTURA | Początkowo wydało się, że lewica pod wodzą premiera Gintautasa Paluckasa wejdzie w bezpieczną koalicję: z demokratami byłego szefa rządu Sauliusa Skvernelisa oraz Związkiem Chłopów i Zielonych oligarchy Ramūnasa Karbauskisa. Jednak w związku z konfliktem między dwoma ostatnimi liderami lewica zdecydowała się zaprosić do rządu partię Žemaitaitisa.

W ten sposób nowa koalicja osadzona została na porozumieniu dwóch sił: lewicy i właśnie „Świtu Niemna". Wprawdzie latem tego roku zmienił się premier (Paluckas musiał odejść po skandalu, a premierką została Inga Ruginienė) i skład koalicji nieco rozszerzono (do rządu dołączyła polska partia AWPL-ZChR, a także „chłopi" Karbauskisa), lecz wciąż opiera się ona na sojuszu tych dwóch głównych ugrupowań.

Tu dochodzimy do punktu, który wkrótce miał wywołać polityczne wstrząsy: w nowym rozdaniu „Świt Niemna" przejął od socjaldemokratów ministerstwo kultury.

Dotychczasowego ministra Šarūnasa Birutisa zastąpił „świtowiec" Ignotas Adomavičius: 40-latek, który choć ukończył Narodową Szkołę Sztuk Pięknych im. Mikalojusa Konstantinasa Čiurlionisa (znanego litewskiego malarza i kompozytora, w tym roku obchodzimy 150. rocznicę jego urodzin), to doświadczenie zawodowe zdobywał, kierując firmami produkującymi mrożonki i makarony.

„DROGĄ WĘGIER" | Tego już było za dużo i dla opozycji, i dla świata kultury. O ile po grudniu 2024 r., po powstaniu nowego rządu, wiele osób tolerowało egzotyczną koalicję lewicy ze skrajną prawicą, to mianowanie Adomavičiusa na szefa resortu kultury przelało czarę goryczy. „Kultura litewska idzie drogą Węgier i Gruzji" – protestowali działacze społeczni, porównując Litwę do państw rządzonych autorytarnie.

W całym kraju rozpoczęły się demonstracje. „Rozpolitykowało się" nie tylko Wilno, ale także mniejsze miejscowości, jak wspomniana Połąga.

Zaczęło się od „feralnego czwartku" 25 września, czyli momentu zaprzysiężenia rządu Ingi Ruginienė. Na placu Szymona Dowkonta przed Pałacem Prezydenckim zebrało się kilkuset protestujących. Trzymali transparenty z napisami: „Społeczność Akademii Sztuk Pięknych w żałobie", „Čiurlionis przewraca się w grobie!", „Ministerstwo chałtury", „Kultura jest żywa".

Pretensje adresowano do socjaldemokratów, ale też do prezydenta Gitanasa Nausėdy, który zatwierdził skład rządu. Przedstawiciele świata kultury stworzyli petycję, postulując, by żaden członek „Świtu Niemna" nie został mianowany ministrem. Dokument podpisało ponad 60 tys. osób – w kraju, który liczy 2,8 mln mieszkańców.

Ostatecznie w skład rządu Ruginienė weszły trzy osoby powiązane z partią Žemaitaitisa. Ten zaś w kilkanaście dni po pierwszych demonstracjach „odpalił" kolejną bombę: byłego ministra kultury Litwy i członka Ruchu Liberalnego Arūnasa Gelūnasa nazwał „Aronem Gelbachem", czyniąc aluzję do jego rzekomo żydowskiego pochodzenia.

CZYJ TO PROJEKT? | Ponadto Žemaitaitis oskarżył Gelūnasa, który dziś pełni funkcję dyrektora Narodowego Muzeum Sztuki, o przygotowywanie „zamachu stanu" (partia Gelūnasa jest od



ALDAS KAZLAUSKAS // URZĄD MIASTA POŁĄGI

Protest artystów na plaży w Połądze zorganizowany przez burmistrza Šarunasa Vaitkusa, który należy do najgłośniejszych krytyków „Świtu Niemna". Jesień 2025 r.

2024 r. w opozycji, a jej szefowa Viktorija Čmilytė-Nielsen popiera społeczne protesty, które rozpoczęły się pod koniec września).

„To jest oburzające i absolutnie nie do przyjęcia. To nie odzwierciedla wartości Litwy (...). Walka polityczna w żadnych okolicznościach nie może przerodzić się w to, co widzimy i słyszymy w ostatnich dniach" – stwierdził już po czasie prezydent Nausėda.

Korygując swój błąd, prezydent dodał, że nie zatwierdzi w roli ministra kultury kolejnego przedstawiciela „Świtu Niemna".

W międzyczasie Adomavičius podał się bowiem do dymisji – nie wytrzymał krytyki społecznej i „wysokiego ciśnienia" w litewskiej polityce. Zdążył oburzyć bowiem nie tylko przedstawicieli świata kultury, ale także przeciwników rosyjskiej agresji na Ukrainę. W jednym z wywiadów nie potrafił bowiem powiedzieć jasno, „czyj jest Krym".

Dodajmy, że partię Żemaitaitisa bardzo często określa się na Litwie jako „rosyjski projekt", choć sam jej lider unika jednoznacznie proputinowskich deklaracji, koncentrując się na tematyce żydowskiej. Nikt nie złapał go także „za rękę" na przyjmowaniu pieniędzy z Kremla.

POJEDYNEK TRWA | Tymczasem wysoka kultura odegrała swoją rolę w protestach przeciw skrajnej prawicy. W niedzielę 5 października w wielu miastach Litwy odbył się strajk ostrzegawczy pod hasłem „To może być ostatni raz" (lit. *Tai gali būti paskutinis kartas*).

Nie tylko w kurhauzie w Połądze, ale także w innych miejscach zabrzmiał poemat symfoniczny Čiurlionisa „Morze", który miał być przypomnieniem, że może to być ostatni raz, gdy społeczność kultury spotyka się jako wspólnota w pełni wolna. Pojawiały się aluzje do tego, co przeżywają obecnie Węgrzy, Słowacy czy Gruzini. Większość mieszkańców Litwy nie chce podążać drogą Orbána, Ficy czy Kobachidzego.

Jednym z czołowych organizatorów jesiennych protestów jest 38-letni Karolis Kaupinis. Pytam go, co dalej – jakie są plany na przyszłość, skoro już wiadomo, że ministrem kultury znów zostanie socjaldemokrata.

– Nie ma mowy o czasie „po protestach", ponieważ nasz ruch wciąż rośnie. Teraz ogłosiliśmy nowy protest 21 listopada, który pod hasłem „Kultura to my" zaangażuje więcej grup społeczeństwa litewskiego – mówi „Tygodnikowi" Kaupinis, reżyser i scenarzysta, autor słynnego filmu „Nova Lituania" (2019). Jest przekonany, że socjaldemokraci wraz z partią Żemaitaitisa wpędzają kraj w otchłań.

– Wierzę, że wyjdziemy z tego zwycięsko i silniejsi jako społeczeństwo, ale ten pojedynek wstrząśnie naszym systemem politycznym. To jedno z głównych wyzwań dla naszej demokracji od początku lat 90. XX wieku – uważa Kaupinis.

ROLNICY I JAZZMANI | Nowa fala demonstracji, właśnie pod hasłem „My jesteśmy kulturą", miała się rozpocząć w Kownie 15 października, jednak przesunięto ją na kolejny tydzień. Finał, zgodnie z tym, co zapowiada Kaupinis, będzie mieć miejsce 21 listopada w Wilnie.

Wtedy też zjadą do centrum stolicy traktory. – Chodzi o pokazanie, że włączamy w protesty różne grupy społeczne – mówi mi Kaupinis. Z perspektywy Polski może wydawać się to egzotyczne, że rolnicy wystąpią na jednej scenie z jazzmanami i grupami muzyki nowoczesnej. Tutaj sojusz ten tłumaczy fakt, że Litewski Związek Chłopów i Zielonych jest znów w koalicji.

Demonstrujący wciąż domagają się od socjaldemokratów oddzielenia „Świtu Niemna" od wpływu na kulturę – bo o ile partia Żemaitaitisa nie będzie mieć już ministra, to jednak nadal ma szansę na stanowisko wiceministra tego resortu.

W to, że socjaldemokraci zerwą koalicję ze „Świtem Niemna", raczej mało kto wierzy. Choć raz po raz mówi się na Litwie o przedterminowych wyborach, po których do władzy mogliby wrócić konserwatyści. Takie przedterminowe wybory odbyły się wcześniej tylko raz, w 1992 roku.

POŁĄGA SIĘ SZYKUJE | Tymczasem Remigijus Žemaitaitis marzy o stanowisku burmistrza Połągi, od której zaczęliśmy tę opowieść.

– Nie jest mu pisane zostać marszałkiem Sejmu ani nawet wicemarszałkiem, ponieważ nie ma dostępu do informacji niejawnych. A stanowisko burmistrza Połągi jest dość lukratywne – pisze do mnie Dainius Stonys.

Nadmorski kurort przygotowuje się już do kolejnych demonstracji. Bez traktorów, ale chodzi o to, by pokazać, że miasto Tyszkiewiczów nie godzi się ani na oddanie kultury w ręce nacjonalistów, ani na burmistrza Žemaitaitisa. ©

REPORTAŻ

BĄDŹ WOLA TWOJA

W ponad dwudziestu punktach zaplanował swoje odchodzenie i niebycie. Ostatnia wytyczna brzmiała: „Zawiadomcie tylko moich bliskich, przyjaciół. Kocham Was”.

TEKST: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI | ILUSTRACJE: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”



Nigdy wcześniej nie przechodziłem ze zmarłym na „ty”.

– Jaki „pan Sławek”, mów mu „Sławek” – powie na tarasie Ewa, a kiedy zobaczy moje ni to zawahanie, ni rozbawienie, doda: – On nie cierpiał tych wszystkich „panów prezesów”, „panów Sławków”. Konwencje oddalają od siebie ludzi.

Muszę tu zaufać Ewie, bo nie mogę mieć pewności, czy faktycznie by tego chciał. Ani czy byłby zachwycony, że sześć tygodni po jego śmierci dziennikarz łazi mu po domu. Że zagląda do pokojów, do piwnic. Patrzy na pozostawione wędki, spławiki i hektolitry niewypitego Schweppesa o smaku *lemon.* Ewa też, prawdę mówiąc, takiej pewności nie ma, ale widzi w tym łażeniu potencjalne korzyści.

Jedyne, co od niego mam, to napisany własnoręcznie scenariusz. Ponad 20 lapidarnych komunikatów. Na dwóch kartkach, zapisane fioletowym cienkopisem – chwiejnie, ale czytelnie. Te komunikaty też nie były do mediów. Ale ich użycie to jedyny sposób, by to on ustalał także porządek tej historii.

Światło i cień

Porządek Ewy: idziemy za słońcem i światłem.

Warszawski Wilanów, wielki dom z trzyhektarowym ogrodem, wrześniowe resztki lata. Z chłodnego wnętrza, gdzie czuć zapach kadzidła z ambrozją, Ewa prowadzi na taras z tyłu domu. W czasie rozmowy poletka światła przeciskającego się pomiędzy drzewami będą się przesuwać po deskach podłogi. A Ewa będzie je „gonić” na swoim leżaku – zabierając mnie ze sobą. Kwadrans rozmowy, przesunięcie. Kolejny kwadrans – następny przeskok.

– Tak, szukam światła – mówi. – Ale też przyjmuję cień. Cień i mrok to nasz początek, dziewięć miesięcy w brzuchu matki. Nie boję się cienia. Jednak gdy mogę, szukam słońca.

Ewa jest 64-latką z Warszawy. Mógłbym przedstawiać ją różnie. Artystka plastyczka z wykształcenia. Projektantka wnętrz i mody – z wykonywanego wcześniej zawodu. – Tylko że ja jestem w punkcie, w którym odklejam od siebie stare etykiety, dociekając, kim jestem dzisiaj – zaznacza. – I tu nie ma miejsca na tytuły typu „magister sztuki”. Więc może napisz: kobieta, która chce opowiedzieć ludziom, że śmierć jest częścią życia. Żona Sławka.

O Ewie usłyszałem od Anji Franczak, założycielki Instytutu Dobrej Śmierci, pierwszej w Polsce douli śmierci i odchodzenia. – Opisz historię Ewy. Pokazuje, jak tęsknimy za utraconymi rytuałami. I do czego nam służą – powiedziała Anja, a kilka tygodni później pojechała ze mną na Wilanów do Ewy.



Sławek

Ze światła w cień i z powrotem, uważa Ewa, Sławek przechodził sprawnie: – Całe życie na krawędzi. Szedł jak po grani: z jednej strony widok na życie, z drugiej na śmierć.

Poznali się 30 lat temu – przez dekadę byli przyjaciółmi. Ona przychodziła do jego domu z pierwszym mężem, on mieszkał tu z pierwszą żoną. Zakochali się w sobie. Zamieszkali razem.

Sławek był lekarzem onkologiem, w wolnej Polsce poszedł w biznes.

Ewa: – Zrezygnował z leczenia innych, bo nie przynosiło to wystarczających dochodów, a miał małe dziecko. Najpierw sprzedawał ubrania z Tajlandii, później były różne branże, od poligrafii po działalność wydawniczą. „Nikifor biznesu”, tak mówił o Sławku mój poprzedni, nieżyjący już mąż, mając na myśli talent. Sławek robił to, co akurat mu się podobało. Zawsze na dużą skalę. Jak dom, to wielki, jak ogród, to duży. A jak firma – to z rozmachem.

Jasna strona Sławka według Ewy: wizjoner. Z poczuciem humoru. Z sercem na dłoni. Wierny wobec przyjaciół.

Strona ciemna: „uparty zakapior”. Z krótkim lontem. Łatwo wpadający w uzależnienia. – Ciężko chorował na płuca, miesiącami czekaliśmy na przeszczep – opowiada Ewa. – Ale trudno mu było, mimo twardego wymogu, zrezygnować z nałogu. By zakwalifikować się na zabieg, skłamał, że już nie pali. Gdy kłamstwo wyszło na jaw, na jakiś czas przestał. Później się zniechęcił, znowu zaczął. Palił po trzy paczki dziennie. Mówiłam, że już nie chcę żyć w popielniczce, więc zrobiliśmy w domu specjalny pokój-palarnię.

Strona jasna?

– On był Ptaszulkiem, ja Misiem, rzadko inaczej mówiliśmy. „Misiu, twoja otwartość na ludzi zakrawa na naiwność”, śmiał się. Rzeczywiście, szybko skracałam i skracam dystans. Byliśmy diametralnie różni, odkrywaliśmy siebie i to, że nikt z nas się nie zmieni dla drugiej strony. Czuję się tymi dwiema dekadami ↦

↦ z nim obdarowana. Po lewej rzeczy trudne, po prawej piękne – jak umiałam trzymać balans, było dobrze.

Noc z 23 na 24 czerwca tego roku: dzwoni szpital. – Pytanie, czy ja to ja, i czy Sławek jest zdrowy, bo są płuca – wspomina Ewa. – „Proszę za godzinę być w szpitalu". Wchodzę do pokoju, a on siedzi i pali... Zaczęliśmy doprowadzać się perfumami do stanu używalności. Wjechaliśmy na ten oddział jak drogeria. Pielęgniarka pyta: „Czy pan jest od czegoś uzależniony?", a Sławek: „Ja? Co najwyżej od mojej żony". Wtedy też powiedział, że jest nosorożcem, tzn. jest silny i wytrzyma przeszczepienie. Ale rano okazało się, że ma słabe wyniki, i chcą go wysłać do domu. Podpisał kwit o przeszczepieniu wysokiego ryzyka.

25 czerwca: dzwoni blok operacyjny, lekarz daje aparat Ewie: „Misiu, podpisuję świadomie, to jest jedyna szansa na życie". Ewa: – To była nasza ostatnia tak swobodna i świadoma rozmowa.

Testament

Półtora roku wcześniej. Dokument ma datę 19 stycznia 2024 r. Nosi tytuł: „Testament życia", choć nie jest klasycznym testamentem życia, z wytycznymi o leczeniu, uporczywej terapii itd. Z ponad dwudziestu punktów życia dotyczy tuzin – reszta to scenariusz pożegnania i pochówku.

– Podstawową treść wzięłam z publikacji Elisabeth Kübler-Ross, autorki książki „Rozmowy o śmierci i umieraniu" – opowiada Ewa. – Ale ponieważ śmierć towarzyszy mi od dawna, i mam też doświadczenie prowadzenia warsztatów jej dotyczących, dopisałam do listy własne pytania. A Sławek na nie odpowiedział, będąc jeszcze w dobrej formie.

Napisał: „Chcę umierać w domu, w spokoju".

Ewa: – Tego punktu nie udało się spełnić. Przeszczepione płuca są odnerwione. Taki zabieg jest porównywany do zderzenia z ciężarówką. Transplantacja, mimo wysokiego ryzyka, się powiodła. Tylko że Sławek zakaził się bakterią. Więc była huśtawka: jak odzyskał pion, mówił, że chce do domu. Awanturował się, łapał depresję, kazał się wieźć. Ale gdy pytałam, czy już chce umrzeć, nic nie mówił. Więc go do domu nie wzięłam, bo to oznaczałoby zgodę na koniec, a on do samego końca walczył o życie.

Noc z z 4 na 5 sierpnia: Sławek traci przytomność. – Rano rozmawiałam z lekarzem. Powiedział, że nie ma szans. Byłam przy łóżku Sławka całą noc, nikt mnie nie wyrzucił. W dodatku później wykonano wobec nas piękny gest. Zostaliśmy przeniesieni do jedynki z łazienką. Każdy mógł tam przyjść i go pożegnać, nie musieliśmy nawet nosić masek. Można powiedzieć, że umierał jak w domu.

Z Testamentu: „Proszę mnie nie reanimować i nie podtrzymywać sztucznie na respiratorze, jeśli nie będzie szansy na normalne życie".

I dalej: „W gronie bliskich mi osób, np. Ewy lub dzieci, trzymając mnie za rękę. No chyba że boicie się, że was pociągnę :-)" – w odpowiedzi na pytanie o towarzystwo w ostatnich chwilach.

„Bez księdza, proszę" – w odpowiedzi na pytanie o kapłana.

„Bez specjalnych pożegnań".

„Wolę świadomie, nawet w bólu".

Śmiech

Rozpacz rozcieńczała mama Sławka.

„Jakie piękne twarze, a czemu wy wszyscy tacy zapłakani?" – pytała znad jego łóżka, gdy był nieprzytomny. „Jaki piękny, przejrzysty pokój!" – zachwycała się.

Ewa: – Potem odwracała głowę w stronę okna. Zdawało się, że coś do niej dociera, pomimo demencji.

– A co to za facet? Dlaczego on tak dyszy?

– Jest pod respiratorem. To mamusi syn.

– A co mu się stało?

– Umiera.

– Aha, to okropne.

– Czy mamusia chciałaby coś mu powiedzieć?

– Ja bym bardzo mu chciała coś powiedzieć. Tylko że on wygląda na takiego, co nie ma czasu.

Ewa: – Zaprosiła nas do swojej przestrzeni, w której nie było dramatu i rozpaczy. To był dar dla nas i dla niego. Bo wierzę, że on ją słyszał.

Sobota, 9 sierpnia, dwie minuty przed dziewiątą – koniec. Bez prób reanimacji. Bez księdza. Bez specjalnych pożegnań. Bez bólu. Z Ewą u boku.

– Pod koniec nie trzymałam go za rękę – zaznaczy. – Umierający nie może myśleć, że chcemy go zatrzymać. Lepiej wsunąć dłoń w jego dłoń i spokojnie trwać, nie dotykając ciała, które w czasie umierania jest bardzo wrażliwe.

Warkocz żałoby

Ewa: – Jeden z członków rodziny, gdy dowiedział się, że Sławek umiera, wpadł w rozpacz. Moja córka skomentowała: „On jest dziewicem umierania, mamo. My jesteśmy zaprawione w boju".

Pytam więc Ewę o „jej" śmierci. Ale boję się zapytać o tę pierwszą, dlatego zagajam niezdarnie, naokoło. Jak to jest przeżyć taką śmierć?

Ewa: – Jedziesz na wakacje z dzieckiem, wracasz z dębową skrzyneczką. Moja córka się utopiła. Przez cztery lata nie mogłam o tym mówić. Przez cztery kolejne nie potrafiłam się pogodzić. Osiem lat pierońskiej pracy. Ustawienia hellingerowskie, podróże, psychodeliki – wyplatanie warkocza żałoby. Po tych latach poszłam na warsztaty jogi kundalini. Powiedziałam mistrzowi, że nie mam pewności, czy podołam. On odparł, że nikt mnie tu nie będzie trzymał, ale to warsztaty dla mnie. Spytał, czy wiem, dlaczego moja córka umarła. Powiedziałam, że sobie takich pytań nie zadaję, bo się na nich wykładam. A on mnie jakby wyprowadził poza umysł, i usłyszałam własny głos: że ona umarła, żebym ja była świadectwem. Że nawet śmierć dziecka da się przemienić w radość życia.

– Dziesięć miesięcy wcześniej żegnałam pierwszego męża – kontynuuje Ewa. – Przez dwa lata gasł na białaczkę. Oswajanie tego tematu wiązało się z tym, że nie wolno było nawet przy nim tego słowa używać. Potem była mama, która nie chciała odchodzić. Umierało jej ciało, głowa chciała żyć. Krzyczała, płakała. Imałam się wszystkiego. Zaczęłam nawet wzywać na pomoc jej przodków. „Zobacz – mówiłam – tu wszyscy są. Twoi rodzice: tata, mama. Twój mąż...".

Tydzień po spotkaniu na Wilanowie telefon od Ewy: kilka dni wcześniej straciła przyjaciółkę. – Marysia, moja wnuczka, powiedziała: „Ciągle umierają twoi przyjaciele". Odpowiedziałam, że takie jest życie, na co mój wnuk: „Umierają, ale ja czuję, że więcej się rodzi". Śmierć to jedna z istot, które prowadzą mnie przez życie. Nie da się przygotować. Ale da się oswoić.

Testament c.d.

Ewa wspomina: – To była sobota, ciało do poniedziałku zostało w szpitalnej kostnicy. Jeszcze za życia mówiłam Sławkowi: „Zabiorę cię do domu". I zabrałam, do naszej sypialni.

Z Anją i Ewą przechodzimy z tarasu do wnętrza. Drewniana podłoga, na środku zasłane kolorową narzutą małżeńskie łoże, blady pastel na ścianie, za oknami ogród. – Pod koniec spuszczałam żaluzje, bo Sławkowi przeszkadzało światło – mówi Ewa, przysiadając na łóżku.

Testament: „Kto ma cię myć i ubierać po śmierci?". „Ewa z dziećmi albo bez dzieci. Pochowajcie mnie bez ubrania".

Ewa: – Położyliśmy ciało Sławka na stole do masażu, wzdłuż ściany. Ja, dzieci, dwóch najbliższych przyjaciół i Anja nacieraliśmy go kremem i olejami, myliśmy włosy, suszyliśmy. Pochówek „bez ubrania" był wyrazem przywiązania do prostoty. Był bogaty, ktoś mógł go nawet odbierać jako gadżeciarza, a równocześnie miał potrzebę skromności.

Anja: – Mycie, olejowanie, to nie to samo co tzw. toaleta pośmiertna praktykowana w domach pogrzebowych i stanowiąca techniczną procedurę. Tutaj chodzi o osobisty rytuał, wyraz troski i czułości żyjących względem zmarłego. Podziękowania za 67 lat jego życia.

Testament: „Czy podczas przygotowania twojego ciała do pochówku / kremacji ma panować cisza / rozmowy / muzyka?". „Możecie rozmawiać, śmiać się i przypominać ostatnie miłe wspólne spotkania".

Anja: – Rozmawialiśmy, bywało śmiesznie. Np. przenosimy ciało Sławka z tego stołu na łóżko, na prześcieradle. Każdy łapie za jeden róg, wszyscy skupieni. W końcu kładziemy go na łóżku, ja mówię ni stąd, ni zowąd: „Taka sytuacja", i chyba do wszystkich dociera absurdalność chwili, bo wszyscy wybuchają śmiechem.

Szkolenie

Anja Franczak prowadzi szkolenia z osobistych rytuałów pożegnań. Dla osób, które mają w rodzinie kogoś bardzo chorego. Dla ludzi w średnim wieku, którzy mają starych rodziców. Dla personelu szpitali, hospicjów, domów pogrzebowych. Ci potrafią obchodzić się z ciałem nieżyjącego człowieka, ale mówią, że w instytucjach te zabiegi są czysto techniczne, czasem nieludzkie.

Na szkoleniach Anja opowiada m.in. o technikaliach. Np. o tym, jak myć i pielęgnować skórę. Jak przenieść bezwładne ciało na prześcieradle. Jak zmarłego ubierać, i dlaczego w jednym momencie to łatwe, bo ciało jest bezwładne, a w drugim już „nie współpracuje".

EWA:

Po latach bycia dla Sławka odkrywam, o czym jestem ja. Chcę powiedzieć ludziom po stracie: wasza ulga też jest okej, tak jak wasz smutek.



– Tuż po śmierci wchodzi w fazę rozluźnienia, jest jak „flaczek" – opowiada mi Anja. – Po godzinie, a czasami po kilku, w zależności od osoby, choroby, wieku itd., zaczyna się proces sztywnienia, *rigor mortis*. Potem ciało się ponownie rozluźnia. Praktyczna rada jest więc taka, by ubierać albo od razu po śmierci, albo odczekać kilka godzin.

Tego wszystkiego, uważa Anja, większość z nas nie wie. Wielu zaś – zwłaszcza w dużych miastach – nawet wiedzieć nie chce: – Ostatnio rozmawiałam z koleżanką z domu pogrzebowego w Toruniu. Mówiła, że po tonie i treści wypowiadanych przez klientów zdań rozpoznaje, czy dzwonią ze wsi, czy z miasta. Jeśli ze wsi, mówią zwykle normalnym, spokojnym głosem: „Babcia umarła, zabierzcie ją, proszę, za kilka godzin". Jeśli nie, słychać zwykle popłoch, jakby trzeba było kogoś ratować: „Zabierzcie natychmiast ciało".

Pytam Anję, co zyskujemy, pozostawiając ciało bliskiego przy sobie. Anja odpowiada, że po pierwsze prawdziwy obraz śmierci: – Współcześnie w głowie mamy obrazy śmierć wypaczające: z filmów, gier, newsów o katastrofach i wypadkach, które przedstawiają ją w kontekście przemocy albo tragedii. Tymczasem śmierć potrafi również mieć twarz spokojną, naturalną, zaś widok osoby nieżywej tylko w naszych wyobrażeniach jest czymś brzydkim i odrażającym. Większość obrazów nieżywych ludzi, z jakimi się stykałam, kojarzyła się ze spokojem, dostojeństwem, mistycyzmem.

Po drugie, dodaje Anja, zyskuje nasz mózg. – Kontakt z nieżywym ciałem, ze śmiercią, pozwala pojąć, co się tak naprawdę stało. Sam umysł, nakarmiony ustną, pisemną albo telefoniczną informacją, że dana osoba zmarła, to mało. Doświadczenie: widok nieżywego ciała, czasami jego chłód czy sztywność, oznacza wystawienie na śmierć także naszych zmysłów, a to ważne. Pracuję z osobami w żałobie i wiem, że jej przebieg zależy też od tego, w jaki sposób dana osoba pożegnała zmarłego bliskiego. Mówią o tym ludzie, którzy pomagali przy pośmiertnej opiece nad ciałem. Np. pan, który mówi, że po każdym odejściu, którego doświadczył w rodzinie, miał te same odruchy: chciał do tych ludzi po ich śmierci dzwonić, z przyzwyczajenia sięgał po telefon. Z jednym wyjątkiem: nigdy takiego odruchu nie miał w przypadku zmarłej żony, którą po jej śmierci żegnał, mył, pielęgnował i chował.

Wreszcie po trzecie i czwarte, odzyskujemy utracone poczucie sprawczości i wzmacniamy wspólnotę. – Śmierć bliskiego to kontakt z bezradnością, rytuał to powrót do przekonania, że mamy wpływ – mówi Anja. – A że rytuały wykonujemy w grupie, powołujemy wspólnotę. W przypadku Sławka ta wspólnota zawiązała się jeszcze za jego życia, na bardzo licznej grupie WhatsAppowej, gdzie każdy mógł go pozdrowić i dodać mu otuchy. Później ci sami ludzie mogli przyjść do jego domu na ostatnie pożegnanie.

Preludium

Ewa: – Na godzinę osiemnastą zaprosiliśmy gości. Ciało Sławka, przykryte całunem, leżało w kartonowej trumnie na łóżku. Na ziemi było wieko, które malowaliśmy akrylami. W kolory, wzory. Przykleiliśmy rzeźby tęczowego nosorożca, w myśl jego stwierdzenia przed operacją. Oraz smoka i ptaka, od pseudonimu „Ptaszulek". Do trumny wkładaliśmy przedmioty.

Ewa pokazuje zdjęcie: obok zawiniętego w całun ciała widać dwie kolorowe laurki od dzieci, żółte pudełko papierosów marki Camel, butelkę cytrynowego Schweppesa, kwiaty słonecznika. ↦

↦ Z Testamentu. „Czy jakaś muzyka miałaby być puszczana podczas twojego pochówku. Jaka?". „Może być np. Preludium e-moll Chopina lub Adaggio (4 pory roku Vivaldiego)".

Ewa: – Był tłum ludzi. Kto chciał, odmawiał różaniec. Ktoś inny śpiewał, jeszcze inni siedzieli w ciszy. Były rozmowy, wspomnienia. W kuchni było jedzenie, herbata, kakao. Kto chciał, spędził noc u nas, czuwając albo śpiąc. A nazajutrz rano wynieśliśmy ciało Sławka. Dla mnie było ważne, że w tę ostatnią drogę wyruszył z naszej sypialni, a ja spędziłam z nim ostatnią noc.

„Witam Was, jak pięknie Was widzieć" – tak Anja Franczak zaczyna mowę pogrzebową Sławka. Potem mówi o jego życiu, przyjaźni, pracy. Że kochał: papierosy, książki, łowienie ryb, ludzi. Że ich sobie zjednywał. I że się go bali.

Ewa: – Hołduję zasadzie, o której usłyszałam, poznając historię jednego z południowoamerykańskich plemion. Uważali, że o zmarłym trzeba najpierw mówić źle, by oczyścić pole do dobrych wspomnień.

Ciałopalenie, pochówek urny. Żałobnicy rozchodzą się do domów.

Rzeczy

Ewa mnie napomina. Delikatnie, z uśmiechem, ale stanowczo.

– W naszej kulturze jest przepis na żałobę, a nawet wymóg jej przeżywania wedle wzoru – mówi, gdy pytam, co czuje, zawierając jednak w pytaniu słowo „smutek". – Ma być smutek, smutek ma trwać rok, a w tym czasie ma nie być tańców na weselu. A ja dzisiaj, siedząc z wami na tym tarasie, nie potrafię powiedzieć, czy odczuwam smutek. Może bardziej ulgę? Przecież Sławek cierpiał, on w ostatnim czasie był już zrobiony z cierpienia. A ja byłam przyzwyczajona, że zasypiam z telefonem, czekając na sygnał ze szpitala. Do dziś, jak się budzę w nocy, to macam, czy leży telefon. Przez lata rezygnowałam z siebie. Była u mnie niedawno córka. „Mamo, jest zimno, a ty masz wszędzie pootwierane okna" – mówi. Tak, były pozamykane, bo Sławkowi było wciąż zimno. Nie mogłam też nigdzie się ruszyć, wyjechać. Po latach bycia dla Sławka odkrywam, o czym jestem ja. Chcę powiedzieć ludziom po stracie: wasza ulga też jest okej, tak jak wasz smutek.

(Telefon od Ewy po tygodniu: – Dziś czuję smutek. Ma fizyczną postać Sławka).

Schodzimy do garażu, Ewa pokazuje zalegające na podłodze zgrzewki cytrynowego Schweppesa. Pięć dużych, każda po trzydzieści półtoralitrowych butelek. Trzy zgrzewki małe. – Sławek nie był człowiekiem, który mógł sobie pozwolić na brak cytrynowego Schweppesa – uśmiecha się Ewa. – Pił go tak, jak jarał. Nawet po kilka butelek dziennie.

Piwnica. Na półkach plastikowe pudła ze sprzętem do łowienia. Sztuczne przynęty: myszy, rybki, różnokolorowe. W osobnych pudłach spławiki. Obok kołowrotki, wędki.

Ewa: – Żałoba to też przestrzeń. Siedzimy niedawno przy stole, nasza 6-letnia wnuczka pyta z oburzeniem, dlaczego jestem na dziadka miejscu. Odpowiadam, że dziadka już z nami nie ma. A ona biegnie do jego gabinetu, sprawdzić. Ja też oswajam przestrzeń. Jedne rzeczy zostawiam, innym zmieniam położenie, jeszcze innych się pozbywam. Byliśmy z wizytą u zaprzyjaźnionych rodzin na Podlasiu, by rozdać Sławka ubrania ludziom, którym te ubrania się przydadzą. Bluzy, buty, skarpety, dużo koszul, spodni. Niektóre z metkami, bo Sławek nie zdążył ich włożyć. A lubił się dobrze ubierać.

„Szczypta" Sławka

Pisać o „rozsypywaniu dziadka" czy nie pisać?

– To była wasza rodzinna, świadoma decyzja. Ale może lepiej nie pisać, bo to obszar niejasny prawnie – powiedziała Anja. – Absurdalne, że wiele Polek i Polaków rozsypuje prochy, ale nie można o tym mówić publicznie.

– Pisać! To było piękne, w dodatku ważne dla Sławka, ten ogród to była jego pasja, ten ogród to on. Jak już nie miał siły po nim chodzić, jeździł kosiarką – powiedziała Ewa. I dodała: – Może tylko napiszmy, że popiół pochodził z ogniska palonego przez jego przyjaciela w czasie Sławka choroby, a tylko szczypta była prawdziwa. Bez wiedzy i zgody zakładu pogrzebowego.

Z Testamentu: „Proszę mnie spalić". I jeszcze: „Proszę mnie pochować na Żytniej [warszawski cmentarz ewangelicko-reformowany – red.], ale chociaż szczyptę rozsypać w ogrodzie".

„Rozsypywanie" trwało ponad dwie godziny.

Ewa: – Dzieci ruszyły niepewnie, potem miały nawet z tego frajdę: „Tu! I może jeszcze tu!".

Siedzimy twarzą do ogrodu, Ewa opowiada: – Jedna „szczypta" Sławka jest przy tym wilku po lewej. To strażnik ogrodu, wyrzeźbił go nasz przyjaciel. Kolejna przy pierwszym świerku, który Sławek zasadził. Drzew jest więcej: są dęby, klon, karagana syberyjska. Następna „szczypta" leży w miejscu, które nazwaliśmy „całowanie". Rosną tam przylaszczki. Gdy zakwitały, pierwsza osoba, która to zauważyła, wołała drugą. I się tam całowaliśmy. Jak mówiłam Sławkowi, że ma oczy w kolorze przylaszczki, to się zaśmiewał: „Ty to potrafisz koloryzować, Misiu". Kolejna „szczypta" jest przy katalpie, tym jaskrawo zielonym drzewie. Tu też jest historia. Pewnie 15 lat temu kupiliśmy dwie. Ta, którą widzicie, była „moja", druga dwa razy umarła. Za drugim razem, gdy było mu z tym trudno, powiedziałam: „Zostawmy tę koncepcję. Niech ta jedna będzie dla nas obojga". Opowiem ci jeszcze o róży, którą nazwaliśmy Tesco. Sławek przyjechał raz z zakupów, patrzę, niesie róże z Tesco. Byłam zniesmaczona, pewna, że nie przeżyje nawet tygodnia. Zasadzona, odradza się do dziś. Ostatnio zakwitła w dzień jego urodzin.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PODZIĘKOWANIE

Składamy serdeczne podziękowania całemu personelowi
Hospicjum im. św. Łazarza w Krakowie
za niezawodną i pełną oddania opiekę nad

Ś.† P.

Marianem Tischnerem

Synowie z rodzinami

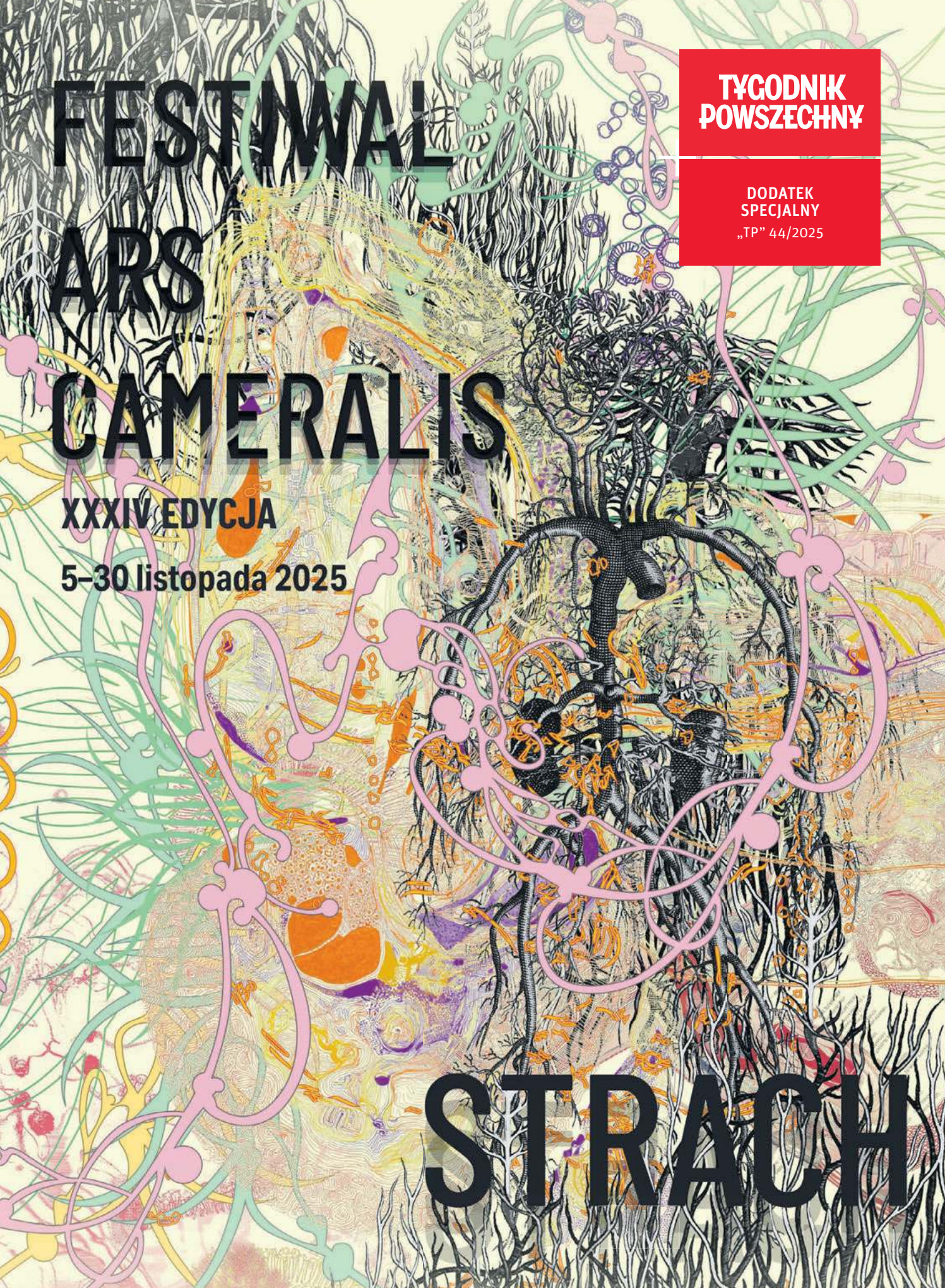
TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 44/2025

FESTIWAL ARS CAMERALIS

XXXIV EDYCJA

5–30 listopada 2025



STRACH



MATERIAŁ PRASOWY

Bryan Schutmaat, Meyers Ave, 2012

Strach i nadzieja

BRYAN SCHUTMAAT, FOTOGRAF:

Aparat nie zmieni świata. Fotografia to nie narzędzie naprawy, lecz forma poetycka – subtelna, czasem silniejsza. Jak wiolonczela: nie leczy złamanej stopy, ale może poruszyć serce.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Od ponad dekady fotografujesz amerykański Zachód. Czy masz poczucie, że uchwyciłeś jego istotę – to, czym był i czym stał się dziś?

BRYAN SCHUTMAAT: Słowa, jak „istota" czy „prawda", są w fotografii bardzo ulotne. Pokazuję mój własny, subiektywny obraz tego miejsca – oparty na latach podróży, spotkań, obserwacji. Na początku zachwycił mnie krajobraz: ogrom przestrzeni, surowe piękno natury, romantyzm pustki. Ale z czasem zacząłem dostrzegać coś więcej – społeczną rzeczywistość. Ubóstwo, izolację, ślady niespełnionych obietnic. I wtedy moje spojrzenie się zmieniło. Zacząłem myśleć o Zachodzie jako o micie – o obietnicy nowego początku, która dla wielu okazała się złudzeniem. I to właśnie próbuję pokazać w swoich zdjęciach – nie pełen obraz, ale osobistą opowieść o tym, co ten mit dziś znaczy.

A co z nowymi mitami? Te dawne: o wolności, o pograniczu, o męskości, wydają się dziś martwe. Czy powstały jakieś nowe?

Stare mity wciąż żyją – są głęboko zakorzenione w amerykańskim myśleniu o wolnym rynku, indywidualizmie, samowystarczalności. Wciąż wierzymy, że jeśli tylko się postarasz, wszystko się uda – nawet jeśli rzeczywistość temu przeczy. Popkultura, jak serial „Yellowstone", wzmacnia te wyobrażenia, szczególnie wokół męskości i mitu Zachodu. Jest w tym piękno, które przyciąga ludzi, chcących zacząć coś od nowa, jak w Paradise Valley w Montanie. Duch Zachodu nie zniknął, choć ekonomiczna rzeczywistość już dawno przestała go wspierać. Dla mnie ten mit to źródło twórczego impulsu. Ludzie są znacznie bardziej złożeni niż te schematy. W moich zdjęciach, choć dokumentalnych, zawsze jest odrobina fikcji – próbuję dotrzeć pod powierzchnię, pod to, jak chcemy się przedstawiać.

Jaką rolę pełni krajobraz w Twoich zdjęciach – i co w nim próbujesz usłyszeć?

Nie interesuje mnie krajobraz sam w sobie – tylko ten, który nosi ślady ludzkiej obecności. Nasze działania, intencje, brak szacunku – to wszystko zapisuje się w tym, jak traktujemy ziemię. W pejzażu widać historię podboju, degradacji, niespełnionych nadziei. Nawet porzucona opona przy drodze może być opowieścią o czyimś marzeniu.

Bardzo bliski jest mi Cormac McCarthy – zwłaszcza jego „Droga". Myślę o tym pustkowiu bez Boga, o ojcu i synu wypatrujących śladów życia. W moim cyklu „Sons of the Living" pierwsze dwie sale wystawy powstały z tą właśnie książką w głowie. Krajobraz to dla mnie coś więcej niż tło – to przestrzeń o głębokim moralnym wymiarze. To pytanie o to, jak pozostać dobrym w świecie, który zdaje się zupełnie pozbawiony nadziei.

Tematem tegorocznego Festiwalu Ars Cameralis jest strach. Czy pojawia się on także w Twoich fotografiach?

Zdecydowanie tak – szczególnie we wspomnianym cyklu, nad którym pracuję od ponad dekady. To opowieść o niepokoju związanym z naszą współczesnością: przemysłowym światem, kryzysem klimatycznym, przyszłością. Chciałem, by zdjęcia miały niemal biblijny wymiar – pustynia, nadzieja, rozpacz. U ich źródła leży lęk przed tym, co nadchodzi. Poprzez fotografię próbuję go nazwać i natchnąć nas siłą, która pozwoli nam przetrwać. Wierzę, że sztuka może w tym pomóc.

Czy wśród ludzi, których fotografowałeś, częściej widziałeś strach, czy może nadzieję?

Więcej strachu i niepokoju – ale nigdy bez nadziei. Nawet w trudnych sytuacjach widziałem w ludziach jakąś iskrę, coś, co jeszcze się tli. Nikt nie był całkowicie pogrążony w rozpaczy. Trzymali się czegokolwiek, choćby resztek nadziei. W świecie pełnym chaosu i katastrof to właśnie ta zdolność przetrwania, ten ułamek siły stał się dla mnie źródłem twórczej i moralnej inspiracji.

Czy dziś, w październiku 2025 r., można jeszcze być artystą apolitycznym – choćby w szerokim sensie?

Jako fotograf, który portretuje rzeczywistość, nie sądzę, że można być całkowicie apolitycznym. Nawet jeśli zrobiłbym zwykłe zdjęcie domu naprzeciwko, ktoś może w nim zobaczyć komentarz na temat ekonomii, przedmieść, nierówności. Taki już jest ten język – pokazując świat, mimowolnie odsłaniasz napięcia społeczne i polityczne.

Więc tak, w szerokim sensie moja praca bywa polityczna. Ale to nie jest zaplanowane. Nie wstaję rano z intencją: „dzisiaj zrobię polityczne zdjęcie". Wstaję z ciekawością: „co dzisiaj zobaczę, co mnie poruszy?". Dla mnie fotografia nie jest narzędziem polityki – raczej odwrotnie: polityka czasem trafia do fotografii. Noszę ją w sobie, bo jestem wrażliwy na świat, ale nie tworzę sztuki dla idei czy sprawy.

Mam też świadomość, że aparat nie zmieni świata. Jeśli ktoś naprawdę chce to robić, może bardziej nadają się do tego filmy dokumentalne czy teksty z mocą argumentu. Dla mnie fotografia to inna forma – subtelna, bardziej poetycka. I dlatego czasem silniejsza. Ale nie służy do naprawiania rzeczywistości – jak wiolonczela nie służy do leczenia złamanej stopy.

Jak chciałbyś, żeby Twoje fotografie działały na ludzi?

Nie mam jasnej agendy. Chciałbym, żeby moje zdjęcia po prostu poruszały. Jeśli ktoś patrzy i widzi świat, który trzeba zmienić – to dobrze, ale to wynika z samego świata, nie z moich intencji. Nie fotografuję po to, by głosić idee – tylko dlatego, że coś mnie porusza, że coś jest wizualnie mocne, fascynujące. To nie ucieczka od odpowiedzialności – po prostu nie jestem aktywistą. Jestem artystą, który szuka znaczenia.

W dzisiejszym świecie presja zaangażowania jest ogromna. Ale obok krzywdy, przemocy i politycznych podziałów potrzebujemy też piękna. Uważam, że samo tworzenie obrazów, które niosą sens lub wzruszenie, to wystarczający powód, by je robić. Często powtarzam studentom: jedno zdjęcie nie zmieni świata, ale może przypomnieć, że świat jest wart, by o niego walczyć.

W Europie z niepokojem obserwujemy to, co dzieje się dziś w Stanach. Czy Ty sam odczuwasz strach wobec kierunku, w jakim zmierza Twój kraj?

Jak zmieniła się amerykańska prowincja, którą fotografujesz od lat?

To, co dzieje się obecnie, budzi realny strach – i nie mam tu na myśli tylko polityki, ale całościową atmosferę w kraju. Działania służb imigracyjnych, nowe przepisy, zatrzymywanie ludzi bez procesu – wszystko to przypomina coś, co trudno sobie wyobrazić w demokratycznym państwie. Ulice pełne są uzbrojonych funkcjonariuszy bez oznaczeń, ludzie są wyciągani z domów i samochodów – to wygląda jak sceny z państwa policyjnego. I niestety, to nie jest przesada.

A jeśli chodzi o prowincję – zmieniła się, ale nie w sposób, w jaki często przedstawiają to media. Owszem, Trump ponownie wygrał wybory, zaskakująco zwiększając poparcie wśród mniejszości. W dużej mierze dlatego, że Demokraci zawiedli. Wiele osób poczuło się opuszczonych, niezauważonych – i stąd te wybory. Ale prowincja to nie jest jeden obraz. Jeżdżę po tych małych miasteczkach od lat i spotykam ludzi naprawdę życzliwych, otwartych, zróżnicowanych. Nie wiem, na kogo głosują – i nie pytam. Bo to nie o to chodzi. Rzeczywistość jest bardziej zniuansowana, niż pokazują to statystyki i komentarze.

To, co obserwuję, to raczej pęknięcie – poczucie, że coś się rozpadło. Ale jednocześnie jest też wiele osób, które starają się żyć uczciwie, z nadzieją. Myślę, że podobne napięcia można znaleźć w wielu krajach, nie tylko w USA.

Zostawiając na moment politykę, zastanawiam się, czy myślałeś o opuszczeniu Zachodu. Nie tylko geograficznie, ale też symbolicznie. Czy widzisz siebie jako fotografa innej części Stanów – albo zupełnie innego świata?

Zawsze o tym myślę. Z dwóch perspektyw: po pierwsze – jako fotograf, chciałbym kiedyś pracować w miastach na wschód od Missisipi. Jest tam inna energia, inna szorstkość, inny rodzaj piękna. Ludzie są tam bardzo wyjątkowi. Mam w głowie projekt fotograficzny z tamtego obszaru.

Po drugie – ciągnie mnie też do innych krajów, głównie ze względu na pejzaże. Nie wiem, czy odnalazłbym się w opowiadaniu historii społecznych poza USA, bo nie znam wystarczająco dobrze tych kultur. To nie znaczy, że nie można – jeśli masz serce i rozum, możesz odnaleźć się ↦



MATERIAŁ PRASOWY

Bryan Schutmaat, Gold Mine, 2011

↦ wszędzie. Ale ja po prostu czuję się bardziej naturalnie w miejscach, które znam.

A poza tym – jestem z Teksasu. A Teksas to miejsce, gdzie Południe staje się Zachodem – ten kulturowy przełom dzieje się w samym środku stanu. I chciałbym zrobić coś bliżej wybrzeża Zatoki Meksykańskiej – ten rejon ma własną tożsamość, własne tempo.

Jeśli chodzi o moją tożsamość – czuję się zakorzeniony w Stanach Zjednoczonych. Pomimo wszystkich problemów, pomimo całego bałaganu czuję radość i odpowiedzialność płynącą z tego, że mogę tu być. Chcę, żeby ten kraj stał się lepszy – i mam nadzieję na lepszą przyszłość.

Czy kiedykolwiek myślałeś o zrobieniu czegoś zupełnie innego: o fotografowaniu miejsc, których kompletnie nie znasz?

Chętnie przywiózłbym swój aparat do Polski i zobaczył, co się wydarzy. To rzeczywiście mogłoby być coś zupełnie innego – spotkać się z czymś, czego się nie rozumie, nie zna. Bo choć dużo mówiłem o znaczeniu znajomości miejsca, to czasem właśnie brak tej znajomości działa jak katalizator. Patrzysz wtedy świeżym okiem, wszystko cię ciekawi. W każdym miejscu są rzeczy, które dla mieszkańców są zwyczajne, ale dla fotografa – fascynujące. Filmy osadzone w Europie Wschodniej miały dla mnie zawsze coś z egzotyki: nie wiem dokładnie co, ale to byłby bardzo ciekawy kierunek. Chętnie bym spróbował, choć nie wiem jeszcze, jak by to wyglądało.

Twoje fotografie ogląda cały świat – podobnie jak obrazy Ameryki, które znamy z filmów czy muzyki. Jak odbierasz reakcje widzów? Czy któraś szczególnie Cię zaskoczyła?

Bywa, że mam z tym pewien problem, bo moje spojrzenie na Zachód jest mroczne, melancholijne. A to przecież piękne miejsce, zamieszkane przez fantastycznych ludzi. Mieszkam w Teksasie i Montanie, ale nie jestem przewodnikiem turystycznym – jestem artystą. I pokazuję to, co sam czuję i widzę. Czasem, gdy wchodzę do europejskiej galerii i widzę na ścianie zdjęcia przedstawiające mój kraj w trudnym świetle, pojawia się niepokój – nie z powodu patriotyzmu, tylko z poczucia odpowiedzialności. To nadal moje miejsce.

Ale wiem też, że amerykański krajobraz jest jednym z największych kulturowych „eksportów" w historii – znają go wszyscy, nawet jeśli nigdy tam nie byli. I właśnie to mnie fascynuje – jak pokazać coś tak dobrze znanego w nowy sposób? Jak opowiedzieć na nowo mit, który każdy zna z westernów czy pocztówek? Dlatego tak bardzo interesuje mnie gra z gatunkiem – przełamanie estetyki, wprowadzenie melancholii, smutku. Tak jak w zdjęciu z Canyonlands – zrobiłem je podczas burzy, w czerni i bieli, z dwójką chłopaków na tle tego „ikonograficznego" widoku. To był mój sposób, by na nowo opowiedzieć znany obraz.

Ostatecznie wiem, że to tylko moje spojrzenie – fragmentaryczne i osobiste. I może to mnie trochę usprawiedliwia. Jeśli coś wygląda na smutne, to dlatego, że takie właśnie było w tamtym momencie.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

BRYAN SCHUTMAAT – amerykański fotograf, mieszka w Teksasie i Montanie. Znany z melancholijnych obrazów amerykańskiego Zachodu. Jego prace były wystawiane i publikowane na całym świecie.

Artysta będzie gościem tegorocznego Festiwalu Ars Cameralis. Wernisaż wystawy **6 listopada o godz. 18.00**

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 44/2025

REDAKCJA: Michał Sowiński
OKŁADKA: Aleksandra Grunholz / Studio Chaotyczne
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Katarzyna Bułtowicz

Województwo Śląskie

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

XXXIV FESTIWAL ARS CAMERALIS

16 października | godz. 18:00
→ Strach
Michał Minor
Miejsce: Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach
Wernisaż tłumaczony na PJM
Wstęp wolny

5 listopada | godz. 20:30
→ Makaya McCraven
Miejsce: Jazz Club Hipnoza, Katowice
Bilety: 80 zł

6 listopada | godz. 17:30
→ Bulwar Zachodzącego Słońca (1950)
Miejsce: Kino Kosmos, Katowice
Bilety: 20 zł | 16 zł (ulgowy)

6 listopada | godz. 18:00
→ Od słońca do słońca | Sun to Sun
Bryan Schutmaat
Miejsce: Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu
Wernisaż tłumaczony na PJM
Wstęp wolny

7 listopada | godz. 17:30
→ Na nabrzeżach (1954)
Miejsce: Kino Kosmos, Katowice
Bilety: 20 zł | 16 zł (ulgowy)

8 listopada | godz. 17:30
→ 12 gniewnych ludzi (1957)
Miejsce: Kino Kosmos, Katowice
Bilety: 20 zł | 16 zł (ulgowy)

13 listopada | godz. 19:00
→ Fantazja polska
Olga Pasiecznik & Equilibrium String Quartet
Miejsce: NOSPR, Katowice
Bilety: 60 zł | 50 zł (ulgowy)

13 listopada | godz. 20:00
→ corto.alto
Miejsce: Jazz Club Hipnoza, Katowice
Bilety: 70 zł

15 listopada | godz. 19:00
→ AJLA
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 25 zł

16 listopada | godz. 20:30
→ CocoRosie
Miejsce: Jazz Club Hipnoza, Katowice
Bilety: 130 zł

17 listopada | godz. 18:00
→ BAFTA 2025 Shorts
Miejsce: Dom Oświatowy Biblioteki Śląskiej, Katowice
Zapisy: info@arscameralis.pl
Wstęp wolny

18 listopada | godz. 19:00
→ Circuit des Yeux
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 40 zł

19 listopada | godz. 19:00
→ Product May Contain
Miejsce: Teatr Śląski – Scena w Malarni, Katowice
Bilety: 25 zł

20 listopada | godz. 18:00
→ Agnieszka Dauksza
Małgorzata Halber
Anna Cieplak
Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

22 listopada | godz. 11:00–15:30
→ Apteka absurdu: Leki na lęki
Bożka Rydlewska
Miejsce: Bookiestra, Katowice
Zapisy: info@arscameralis.pl
Wstęp wolny, 18+

23 listopada | godz. 19:00
→ The Weather Station
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 40 zł

24 listopada | godz. 18:00
→ BAFTA 2025 Shorts
Miejsce: Dom Oświatowy Biblioteki Śląskiej, Katowice
Zapisy: info@arscameralis.pl
Wstęp wolny

26 listopada | godz. 18:00
→ Sylwia Chwedorczuk
Magdalena Grzebałkowska
Renata Lis
Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

27 listopada | godz. 18:00
→ Mikołaj Grynberg
Izabela Morska
Paulina Małochleb
Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

27 listopada | godz. 18:00
→ Wyjście | Wejście
Jacek Rykała
Miejsce: Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu
Wstęp wolny

28 listopada | godz. 18:00
→ Zbigniew Machej
Monika Glosowitz
Karolina Pospiszil-Hofmańska
Miejsce: Black Woolf Coffee & Books, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

29 listopada | godz. 19:00
→ Jenny Hval
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 40 zł

30 listopada | godz. 19:00
→ Puce Mary
Miejsce: Teatr Śląski – Scena Kameralna, Katowice
Bilety: 30 zł

Więcej informacji:
arscameralisfestiwal.pl

STRACH

ORGANIZATOR: Województwo Śląskie; Ars Cameralis Silesiae Superioris; ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
PARTNER: TYGODNIK POWSZECHNY
PATRONAT MEDIALNY: GAZETA.PL; RADIO 357; Polskie Radio Katowice
BILETY: ticketmaster



METROPOLITAN MUSEUM OF ART, NOWY JORK

Kadr z tryptyku „Sąd Ostateczny", autor – nieznany malarz francuski, ok. 1500 r.

WIARA

PIEKŁO, NIEBO, CZYŚCIEC, RAJ

Co teologia mówi naprawdę o życiu po śmierci? I dlaczego kaznodzieje karmią nas makabrycznymi opisami, zamiast głosić Dobrą Nowinę?

MAREK KITA

Nadzieja na życie po śmierci trwa nie tylko w religiach. Jej iskierka tli się nawet u agnostyków, bo nasza refleksyjna samoświadomość nie pozwala nam się pogodzić z odejściem w nicość. Oczywiście – samo aspirowanie do wieczności nie dowodzi, że ona faktycznie nas czeka. Rodzi jednak ważne pytanie o swe źródło.

Czy ewolucja miałaby wyłonić istoty otwarte na nieskończoność tylko po to, żeby się gorzko rozczarowały? Czy poszukujący sensu umysł, jaźń zatroskana o przekraczanie siebie w stronę Pełni – to tylko chwilowy efekt splotu przypadków? Tęsknimy za nieutracalnym spełnieniem i być może to pragnienie „wody żywej" (por. J 4, 10. 12) świadczy o stworzeniu nas do jej picia...

Intuicje i metafory

Chrześcijaństwo ma własną, specyficzną opowieść o nadziei związanej z „troską ostateczną". Osobom krytycznie myślącym trudno brać na poważnie popularne wyobrażenia na temat pośmiertnych losów „duszy" i „zmartwychwstania ciała". Dlatego zarówno krytykom, jak i wyznawcom warto przypominać o symbolicznym charakterze języka Biblii. To, co przekracza wymiar fizyczny i wymyka się doświadczeniu empirycznemu, może być opisane wyłącznie za pomocą metafor. Autorzy Pism wyrażają w nich doświadczenie duchowe oraz poznanie intuicyjne, apelując do intuicji odbiorców i proponując każdemu osobiste spotkanie z Tajemnicą, której doświadczyli.

Dobre zrozumienie chrześcijańskiej narracji o nadziei wymaga więc spytania najpierw o doświadczenie, które pozwala ją żywić. Nowy Testament bazuje na doświadczeniu uczniów Jezusa, którego osoba i historia poruszyły najczulsze struny ich wrażliwości, a jednocześnie wywróciły do góry nogami najgłębsze przekonania religijne, jakie żywili. W ten sposób jedna z wielu grup żydowskich mesjanistów schyłkowego okresu Drugiej Świątyni wyłamała się ze schematu i ogłosiła zaskakującą współwyznawców wizję triumfu światła nad ciemnością oraz „dni ostatecznych" (por. Hbr 1, 2).

Jak brzmi Dobra Wiadomość

Jeśli to, czemu uwierzyli i co rozgłaszają chrześcijanie, nazywamy Dobrą Wiadomością (*Euangelion*), to jak ona brzmi? Dość często przez Ewangelię rozumie się albo opowieść o życiu Jezusa, albo wręcz całokształt kościelnej doktryny. Bywają osoby, dla których „głoszeniem Ewangelii" jest moralizowanie. Jednak w swym pierwotnym sensie *euangelion* to wiadomość o jakimś fakcie pozytywnie zmieniającym rzeczywistość. W Nowym Testamencie czytamy, że Jezus po mistycznym doświadczeniu nad Jordanem i próbie na pustyni zaczął rozgłaszać „Dobrą Wiadomość Boga". Brzmiała ona: „Dopełnił się czas i przybliżyło Boże królowanie" (Mk 1, 15). Ewangelia to najpierw nowina o bliskości pojednania ziemi z niebem (o co prosimy w modlitwie „Ojcze nasz", por. Mt 6, 10) – czyli poddania świata Bogu, którego charakter Jezus odzwierciedla (por. J 14, 9) swoją postawą wobec słabych, zagubionych i nieszczęśliwych. Królowanie Boga jest bliskie – przychodzi w osobie Jezusa.

Mówimy tu o „królowaniu nie z tego świata" (por. J 18, 36), polegającym na dzieleniu się z ludźmi Boskim sposobem życia – miłością jako wzajemną afirmacją i oddaniem: „To jest moje przykazanie, żebyście kochali się nawzajem, jak Ja ukochałem was (...) żeby wszyscy byli jednym, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, żeby i oni w Nas byli" (J 15, 12; 17, 21).

Bóg w osobie Chrystusa nie dominuje, lecz zniża się do poziomu sługi naszego oczyszczenia – myje uczniom stopy (por. J 13, 3-5). Sędzia świata okazuje się jego lekarzem: „nie posłał Syna w świat po to, żeby sądził świat, lecz żeby świat był przez Niego uzdrowiony (*sōthē*, J 3, 17). Dobra Wiadomość obejmuje więc również nowinę, że dla Boga sprawiedliwe jest nie ukaranie grzesznika (zło samo karze swego autora, por. Ps 7, 16-17), lecz odzyskanie jego serca (por. Łk 15, 24. 32).

Za kogo umarł Jezus?

Warto dodać, że wbrew makabrycznej, późnośredniowiecznej interpretacji, odkupienie nie polega na ukaraniu Syna śmiercią w zastępstwie za ludzi. Jezus odzwierciedla charakter Ojca – „dobrego dla niewdzięcznych i złych" (por. Łk 6, 35). W związku z tym na krzyżu „uśmiercił w sobie wrogość", z którą zderzył się jako posłaniec pojednania (por. Ef 2, 16). Odkupienie oznacza, że Bóg wziął na siebie koszt naprawienia zerwanej przez nas relacji. To stwierdzenie również wchodzi w skład Dobrej Wiadomości. W osobie Jezusa Bóg przygarnia tych, którzy Go odtrącają: „gdy będę podniesiony nad ziemią, wszystkich pociągnę do siebie" (J 12, 32).

Chrześcijańska Dobra Wiadomość zawiera też istotny przekaz, że triumf Jezusa nad światem egoizmu, zakłamania i przemocy nie stanowił jedynie zwycięstwa moralnego. Bóg Go realnie „podniósł, uwalniając z łona śmierci, bo nie było w jej mocy Go zatrzymać" (Dz 2, 24). Boże królowanie w naszym świecie zmienia śmierć w nowe narodziny.

Życie wieczne tu i teraz

Ważna dla dobrego odczytania Ewangelii jest świadomość, że „urodzenie się na nowo" i wejście w „życie wieczne" nie jest czymś obiecanym dopiero po śmierci. Według Nowego Testamentu akt uwierzenia/zaufania (*pisteuein*) Jezusowi – temu, który z poziomu zupełnie nowej egzystencji panuje nad rzeczywistością w imieniu Ojca (por. Rz 10, 9) – otwiera człowieka na dogłębną przemianę. Korespondująca z mistycznym obrzędem chrztu wiara skutkuje „nowymi narodzinami z Ducha" (por. J 3, 5). Życie osoby poddającej się wpływowi Ducha Świętego (osobowego „oddechu" Stwórcy) nabiera Boskich cech, odwzorowuje Bożą miłość: „każdy kochający z Boga się urodził i zna Boga" (1 J 4, 7).

Jeśli ktoś miałby w tym miejscu słuszne zastrzeżenie, że kochają nie tylko chrześcijanie, to warto zaznaczyć, że zgodnie z Biblią Duch Boga przychodzi nie tylko do ochrzczonych (por. Dz 10, 44-48), że wpisuje Boską regułę życia również w serca pogan (por. Rz 2, 14-15). Także zmartwychwstały Jezus, jakkolwiek chce się w pełni ucieleśniać w świecie poprzez *Ekklēsię* (Gromadę Zwołanych), jednocześnie wypełnia swą obecnością „wszystko we wszystkim" (*panta en pasin*, Ef 1, 23). „Anonimowe chrześcijaństwo" jest możliwe. To uwierzenie ukrytemu i nienazwanemu Jezusowi, którego Duch inspiruje wzajemną afirmację i oddanie ludzkich istot.

Zrodzeni do nadziei

Życie wieczne zaczyna się więc od umierania dla egoizmu i rodzenia się do kochania. Ale Nowy Testament mówi też o nowych narodzinach „do żywej nadziei (...) do dziedzictwa niezniszczalnego, niepodległego skażeniu i nietracącego świeżości, strzeżonego dla nas w niebiosach" (por. 1 P 1, 3). Chrześcijańska opowieść o nadziei, bazująca na Dobrej Wiadomości o Jezusie, dotyczy więc trwałego dobra o niemożliwej do utracenia jakości, które oczekuje na nas w niedostępnym obecnie wymiarze istnienia. Mamy „odziedziczyć" skarb pilnowany dla nas przez „Ojca z niebios" (por. Mt 6, 9) – swoisty „spadek" po Jezusie, który jednak żyje mimo śmierci.

Co więcej, głębsze przemyślenie Dobrej Wiadomości pozwala uznać, że w gruncie rzeczy to właśnie Jezus we własnej osobie (oraz nasz udział w Jego wiecznym życiu) stanowi wspomniane dziedzictwo. Wiara/zaufanie (*pistis*) i poddanie się Jezusowi (*hypakoē pisteōs* – posłuszeństwo ufności, Rz 1, 5) oznaczają zgodę na swoiste zanurzenie w Jego egzystencję, poddanie się inspiracjom Jego Ducha, oraz bycie Jego przybranym rodzeństwem (por. Rz 8, 1. 9. 29). Skoro tak, to ostatecznym dziedzictwem okazuje się „bycie ↦

↦ z Jezusem tam, gdzie On" (por. J 17, 24), udział w Jego wiecznej wymianie afirmacji i oddania z Ojcem, w przenikaniu się egzystencji Ojca i Syna dzięki „wspólności" (*koinōnia*) Ducha (por. 2 Kor 13, 13).

Co ważne, w tym wzajemnym przyjęciu i oddaniu będą się przenikać egzystencje wszystkich dzieci Boga: „jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, żeby i oni w Nas byli" (J 17, 21). Nie musimy się martwić o to, czy w przyszłym świecie będzie możliwa relacja z osobami, które pokochaliśmy tutaj, bo wieczne życie w Bogu to właśnie apogeum relacji miłości. Czytamy przecież, że „miłość nigdy nie przepada" (1 Kor 13, 8).

Ciało duchowe

Biblijne wypowiedzi o realiach życia po śmierci należy (o czym była mowa na wstępie) odczytywać z uwzględnieniem ich metaforycznego charakteru. Nie znaczy to, że mielibyśmy uważać za czystą metaforę „ożywienie naszych śmiertelnych ciał" (por. Rz 8, 11). Jeśli pierwsi uczniowie Jezusa głosili Jego „podniesienie spośród zmarłych" (*anastasis ek nekrōn*), to jako dzieci żydowskiej kultury umysłowej swej epoki na pewno mieli na myśli jakiś rodzaj cielesności Zmartwychwstałego. Biblijny światopogląd nie przeciwstawia ducha materii, lecz zakłada zmierzanie materialnego świata ku jakiejś transformacji („nowe niebo i nowa ziemia", por. Ap 21, 1). Wiąże się to z intuicją wierności Boga wobec stworzenia, które zostało powołane do istnienia jako „bardzo dobre" (por. Rdz 1, 31).

Zarazem obecna forma cielesności nie jest bynajmniej projektowana na rzeczywistość ostateczną. Pisząc o cielesności po zmartwychwstaniu, apostoł Paweł używa sformułowania *sōma pneumatikon* – „ciało duchowe", odróżniając je od *sōma psychikon* – „ciała ożywionego", którym jesteśmy obecnie. Stwierdza przy tym, że to pierwsze ma się do drugiego jak wschodząca roślina do zasianego w glebie ziarna (por. 1 Kor 15, 44). Ta metafora daje do myślenia. Czy mając do czynienia wyłącznie z ziarnami, potrafilibyśmy sobie wyobrazić to, co z nich wyrośnie?

Zwróćmy uwagę, że opowieści o spotkaniach ze zmartwychwstałym Jezusem (notabene niebędące reporterskimi relacjami, lecz znanymi w teologii żydowskiej midraszami – ujętymi w formę narracji objaśnieniami świadectw pierwszych uczniów) zawierają wzmianki o trudnościach z rozpoznaniem Mistrza (por. Łk 24, 16; J 20, 14; 21, 4. 12). Radykalna niezgodność świadectw o Jego zmartwychwstaniu ze schematem religijnych wyobrażeń mesjanistów z epoki Drugiej Świątyni każe uznać, że za świadectwami stoją jakieś naprawdę konkretne i poruszające doświadczenia. Jednak nie posiadamy ich empirycznego opisu.

Warto korygować popularne wyobrażenia o zaświatach i sądzie ostatecznym, tworzone z obrazów i tekstów, na których wychowywali się ich autorzy.

Spacer w zaświaty

Tym bardziej więc nie powinno się – choć wielokrotnie próbowano – tworzyć na podstawie biblijnych tekstów jakiegoś scenariusza końca dziejów lub opisu „scenerii" zaświatów. Problemy osób krytycznie myślących z popularnym dyskursem kaznodziejsko-katechetycznym (a często również teologicznym) na temat duszy, czyśćca i sądu ostatecznego oraz nieba i piekła, wynikają właśnie z takich niepoważnych prób. Tymczasem barwne wizje z Apokalipsy Janowej należy odczytywać ze świadomością gatunku literackiego, do którego należy księga – będąca jedną z wielu ówczesnych żydowskich apokalips, czyli „objawień". Intuicyjne wglądy w tajemnicę walki dobra ze złem i Bożego zwycięstwa przedstawiano w nich za pomocą symbolicznego szyfru, nie oczekując bynajmniej traktowania dosłownie obrazów i liczb.

Warto więc korygować popularne wyobrażenia o zaświatach i sądzie ostatecznym – również te pochodzące z objawień prywatnych, gdzie intuicje „widzących" ubrały się w kostium uszyty z obrazów i tekstów, na których te osoby się wychowały. Możemy medytować biblijne metafory uczty u króla i wchodzenia przez ciasne drzwi (por. Łk 13, 23-30; 14, 15-24), ognia Gehenny (por. Mk 9, 43-50) oraz oddzielenia owiec od kozłów (por. Mt 25, 31-46) w świetle zasadniczego przesłania Dobrej Wiadomości. Nie są to jednak informacje, jak będzie, lecz zarysowanie alternatywy, wobec której stajemy TERAZ.

Z jednej strony nie musimy na nic zasłużyć, bo królowanie Boga przyjmuje się „jak dziecko", dając się ufnie przygarnąć (por. Mk 10, 15-16). Z drugiej strony w tej danej za darmo wspólnocie odnajdzie się jedynie osoba, której naprawdę na tym zależy i która zgodzi się „stracić" wszystko, co przeszkadza w przyjęciu daru. W biblijnej grece „grzech" to *hamartia* – chybianie celu, a rozminięcie się z celem istnienia (spełnieniem w Miłości) byłoby jak trafienie na śmietnik. „Gehenna" z Jezusowych przypowieści to nazwa śmietniska za murami Jerozolimy, gdzie spalano odpadki.

Gdzie jest czyściec

Powtórzmy: nie chodzi o informację, że jedni będą w niebie, a drudzy w piekle, lecz o uświadomienie powagi sytuacji. Dla świadomych własnej biedy Jezus ma Dobrą Wiadomość (por. Łk 4, 18), ale w odniesieniu do uparcie złych przyjmuje rolę proroka Jonasza (por. Łk 11, 29-30). Ten ostatni szedł przez Niniwę wołając, że za czterdzieści dni będzie zburzona (por. Jon 3, 4). Chodziło jednak o to, żeby miasto się opamiętało i klęska nie nadeszła.

A co myśleć o tak zwanym czyśćcu? Nie ma w Piśmie ani tego słowa, ani opisu pełnej cierpień poczekalni. Jednak w starożytnym judaizmie pojawiła się idea wsparcia zmarłych modlitwą o uwolnienie od grzechów (2 Mch 12, 45) – zaś Nowy Testament zawiera obraz „ocalenia, lecz jak przez ogień" (1 Kor 3, 15). W tej metaforze życie człowieka przedstawiono jako budowlę, wznoszoną z lepszych lub gorszych materiałów. Jest tam mowa o ostatecznej ogniowej próbie jakości, której może nie przetrwać budowla, lecz budowniczy ocaleje, jeśli budował na fundamencie Chrystusa (por. 1 Kor 3, 11). Wizja oczyszczenia po śmierci nie osłabia powagi życiowych wyborów, ale też nie kreśli ponurej perspektywy kar. Mówi o tym, że wyrażone całym życiem zaufanie/uwierzenie Bogu jest podobne do złota próbowanego w ogniu (por. 1 P 1, 7). Choć konfrontacja z życiowymi błędami pali sumienie, to jednak spotykamy w niej Chrystusa zdecydowanego ocalić choćby ledwie tlącą się iskrę dobra (por. Iz 42, 3). To on jest ukrytym fundamentem każdego życia, w którym chodzi o miłość.

© MAREK KITA

Zaklęcie na trzy litery

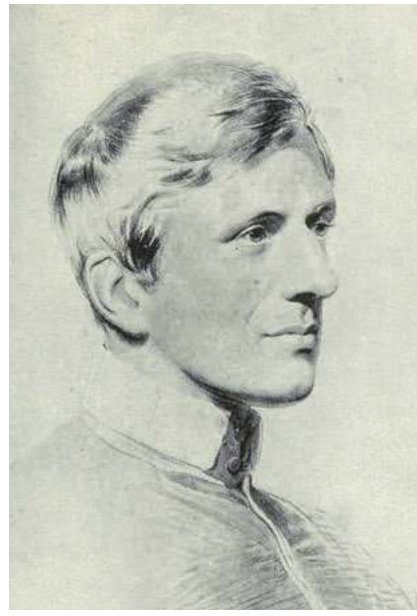
JAN MACIEJEWSKI

PORTRETY | Wiara nie polega na zamykaniu oczu na to, co dzieje się w świecie. Ale nie jest też hołdem składanym duchowi epoki. John Henry Newman uczy nas wiary, która nie boi się myśleć.

Jest rok 1907. W stolicy Toskanii, Florencji, emigrant z Polski wypożycza w publicznej bibliotece kilka książek zmarłego przed kilkunastu laty Johna Henry'ego Newmana. Będzie je czytał do późna, od dziecka ma w zwyczaju pochłaniać po kilkaset stron tekstu dziennie. Ale od pewnego czasu spieszy się jeszcze z innego powodu. Wie, że jest śmiertelnie chory, a chce pozałatwiać wszystkie swoje sprawy. Rozliczyć się, spisać testament, rozporządzić zgromadzonym kapitałem. A jedynym, czym dysponuje, jest jego myśl. Żywioł myśli, trawiący go od środka, podsycany kompulsywnie pochłanianymi lekturami.

To Stanisław Brzozowski, jeden z najbardziej radykalnych polskich inteligentów. Człowiek, poprzez którego pisma Newmana weszły do naszej kultury. Nie tylko dlatego, że Brzozowski jako pierwszy przekładał ich fragmenty na nasz język. Wtedy we Florencji zdarzyło się coś dużo większego.

1 listopada 2025 r. Leon XIV oficjalnie ogłosi Johna Henry'ego Newmana doktorem Kościoła. Członkiem elitarnego grona świętych, którzy mają nie tylko promieniować dla wiernych przykładem, ale też odpowiadać na dręczące ich pytania. A jednym z kluczowych aspektów twórczości Newmana jest przekonanie, że idee, koncepcje i twierdzenia są żywym organizmem. Że doktryna chrześcijańska, prawdy wiary rozbłyskują tym jaśniej, w im trudniejszym otoczeniu przyjdzie żyć. Tradycja toczy się, wydarza, krystalizuje w czasie; jest jak rzeka, która najpełniej sobą jest bynajmniej nie u źródła, ale wtedy, kiedy wpada do Oceanu. A korytem, przez które płynie, są konkretne biografie, żywe postaci. Jedyna myśl, która go interesowała, to ta „upostaciowiona". Prawda, która nie potrafi wcielić się w biografię, nie jest w stanie odcisnąć na niej swojego piętna, jest lepiej lub gorzej zakamuflowanym fałszem.



DOMENA PUBLICZNA

Portret Johna Henry'ego Newmana autorstwa Georga Richmonda, 1844 r.

Dlatego też nie ma lepszego sposobu na mówienie o myśli Newmana niż przez konkret biografii, która w odpowiedzi na jego pisma dokonała jednego z najbardziej fascynujących zwrotów w dziejach polskiej kultury.

Sojusz wykluczonych

Pierwszym impulsem, który ich ze sobą zbliżył, był zapewne „sojusz wykluczonych". Brzozowski przebywa we Florencji (tutaj też za kilka lat umrze), ponieważ w Polsce został fałszywie oskarżony o współpracę ze służbą carską, Ochraną. Uznany za zdrajcę, wykluczony ze wspólnoty, wyjeżdża do Włoch. Jak Brzozowski miał być agentem rosyjskim, tak Newman – zdaniem wielu jego rodaków – miał pełnić tę samą rolę, tyle że na usługach papieża. Gdy w 1845 r. dokonuje konwersji na katolicyzm, jest to jeden z największych skandali w historii Kościoła anglikańskiego. John Henry Newman był dotychczas jedną z najjaśniejszych jego postaci, nadzieją na wyjście z kryzysu trawiącego tę wspólnotę, jednoznacznie przy tym odżegnującą się od Rzymu (który przed konwersją nazywał „Kościołem opętanym"). Kiedy więc pod wpływem trwających wiele lat badań i namysłu dochodzi do wniosku, że „prawdziwy Kościół jest tylko w Rzymie" i zostaje katolikiem, z jednego z najpopularniejszych ludzi w Anglii staje się pariasem. Traci pozycję społeczną, przyjaciół, zrywa z nim kontakty nawet część jego rodziny.

Ale to tylko pretekst, okazja do spotkania. Właściwa akcja toczy się zupełnie gdzie indziej – w myśli i duszach obydwu. Okazuje się bowiem – Brzozowski odkrywa ten fakt z wypiekami na twarzy – że Newman w ciągu kilkudziesięciu lat, metodycznie i wyczerpująco rozstrzygnął kilka tych najważniejszych spraw, na załatwienie których polskiemu myślicielowi zostało już niewiele czasu. „Niech będzie błogosławiona ta jasna chwila, gdy go zacząłem czytać. (...) lubię jak zaklęcie te trzy litery J. H. N." – napisze w pamiętniku.

Żołądź czy dąb

Newman odpowiada Brzozowskiemu na pytanie: Jak można wierzyć po tym wszystkim, co wydarzyło się w XIX wieku? Nie na złość marksizmowi, nietzscheanizmowi, teorii ewolucji i odkryciom naukowym. Wierzyć tak, żeby moja wiara nie była zatykaniem uszu i zamykaniem oczu na to, co dzieje się w świecie, na ten wielki ruch myśli i idei, który Brzozowskiego porwał, przeraził i zachwycił. Ale też by ta wiara nie stała się hołdem lennym składanym duchowi epoki – bo do czego miałaby ona wówczas służyć, czym by się stała, gdyby okazała się tylko kojącym głaskaniem po głowie zasypiającego dziecka.

Brzozowski był w swojej myśli i pozostał w polskiej kulturze buntem przeciwko zdziecinnieniu. Życiu ułatwionemu, gotowemu i bezwiednemu. Nie chciał więc – nie mógł chcieć – takiej wiary. A jednocześnie pragnął jakiejś syntezy, ramy, porządku, który pomieściłby to wszystko, co zebrał w dotychczasowym życiu. ↦

↦ Odpowiedzią, jaką znalazł u Newmana – w pracy, która była bezpośrednią przyczyną konwersji tego ostatniego na katolicyzm, „Eseju o rozwoju doktryny chrześcijańskiej" – były prawa wzrostu idei, reguły i zasady pozwalające odróżnić rozwój od deformacji. Nie każda zmiana jest przecież ruchem do przodu, nie każda nowa idea znosi starą tylko przez to, że pojawiła się później. A jednocześnie to, co żyje, musi się zmieniać, rozwijać nowe pędy, odpowiadać na okoliczności. Newman, zamiast grzebać wśród żołędzi, poszukiwać „czystego, pierwotnego Kościoła", wolał rozsiąść się w cieniu rozłożystego dębu, wsłuchać w szum jego liści. Śledzić, jak reaguje na zmieniającą się pogodę. I mimo wszystkich trawiących chorób, gryzących od wewnątrz korników, łamiących się na wietrze gałęzi – rośnie cały czas w górę, do Nieba.

Młyny historii

Newman przedstawił Brzozowskiemu katolicyzm jako wielką siłę integrującą, potrafiącą włączać w swoją treść zmienne prądy epok, odsiewać intelektualne mody od tkwiących w nich elementów prawdy. Ale też – i to chyba zachwyciło Brzozowskiego najmocniej – wykorzystywać wszystkie, nawet najbardziej niesprzyjające i wrogie Kościołowi idee i postawy, do uwyraźnienia, lepszego zrozumienia depozytu Objawienia. Bo owszem, jest ono niezmienne od czasu śmierci ostatniego z Apostołów. Ale historia, która się od tamtej pory toczy, pozwala mu rozbłyskiwać coraz jaśniej. Jej młyny szlifują objawione prawdy. A nasz wzrok przyzwyczaja się do ich blasku, pozwala widzieć je coraz wyraźniej, dostrzegać nowe aspekty i odcienie.

„Kościół jest w stanie przyjąć wszystkie wyniki myśli nowoczesnej, naukowej i nie zachwiać się ani na chwilę" – pisał w eseju pt. „John Henry Newman" Stanisław Brzozowski. „Jest w stanie uznać, że życie poza obrębem Kościoła dokonywało w ciągu ostatnich stuleci niezbędnych prac, lecz że zostały one w stanie niezupełnym właśnie dlatego, że były wykonywane poza posłuszeństwem kościelnym i że dzisiejszy kryzys kulturalny jest wynikiem takiego właśnie przebiegu historii".

Poza posłuszeństwem

Ale tę uniwersalną regułę mógł też Brzozowski zastosować do własnego życia, całego dotychczasowego rozwoju intelektualnego „wykonywanego poza posłuszeństwem kościelnym". Okazało się, że jest możliwy powrót do Kościoła, który nie oznaczałby równocześnie unieważnienia wszystkiego, co wydarzyło się w międzyczasie. Nie udaje, że nigdy nie odszedł, ale wracając, przynosi ze sobą wszystko, co zebrał po drodze. Na każdym z jej odcinków. Bo – tego również nauczył się od Newmana – jak złoty wiek Kościoła jest zawsze przed nim, tak też każdą biografię należy oceniać tylko po tym, jak się ona kończy. Wyłącznie finał rozlicza przebieg, pozwala właściwie go ocenić.

Historia, tak jak i biografia, musi być dramatem. Nie może nie być niebezpieczna, ryzykowna, wystawiona na zranienie i możliwość popełnienia błędu – byłaby wówczas tylko planem ukartowanym dla nas, ale bez naszego udziału. Ale ten dramat wolności i decyzji ma swoje metrum. Tym był zaś dla Newmana, a za jego sprawą stał się i dla Brzozowskiego, Kościół rzymskokatolicki.

Nie organizacją ani strukturą, ale narzędziem poznawania prawdy, okazją do bycia przez nią przekształconym, „wżywania" jej w siebie przez sakramenty. „Nieuchronnym, w samej idei człowieka zakorzenionym faktem jest Kościół. Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez Kościoła. Życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką, jeśli Kościoła nie ma" – brzmią ostatnie zdania pisanego przez Brzozowskiego przed śmiercią pamiętnika.

© JAN MACIEJEWSKI

Autor jest eseistą, pisarzem, stałym felietonistą magazynu „Plus Minus". Ostatnią jego książką jest „Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać" (2025).

Pusty grób kard. Newmana

JOHN HENRY NEWMAN urodził się w 1801 r. w Londynie. Był najstarszym spośród sześciorga dzieci londyńskiego bankiera. Jego matka pochodziła z rodziny hugenotów, którzy uciekli z Francji przed prześladowaniami w XVII w. Choć wychowywał się w środowisku anglikańskim, Newman w wieku 15 lat przeżył nawrócenie na kalwinizm. Studia podjął w Trinity College w Oksfordzie. Okazał się studentem wrażliwym (podczas jednego z egzaminów przeżył załamanie) i uzdolnionym humanistycznie (studia licencjackie ukończył z wyróżnieniem z filologii klasycznej i oblaniem egzaminu z matematyki). Pod wpływem środowiska akademickiego powrócił do Kościoła anglikańskiego i w 1825 r. przyjął święcenia kapłańskie.

BYŁ JEDNYM Z INICJATORÓW powstałego w latach 30. XIX w. Ruchu Oksfordzkiego, który wzywał do powrotu w kwestiach doktryny, liturgii i pobożności do starożytnego chrześcijaństwa sprzed podziału. Podejście takie zbliżało ruch do katolicyzmu. Ostatecznie na katolicyzm Newman przeszedł w 1845 r., a dwa lata później przyjął święcenia kapłańskie. Został oratorianinem, realizując polecenie Piusa IX, by zakładał oratoria w Anglii. W 1879 r. papież Leon XIII mianował go kardynałem (bez święceń biskupich). Znany jest przede wszystkim z toastu, w którym zwrócił uwagę na prymat sumienia. W liście do księcia Norfolku Newman napisał: „Gdybym miał, co zresztą mało prawdopodobne, wznieść toast za religię, piłbym go za papieża, ale najpierw za sumienie, a dopiero potem za papieża". Dla teologii zasłużył się przede wszystkim książką „Esej o rozwoju doktryny chrześcijańskiej", w której sformułował kryteria pozwalające odróżnić ortodoksyjny rozwój doktryny od jej manowców (zmiany mają szanować tradycję, zachowywać fundamentalne zasady, asymilować nowości i charakteryzować się dużą potencjalnością dalszego rozwoju).

KARDYNAŁ KONWERTYTA ZMARŁ 11 sierpnia 1890 r. w Birmingham. Jego życzeniem było, aby został pochowany razem ze swoim przyjacielem jeszcze z czasów studenckich, zmarłym 15 lat wcześniej Ambrożym St. Johnem. Decyzja o ekshumacji związanej z beatyfikacją Newmana (dokonaną przez Benedykta XVI w 2010 r.) wzbudziła protesty i oskarżenie Watykanu o łamanie woli zmarłego. Roztrząsano także, czy Newman miał skłonności homoseksualne, bowiem niezwykle czule i przejmująco pisał o zmarłym przyjacielu. Nie miało to jednak wpływu na jego kanonizację w 2019 r., a epilog sporu o ekshumację okazał się zaskakujący: w trumnie nie znaleziono żadnych szczątków (uznano, że ciało uległo całkowitemu rozkładowi).

©℗ ARTUR SPORNIAK

O. WACŁAW

Oszajca: *Nieutuleni w żalu*



Za chwilkę zaduszkowe wianki przeistoczą się w choinki, znicze w migocące żaróweczki, chryzantemy w kolorowe bombki, a galerie handlowe rozśpiewają się „Jingle bells". Dobrze to czy źle? Upadek chrześcijańskiej cywilizacji, a może szansa na odrodzenie, niekoniecznie na wzór tego, co już było? A może, skoro zaraz po Święcie Zmarłych rozpoczyna się kolędowanie, to nic innego jak znak czasu?

Czy ta bliskość Święta Zmarłych i kolędowania niesie jakieś dobre przesłanie, czy też jest tylko zabiegiem marketingowym? Uroczystość Narodzenia Pańskiego we wschodniej teologii i liturgii nosi nazwę Paschy Zimowej – w odróżnieniu od Paschy Wiosennej, Wielkanocy, i Letniej, czyli Wniebowzięcia Maryi. Z tego zestawienia wynika, że narodziny i śmierć mają wspólny mianownik – życie. A jeśli uwzględni się tradycję religii niechrześcijańskich i ateistyczne zastrzeżenia, wychodzi na to, że na żałobowanie szkoda czasu. Zamiast trząść się ze strachu przed śmiercią, lepiej ulec marzeniu o wiecznym życiu. Tym bardziej że takie podejście do życia podpowiadają nam również naukowcy, twierdząc, że wszechświat „ma pamięć" i w niej zapisuje się wszystko to, co było, co jest i co będzie też, a czemuż by nie? Od lat o tym śpiewa nam Beata Rybotycka. Jej „Kolęda dla nieobecnych", skomponowana przez Zbigniewa Preisnera do słów Szymona Muchy, wciąż cieszy się niezmiennym powodzeniem i wykonywana jest również w kościołach, bywa, że wbrew zakazom władz kościelnych, jak też zniesmaczeniu religijnych i niereligijnych, którzy nie cierpią najmniejszej wzmianki o śmierci, gdyż to psuje świąteczny nastrój.

„Przyjdź na świat, by wyrównać rachunki strat (...) Żeby zająć wśród nas puste miejsce przy stole / Daj nam wiarę, że to ma sens / Że nie trzeba żałować przyjaciół / Że gdziekolwiek są, dobrze im jest / Bo są z nami, choć w innej postaci / I przekonaj, że tak ma być / Że po głosach tych wciąż drży powietrze / Że odeszli po to, by żyć / I tym razem będą żyć wiecznie". Czyż nie to znaczą słowa wypowiedziane przez Bożych posłańców do kobiet przy pustym grobie Jezusa: „Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych? Nie ma go tu, lecz został wzbudzony". A zatem na cmentarzu o życiu myślmy, śmierć też jest jego przejawem. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Masz sumienie*



Liturgia Słowa minionego piątku skonfrontowała nas ze słowami Jezusa: „Gdy ujrzycie chmurę podnoszącą się na zachodzie, zaraz mówicie: Deszcz idzie. I tak się dzieje. A gdy wiatr wieje z południa, powiadacie: Będzie upał. I bywa. Obłudnicy, umiecie rozpoznawać wygląd ziemi i nieba, a jakże chwili obecnej nie rozpoznajecie? I dlaczego sami z siebie nie rozróżniacie tego, co jest słuszne? Gdy idziesz do sprawującego władzę ze swym przeciwnikiem, staraj się w drodze dojść z nim do zgody, by cię nie zaciągnął do sędziego; a sędzia przekazałby cię dozorcy, dozorca zaś wtrąciłby cię do więzienia. Powiadam ci, nie wyjdziesz stamtąd, aż zwrócisz ostatni pieniążek" (Łk 12, 54-59).

A my? Czy umiemy rozeznać chwilę obecną? I czy potrafimy uczynić to konsekwentnie? Naszą chwilą obecną (grec. *kairos*, tzn. moment) jest droga – mówi Pan. Jesteśmy w drodze... do sądu. Tak! Życie ludzkie nie jest banalne. Nasze decyzje i czyny nie są banalne. Zostaną osądzone. Może nie byłoby czego się bać, gdyby nie to, że z nami idą też nasi przeciwnicy, którzy staną przed Wiecznym Sędzią, by nas oskarżać. Jezus mówi: Nie wyjdziesz z więzienia, aż wszystko wynagrodzisz! To nowina napawająca lękiem. Jaka jest więc „dobra nowina" tego tekstu? Oto ta: masz sumienie! Nie potrzebujesz bać się ostatecznego sądu, o ile po drodze osądzisz się sam – „sam z siebie rozeznasz to, co jest słuszne". Sumienie opisze ci twoje winy wobec „przeciwnika". Posłuchaj go. Poproś o przebaczenie. Zapewne je uzyskasz. A wtedy staniecie z twoim przeciwnikiem przed Bogiem jako para przyjaciół – nie będziecie się oskarżać, ale wstawiać za sobą wzajemnie.

To bardzo dobra nowina. Mam zdolność rozeznawania tego, co słuszne, „sam z siebie". Jak uczy katechizm, sumienie jest „najtajniejszym sanktuarium człowieka, w którym przebywa on sam na sam z Panem Bogiem" (zob. KKK 1776). Więc właściwie nie „sam z siebie", ale słuchając Boga, w każdym momencie, poddając się Jego osądowi już teraz, by nie obawiać się Jego sądu u kresu drogi.

Tych, którzy nie chcą rozeznawać w sumieniu, co słuszne, Jezus nazywa „obłudnikami" (grec. *hypokritai*). Tak. Pobożność bez słuchania Boga w sumieniu jest jedynie... aktorstwem. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Antysemityzm nie zniknął*



Film „Morze" będzie izraelskim kandydatem do Oscara w kategorii filmu zagranicznego. Niedawno głosami członków tamtejszej akademii filmowej wygrał w pięciu kategoriach izraelskie nagrody filmowe Ophir, łącznie z główną nagrodą. Nagrodę dla najlepszego aktora dostał, jako najmłodszy w historii tych nagród, trzynastolatek Muhammad Gazawi grający głównego bohatera. Film opowiada historię dwunastoletniego Khaleda z Ramallah, który przeprawia się nielegalnie do Tel Awiwu, żeby zobaczyć morze. Jest w nim pokazana dyskryminacja, okupacja, mur, strach, marzenia. Teraz zobaczymy, jaki będzie los tego filmu, wobec rosnących postulatów bojkotu tego, co izraelskie. W samym Hollywood powstała inicjatywa Film Workers for Palestine, której zasady bojkotu odrzucałyby taki film.

Czeka nas więc ćwiczenie z bojkotu wokół tematu Oscarów, czyli w świetle globalnych jupiterów. Nie pierwsze, nie ostatnie. A w jego cieniu odbędą się wszystkie nasze, lokalne, małe i duże dyskusje na ten temat. Co można, a czego nie, kogo zapraszać, a kogo nie wolno, które spotkanie wolno odwołać i komu.

Od dwóch lat nie pisałam na ten temat niczego. Może to mało profesjonalne, a może właśnie bardzo. Zawodowo komentuję Kościół i relacje polsko-żydowskie. Ale akurat na konflikcie izraelsko-palestyńskim pozwalam sobie nie znać się aż tak. Byłam, widziałam, żyłam obok. Trzy lata w Jerozolimie, wyjazdy do Ramallah i Betlejem czy Nablusu albo pod Hebron – to nie były wczasy na plaży w Tel Awiwie. Widać okupację, czuć. Również słychać we wspomnieniach izraelskich rówieśników. Wtedy mawialiśmy, że jak ktoś przyjeżdża, to po tygodniu uważa, że wszystko wie, dopiero po miesiącu milknie i nabiera pokory. Teraz jednak znają się na tym regionie, konflikcie i sytuacji wszyscy. A emocje sięgają zenitu.

Czy wobec tego, co działo się w Gazie, emocje nie mają prawa eksplodować? Czemu przyjmuję to wzmożenie z podejrzliwością? Czemu dziwi mnie, że innym przychodzi tak łatwo ten publicystyczny rozpęd w krytyce Izraela? Czemu mrozi mnie ta łatwość bojkotów, rozciągająca się od występu noblistki po upamiętnianie polskich Żydów w mniejszych i większych miastach naszego kraju? Państwo może to zauważyli dopiero teraz, ale pierwsze tablice pamiątkowe demolowano krótko po 7 października, u początków interwencji w Gazie.

Boję się tego, bo antysemityzm w Polsce i w Europie nigdy nie zniknął, i czy nam się to podoba, czy nie, wyrośliśmy w kulturze i języku pełnym antysemickich kodów, czasem sprzed wieków. Tak to bowiem działa, jak wór, do którego można rzeczy włożyć, ale już nie wyjąć – jak o pamięci ludowej pisała kiedyś antropolożka Joanna Tokarska-Bakir. Mówiąc to, krytykowała elity, które utyskują na głupi lud, a któremu same kilkadziesiąt lat wcześniej antysemityzm suflowały. Ten wór pełen słów, kodów, aluzji – to coś, co każdy z nas niesie. Dziś, nawet niesieni poczuciem słuszności swojego oburzenia sytuacją w Gazie, powinniśmy uważać na to, co z niego wyjmujemy. Jakie słowa, aluzje, porównania – oraz jak szeroko je stosujemy.

Chcę antysemityzm traktować śmiertelnie poważnie, każdy – uważam – powinien. Każdy w Polsce i w Europie. I wierzę, że da się to robić, jednocześnie krytycznie patrząc na wojnę w Gazie czy politykę Izraela. Ważąc słowa, krytycznie podchodząc nie tylko do sytuacji tam, ale też do siebie.

Co prawda nie badam zawodowo antysemityzmu, jednak przyglądam mu się uważnie od ćwierć wieku, czasem za bardzo z bliska. Rzadko rządzący, społeczeństwo czy duchowni byli nim serio przejęci, rzadko zwalczano go na serio, bez przymusu lub mody i nie tylko na powierzchni. Nigdy też znacząco nie spadł, nie zniknął. Wciąż znacząca część badanych wierzy w żydowskie spiski i jest zmęczona byciem zmuszaną do pamiętania o żydowskich ofiarach Zagłady. Wciąż zarówno przypadkowo spotkani, jak bardzo wykształceni i kulturalni, potrafią zaskoczyć antysemicką kliszą.

Nie ma powodu, by w imię wstawiania się za ofiarami wojny w Gazie, krytyki Izraela i jego polityki, wpuszczać znów w życie publiczne antysemityzm, który jest wręcz modelem europejskiego rasizmu, matką wszystkich uprzedzeń białej, chrześcijańskiej Europy. Z każdym rasizmem należy obchodzić się bardzo ostrożnie, bo wpuszczony w nasze życie, zostanie. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

Fundacja Służby Rzeczypospolitej
z głębokim żalem żegna

Ś. † P.

Profesora

Adama Strzembosza

Profesor w sposób niezłomny całym swym życiem i postawą wyrażał ideały niezawisłości sędziowskiej i niezależności sądownictwa, odpowiedzialności za Rzeczpospolitą.

Wyrażamy wdzięczność za zbudowanie w latach transformacji ustrojowej fundamentów niezależnego sądownictwa oraz trwającą do śmierci aktywność społeczną Profesora.
Jego bezgraniczne poświęcenie dla odbudowy niezależności sądownictwa i niezawisłości sędziowskiej, niszczonych systemowo w latach 2015-2023, pozostanie dziedzictwem i drogowskazem na przyszłość.

Bezkompromisowe zaangażowanie Profesora w odbudowę społeczeństwa obywatelskiego, odwaga cywilna i poświęcenie dla dobra wspólnego, realizowana konsekwentnie i na co dzień postawa obywatelskiej służby dla Polski, krzewienie odpowiedzialności obywatelskiej, tolerancji i poszanowania godności każdego człowieka wypełniały ideały patriotyczne i chrześcijańskie.
Przyjęcie przez Profesora Adama Strzembosza Nagrody Służby Rzeczypospolitej za rok 2024 było zaszczytem uczynionym dla naszej Fundacji.

Pogrążeni w smutku z powodu odejścia Człowieka
– Symbolu tego wszystkiego, co dla Polski najcenniejsze –
składamy Małżonce, Synom i całej Rodzinie wyrazy głębokiego ubolewania.

Fundacja Służby Rzeczypospolitej

Fundacja Służby Rzeczypospolitej: Rada Fundacji: Jerzy Buzek, *Mirosław Chojecki (zm.),* Aleksander Hall, Maciej Heydel – przewodniczący, Jacek Jezierski, Irena Lipowicz, Andrzej Olechowski, Adam Rotfeld, Marek Safjan, ks. Aleksander Seniuk, Hanna Suchocka, Jacek Taylor, *Henryk Wujec (zm.),* Jakub Wygnański, *O. Maciej Zięba (zm.),* Andrzej Zoll; Zarząd: Piotr Sendecki – prezes, Jan Zabierzewski; Rada Programowa: Zygmunt Berdychowski, Jacek Cichocki, Borysław Czyżak, Zbigniew Derdziuk, Tomasz Dostatni OP, Aniela Dylus, Zofia Dzik, Maciej Formanowicz, Andrzej Friszke, Paweł Gieryński, Mirosława Grabowska, Jerzy Hausner, Iwona Hofman, Paweł Horodecki, *Paweł Huelle (zm.),* Jan Jabłkowski, Michał Kleiber, Michał Komar, Wojciech Kożuchowski, Jan Malicki, Krzysztof Meissner, Zbigniew Nosowski, Andrzej Porawski, Andrzej Rychard, Piotr Sendecki, Wojciech Soczewica, ks. Andrzej Szostek, Anna Trzeciakowska, *Łukasz Turski (zm.),* ks. Alfred Wierzbicki, Jan Zabierzewski, Krzysztof Zanussi, Karol Życzkowski.

TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU Poczta Polska

- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- P. roczna + 4 wydania specjalne: 787 zł

ODBIÓR PRZEZ PACZKOMAT InPost

- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Konto do wpłat za prenumeratę pocztową „Tygodnik Powszechny",
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA, nr konta: 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

więcej informacji:
TygodnikPowszechny.pl/Sklep

RITHIKA GOPALAKRISHNAN / AGENCJA WYBORCZA.PL / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W PIĄTEK 31 PAŹDZIERNIKA W „WYBORCZEJ" SPECJALNY DODATEK

Wspominamy tych, którzy odeszli

Joanna Kołaczkowska, Stanisław Tym,
prof. Adam Strzembosz, Robert Redford,
papież Franciszek i inni

Ponad 100 sylwetek zmarłych w minionym roku



GAZETA wyborcza wyborcza.pl

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 44/2025



JUBILEUSZ!
35 lat Caritas Polska

Nadzieja rodzi się w spotkaniu

Przez 35 lat naszej działalności nauczyliśmy się jednej, fundamentalnej prawdy: nadzieja nie rodzi się jedynie w paczce żywnościowej, ale w relacji. Pomoc materialna jest ważna i potrzebna, lecz nabiera pełnego sensu dopiero wtedy, gdy staje się początkiem spotkania z drugim człowiekiem.

Kiedy spotykamy kogoś w kryzysie, nie pytamy tylko o to, czego mu brakuje materialnie. Pytamy: jak możemy ci **NAPRAWDĘ POMÓC**? Co możemy zrobić, aby twoje życie realnie się zmieniło? Adhortacja papieża Leona XIV „Dilexi te" przypomina nam, że w ubogich Bóg wciąż ma nam coś do powiedzenia. To przekonanie stanowi fundament naszego zaangażowania. Ubodzy nie są problemem do rozwiązania, lecz ludźmi, od których często możemy nauczyć się więcej o godności i sile ducha.

Dziś Caritas to blisko dwa i pół tysiąca placówek w całym kraju, prawie dziesięć tysięcy pracowników i ponad siedem tysięcy wolontariuszy. Ale prawdziwa siła tej organizacji nie tkwi w niej samej – to **TYSIĄCE HISTORII** odmienionych życiorysów.

Pan Andrzej, który po latach życia na ulicy, dzięki programowi mieszkań chronionych, założył własną firmę i dziś zatrudnia innych bezdomnych. Pani Ania, która po ukończeniu programu terapeutycznego została wolontariuszką w hospicjum. Dzieci z naszych świetlic, które dziś studiują na uniwersytetach i wracają do nas, by pomagać innym.

To właśnie jest nasza recepta na **ODBUDOWĘ NADZIEI**: widzieć człowieka, nie problem. Towarzyszyć, a nie tylko interweniować. Przywracać sprawczość – pokazywać ludziom, że mogą coś zmienić w swoim życiu.

PO 35 LATACH wiemy jedno: każdy gest miłości i miłosierdzia, każda wyciągnięta ręka, każde uważne spojrzenie ma moc odbudowy nadziei. Historia naszej organizacji niezmiennie dowodzi, że czynienie dobra ma sens i realnie zmienia świat.

© KS. PRAŁAT JANUSZ MAJDA, dyrektor Caritas Polska

Caritas to opowieść o człowieku

KINGA ŁUSZCZYŃSKA

Gdzie kończy się siła jednostki, a zaczyna systemowa bezradność, tam wkracza organizacja, której nazwę zna większość ludzi na świecie – Caritas. Od 35 lat działa także w Polsce, budując sieć dobroczynności.

Chcąc napisać historię Caritas, trzeba pokazać ludzkie losy – pana Piotra, którego możecie spotkać pod jadłodajnią, pani Basi, próbującej odbudować dom po kolejnej powodzi, Anieli, która dzięki wsparciu Caritas może ćwiczyć i zdobywać medale w szermierce. Caritas to wspólnota, która przywraca nadzieję i udowadnia, że człowiek nigdy nie jest za daleko, by nie można było wyciągnąć do niego pomocnej dłoni.

Fundamentem działalności Caritas jest miłosierdzie, które przerodziło się w dobrze zorganizowaną, precyzyjną odpowiedź na głębokie kryzysy społeczne. Czy jeśli damy osobie w kryzysie bezdomności dom, w którym będzie pozostawiona sama sobie, to już rozwiązaliśmy jej problem? Kluczem są relacje międzyludzkie – towarzyszenie drugiemu człowiekowi w jego drodze, bez oceniania, bez zbędnych słów.

Wiem, że nie wyjdę stąd głodny

Dla ponad dwóch milionów Polaków żyjących w skrajnym ubóstwie codzienne przetrwanie jest walką. W kolejce do jednej z ponad osiemdziesięciu jadłodajni Caritas, w których rocznie wydaje się ponad trzy miliony posiłków, stoi wcześniej wspomniany pan Piotr. Jego proste słowa oddają esencję tej walki: – Ta zupa to jedyny ciepły posiłek, jaki mam w ciągu dnia. Wiem, że nie wyjdę stąd głodny. To daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Caritas prowadzi programy pomocy żywnościowej, z których korzystają różne grupy społeczne. Jednym z takich działań jest „Spiżarnia Caritas" – program łączący blisko 1400 placówek handlowych i tysiące wolontariuszy, którzy mają często tylko dobę na odbiór, posortowanie i dystrybucję żywności z krótkim terminem przydatności. To system, który zapobiega marnowaniu żywności i walczy z głodem, dając człowiekowi czas na oddech i pomyślenie o czymś więcej niż tylko o kolejnym posiłku.

„Tak.Pomagam!" – to organizowana dwa razy w roku ogólnopolska zbiórka żywności w sklepach. Zebrane produkty trafiają do paczek świątecznych dla potrzebujących, zasilają także magazyny, z których żywność o długim terminie ważności przekazywana jest w ciągu roku jadłodajniom.

Pani Basia, 73-letnia opiekunka dorosłego niepełnosprawnego syna, każdego dnia mierzy się z finansowym strachem. Udział w programie „Na codzienne zakupy", realizowanym przez Caritas we współpracy z Fundacją Biedronki, daje jej poczucie bezpieczeństwa. Przedpłacona i doładowywana co miesiąc karta pozwala jej dokonać samodzielnego wyboru zakupów. Pozwala też odzyskać poczucie godności i kontroli nad swoim życiem. – Dzięki tej karcie mogę kupić lepsze mięsko, owoce czy jogurty. Nie muszę się martwić, że nie będziemy mieli co jeść – mówi pani Basia.

Pomimo że taka forma pomocy godnościowej wzmacnia ludzi także psychicznie, to jednak wciąż jest jedynie narzędziem, bo prawdziwe lekarstwo to obecność. Ponad 1200 parafialnych zespołów i cztery tysiące wolontariuszy nie tylko dostarcza karty, ale też siada przy stole, pomaga w codziennych sprawach, a czasem po prostu słucha.



MATERIAŁY PRASOWE CARITAS POLSKA

Wypić z kimś herbatę, zamienić dwa słowa

Wszystkie te działania, oprócz oczywistej, realnej pomocy, mają jeszcze jedno ważne zadanie – stwarzają okazję do spotkania z drugim człowiekiem. W starzejącym się społeczeństwie, w którym co druga osoba w podeszłym wieku cierpi z powodu samotności, a ponad 30 proc. seniorów nie może liczyć na wsparcie bliskich, lęk przed wykluczeniem społecznym staje się paraliżujący.

Tu ogromną rolę odgrywają diecezjalne i parafialne zespoły Caritas, które działają lokalnie, organizując pomoc dla osób potrzebujących, a obecnych przecież w każdej społeczności. Czasem zwykła wizyta, wspólnie wypita herbata, uśmiech i dobre słowo potrafią dać człowiekowi nadzieję i sprawić, że jego dzień będzie lepszy. Caritas aktywizuje seniorów, buduje współpracę pokoleń, podkreślając, że niosą oni bagaż indywidualnych i pokoleniowych doświadczeń, stanowiących cenny dar i żywą historię.

– 70 proc. naszych podopiecznych to osoby, które mieszkają same. Staramy się angażować je w różne działania, organizować samopomoc, łączyć ich pokoleniowo i międzypokoleniowo, żeby zmniejszyć poczucie osamotnienia i wykluczenia. To bardzo ważne, żeby towarzyszyć im w ich codzienności – mówi Magdalena Masiak, koordynator kampanii krajowych Caritas.

Pan Andrzej, 91-letni podopieczny Caritas, dodaje: – Najważniejsze to mieć dobry stosunek do drugiego człowieka. Wybaczać, być życzliwym. Całe życie bardziej cieszyło mnie obdarowywanie niż bycie obdarowanym. Nic mnie tak nie raduje jak radość drugiego człowieka.

Zupa na mrozie i powrót do życia

Jeden z największych problemów społecznych, oprócz lęku przed pustą lodówką i samotnymi dniami, to strach przed mrozem i nocami na ulicy, który dotyka ludzi w kryzysie bezdomności. Ten stan to nie tylko brak dachu nad głową, ale utrata wszelkich społecznych kotwic. Mówi się o ponad 30 tysiącach osób w kryzysie bezdomności. Przekrój społeczny tej grupy jest bardzo różnorodny. Wbrew stereotypom wśród nich są też osoby z wyższym wykształceniem. Bezdomność może dotknąć właściwie każdego – to może być też architekt, mieszkający pod zaprojektowanym przez siebie mostem. Tacy ludzie tracą nie tylko dom. Tracą głos. Nie są już słyszani przez społeczeństwo, nikt nie zwraca na nich uwagi. To utrata poczucia bezpieczeństwa w jego najgłębszym wymiarze.

Caritas w całym kraju prowadzi 500 placówek pomocy osobom w kryzysie bezdomności. Co roku, w sezonie jesienno-zimowym, Caritas Polska uruchamia akcję „Trochę ciepła dla bezdomnego”. We współpracy z warszawską Strażą Miejską dociera do osób w kryzysie bezdomności, dostarczając im gorące posiłki, śpiwory i odzież. Przez cały rok działa także Uliczny Patrol Medyczny, który wspólnie ze Strażą Miejską i stowarzyszeniem Jesteśmy Nadzieją objazdowo udziela pomocy ratowniczej i medycznej w ponad stu lokalizacjach.

Zupa i koc to początek, a powrót do życia – rodziny i pracy – to cała droga. Pomocny w tym jest program „Damy radę”, skierowany do osób młodych szukających wyjścia z głębokich kryzysów życiowych, uzależnień i bezdomności.

– Jestem młody, ale przez uzależnienie znalazłem się na ulicy. Bóg dał mi szansę na lepsze, godne życie. Dobrze mi się powodzi: teraz mam pracę, znalazłem mieszkanie, nie muszę się martwić, że będę spał pod mostem. Trzeźwość pozwala mi poprawić relację z rodziną. Program Caritas bardzo mi pomógł, znalazłem tu wsparcie ↦

↦ i przyjaciół – mówi 20-letni Eryk, uczestnik programu.

36-letni Bartek ukończył terapię, rozpoczął studia, znalazł pracę i nowe hobby – biega w półmaratonach. Jak podkreśla, praca daje mu poczucie stabilizacji – czegoś bardzo ważnego dla osoby uzależnionej i nieodzownego w procesie wychodzenia z nałogu.

Nie każdemu udaje się wyjść z bezdomności, ale to nie znaczy, że nie trzeba próbować. Pomoc takim osobom jest trudna: jak przekonać drugiego człowieka, żeby odzyskał szacunek do własnego życia? Trzeba zaakceptować go takim, jaki jest. Miłosierdzie, które jest fundamentem Caritas, pozwala pomagać, zachowując godność i szacunek. Trzeba wierzyć, że każdy człowiek jest tego wart.

Caritas Dzieciom – tysiące młodych otoczone opieką

Aniela od 12 lat uprawia szermierkę i jest trzykrotną medalistką mistrzostw Polski oraz wielokrotną reprezentantką Polski w pucharach Europy. Stypendium Caritas umożliwia jej uczęszczanie na dodatkowe treningi motoryczne i korzystanie z pomocy fizjoterapeuty. Aniela, która ukończyła szkołę podstawową ze średnią 6,0, ma szansę wystąpić na Igrzyskach Olimpijskich w Los Angeles.

16-letni Igor z Lublina jest niesłyszący, natomiast świetnie pływa. Marzy o udziale w Mistrzostwach Świata Głuchych. Na swoim koncie ma już złoty medal w sztafecie. Oprócz pasji do sportu, Igor ma wielki talent aktorski. Inspirują go głusi aktorzy z zagranicy. Podobnie jak Aniela, jest stypendystą Caritas.

> Opowieść o Caritas to historia odbudowywania w człowieku wiary w jego własną sprawczość. To inwestycja w niewidzialny kapitał.

Kuba też ma marzenie: chce trenować piłkę nożną, ale koszty wyjazdów i sprzętu były za wysokie dla jego rodziny. Stypendium pozwala mu rozwijać się i walczyć o miejsce w drużynie.

Ola również dostaje wsparcie, dzięki któremu może chodzić na dodatkowe kursy języka angielskiego. Marzy o studiach za granicą.

Na przestrzeni ostatnich 20 lat stypendia Caritas, realizowane w ramach dwóch programów – „Skrzydła" (wyrównywanie szans edukacyjnych) oraz „Dwa talenty" (dla dzieci wybitnie uzdolnionych) – otrzymało ponad 14 200 uczniów. Programy takie jak „Tornister pełen uśmiechów" (ponad 210 tys. rozdanych wyprawek) czy „Wakacyjna akcja Caritas" (co roku z wyjazdów korzysta ok. 19 tys. dzieci) skutecznie przeciwdziałają wykluczeniu społecznemu.

Caritas prowadzi również ponad 500 ośrodków pomocowych dla dzieci w całej Polsce – w tym domy dziecka, domy samotnej matki, placówki edukacyjne i świetlice socjoterapeutyczne. Dzieci objęte są w Caritas szczególną troską – zarówno w codziennym życiu, jak i na drodze do realizacji swoich marzeń.

Od 30 lat wspólnie z Caritas to Państwo jako darczyńcy odmieniacie los dzieci z rodzin z trudnościami. Środki pozyskiwane z dystrybucji świec, które tradycyjnie zapalamy na wigilijnych i wielkanocnych stołach, Caritas przeznacza na pomoc dzieciom z najuboższych rodzin w kraju. To najbardziej rozpoznawalna i najdłużej prowadzona akcja Caritas w Polsce – w ciągu trzech dekad udało się rozprowadzić ponad 50 milionów świec. W inicjatywę angażują się wszystkie diecezje, dzięki czemu świece trafiają do wiernych w 10 tysiącach parafii na terenie całego kraju.

Caritas dzieli się także z potrzebującymi poza granicami Polski – 10 groszy od każdej świecy przeznaczane jest na pomoc dzieciom żyjącym w najuboższych regionach świata. Świeca Caritas to symbol dobra i nadziei – daje dzieciom ciepły posiłek, pomaga w nauce, leczeniu i rehabilitacji, realnie odmieniając ich życie.

Miłosierdzie nie ma granic

Caritas pomaga na całym świecie. Na przestrzeni 35 lat Caritas Polska udzieliła pomocy humanitarnej w co najmniej 73 krajach.



MATERIAŁY PRASOWE CARITAS POLSKA

Caritas Polska – 35 lat służby człowiekowi

10 PAŹDZIERNIKA 1990 r., po 40 latach formalnego zawieszenia, Caritas Polska została oficjalnie reaktywowana. Powrót do działalności był możliwy dzięki historycznej Ustawie o stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej, przyjętej w 1989 r., która przyznała organizacji osobowość prawną, otwierając drogę do legalnej i masowej pomocy.

Na mocy tej samej ustawy wszyscy biskupi odtworzyli diecezjalne struktury charytatywne, których korzenie sięgają często okresu sprzed II wojny światowej.

Dziś **CARITAS POLSKA** jest nowoczesną organizacją stanowiącą część globalnej sieci Caritas Internationalis i Caritas Europa.

Wraz z 45 diecezjalnymi oddziałami Caritas tworzy **NAJWIĘKSZĄ ORGANIZACJĘ CHARYTATYWNĄ W POLSCE**, obdarzoną ogromnym zaufaniem społecznym.

Tylko w 2024 r. **700 TYSIĘCY OSÓB** w kraju otrzymało wsparcie od Caritas. Organizacja pozostaje filarem polskiej pomocy społecznej i humanitarnej. ©



MATERIAŁY PRASOWE CARITAS POLSKA

Prowadzony przez Caritas Polska program „Rodzina rodzinie” to największy program pomocy humanitarnej w Polsce. Jest to bezpośrednie, regularne wsparcie rodzin dotkniętych wojną i kryzysem. Środki przekazywane przez polskich darczyńców są przeznaczane na zakup żywności, leków, opłacenie rachunków czy edukację dzieci. Obecnie program realizowany jest w Strefie Gazy, w Syrii, Libanie i Ukrainie. Do tej pory wsparcie otrzymało niemal 60 tys. rodzin. Każda polska rodzina może włączyć się w to dzieło. Nawet niewielkie kwoty bywają bardzo pomocne dla rodzin dotkniętych wojną i kryzysami, pomagają im się usamodzielnić.

Caritas działa również w Afryce – na kontynencie pełnym życia, energii i niewykorzystanego potencjału. Pomaga najmłodszym rozwijać skrzydła, by mogli wykorzystać swoje możliwości i budować lepszą przyszłość. Dla wielu dzieci posiłek w szkole dostarczony przez Caritas to jedyne, co zjedzą w ciągu dnia. – Szkoła to teraz centrum naszego życia – mówi Lemlem, mama ucznia jednej z etiopskich szkół. Caritas zapewnia obecnie posiłki 7500 dzieciom w 34 szkołach w Etiopii. Wspiera też leczenie kliniczne niedożywienia dzieci w Burkina Faso.

W Jemenie od sześciu lat Caritas Polska ratuje kobiety i dzieci. Co dwie godziny z powodu niedożywienia i powikłań przy porodzie umiera tam kobieta. Z uwagi na brak dostępu do specjalistycznej opieki, szczepień i leczenia noworodki narażone są na znacznie wyższe ryzyko śmierci. Doktor Rifaat Salem, pediatra i dyrektor wspieranego przez Caritas Polska Centrum Zdrowia Matki i Dziecka w Jemenie, należy do szczęśliwców – może pracować tam, gdzie system opieki zdrowotnej praktycznie nie istnieje.

Caritas przywraca nadzieję bez granic.

Kiedy nie da się już nic, my robimy wszystko

– Kiedy powiedziałam sąsiadce, że idę do hospicjum, to ostrzegała mnie, że tam się tylko umiera. Odpowiedziałam jej, że to bzdury. Mam świetną opiekę. Personel jest na każde zawołanie, a w szpitalu na pomoc czekało się nawet godzinę – mówiąc te słowa pani Krystyna z hospicjum w Kartuzach uśmiecha się do nas i do wolontariuszki, która przyszła sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. A tak naprawdę przyszła trochę porozmawiać, wspólnie wypić herbatę, bo pani Krysia to człowiek dobry i ciepły, taki, którego każdy chce mieć blisko.

W obliczu ciężkiej choroby, lęk przed cierpieniem i utratą godności staje się wszechogarniający. To właśnie w 62 hospicjach i 185 placówkach opieki długoterminowej Caritas realizuje swoją misję. Niosą one pomoc niemal 30 tysiącom pacjentów rocznie.

Pacjenci i ich rodziny często muszą walczyć ze stereotypem mówiącym, że hospicjum to rezygnacja. Psycholog z placówki w Kartuzach obala to myślenie: – Powierzenie chorego hospicjum to wyraz ogromnej miłości. Pacjent otrzymuje najlepszą opiekę, a rodzina może skupić się na relacji z bliską osobą.

W hospicjach i placówkach opieki długoterminowej Caritas otacza pacjentów kompleksową opieką – zapewnia wsparcie psychologiczne i duchowe, dba o ich stan fizyczny, zapewnia leczenie i rehabilitację, a także towarzyszy w odchodzeniu z godnością i bez bólu. Hospicja Caritas to miejsca, w których nie myśli się o śmierci, lecz o życiu – o każdym dniu, który wypełnia troska, obecność i miłość.

Caritas to człowiek

W placówkach opieki długoterminowej Caritas pracuje 2300 specjalistów i ponad 1700 wolontariuszy. To opieka, która jest profesjonalna, lecz przede wszystkim ludzka. W opiece paliatywnej Caritas udowadnia, że miłosierdzie to dążenie do zachowania godności i niesienia nadziei nawet tam, gdzie medycyna osiągnęła już swoje granice.

Nie powinniśmy jednak myśleć o Caritas jedynie w kategoriach statystyki – milionów posiłków czy tysięcy wolontariuszy. Prawdziwą miarą jej istnienia jest przestrzeń, która rozciąga się gdzieś pomiędzy aktem dawania a gestem przyjmowania.

Klucz do rozwiązania kryzysu tkwi nie w narzędziach, ale w relacji. Pomoc to nie transakcja, ale towarzyszenie – gotowość, żeby po prostu być obok.

35 lat służby Caritas Polska – organizacji, która nie działa w błysku fleszy, ale niesie pomoc spokojnie, metodycznie, celowo. Opowieść o Caritas to opowieść o odbudowywaniu w człowieku wiary w jego własną sprawczość. To inwestycja w niewidzialny kapitał: marzenia dzieci, stabilność dorosłych, pewność tych, którzy wychodzą z kryzysu, spokój odchodzących.

Rozejrzyj się – Caritas jest bliżej, niż myślisz. Wolontariusz po cichu pomaga samotnej, starszej sąsiadce; dzieci znajomych, którzy stracili pracę, pojechały na wakacje; w pobliskiej jadłodajni ktoś właśnie nalewa kolejny talerz gorącej zupy. Caritas będzie trwać tak długo, jak długo człowiek będzie chciał bezinteresownie pomagać drugiemu człowiekowi.

© KINGA ŁUSZCZYŃSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 44/2025
REDAKCJA: Jacek Taran | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
Na okładce: zdjęcie promocyjne akcji „Tornister pełen uśmiechów” // materiały prasowe Caritas Polska

PARTNER WYDANIA
35 lat caritas

HISTORIA

Z BIESZCZAD POD BACHMUT

„Porzućcie góry, łąki i doliny, bo was wieziemy do wschodniej Ukrainy”, śpiewali tęsknie Bojkowie wysiedleni w 1951 r. spod Ustrzyk Dolnych do Donbasu. Dziś ich wnuki uciekają stamtąd przed armią Putina. Niektórzy wracają pod granicę z Polską.

ANTONINA PALARCZYK Z NOWEGO ROZDOŁU (ZIEMIA LWOWSKA) I KRAMATORSKA (DONBAS)



Nazywano ich werchowyńcami bądź hyrniakami. Za zachodnich sąsiadów mieli Łemków, od wschodu Hucułów. Choć wszystkie te grupy etniczne zamieszkujące Karpaty są zaliczane do Rusinów, to o Bojkach wiadomo najmniej.

Nie ma jednej teorii wyjaśniającej pochodzenie ich nazwy. Iwan Franko twierdził, że słowo *bojko* pochodzi od „wojownika”. XIX-wieczny ukraiński językoznawca Iwan Werchacki uważał, że od słowa *boje*, co w dialekcie znaczy „tak po prostu”. Możliwe też, że jest to przezwisko nadane przez sąsiadów od słowa oznaczającego „upartego wołu”. Najczęstszy pogląd głosi, że Bojkowie są potomkami Wołosów: pasterzy, którzy setki lat temu przybyli w Karpaty z Półwyspu Bałkańskiego.

W latach 1918-39 Bojkowszczyzna była w granicach II RP. Po 1945 r. część tych ziem anektował Związek Sowiecki. Z tego, co zostało w Polsce, ludność rusińską (nazwijmy ją tak, gdyż nie wszyscy utożsamiali się z narodem ukraińskim) wysiedlano początkowo do Związku Sowieckiego. Potem, w akcji „Wisła”, do północnej i zachodniej Polski.

Nie był to koniec wydarzeń, które wstrząsnęły Bojkami. A ich ciąg dalszy ma miejsce dziś.

Liskowate-Donbas, rok 1951

W 1951 r. Moskwa narzuciła Warszawie umowę o tzw. korekcie granicy: pojałtańska Polska musiała oddać ziemię, w której znaleziono złoża węgla (część województwa lubelskiego), a Stalin przekazał za to kawałek Bieszczad: Ustrzyki Dolne i okoliczne wsie. Administracyjnie była to część obwodu drohobyckiego, a historycznie – Zachodniej Bojkowszczyzny.

Zanim administracja PRL objęła ten teren, władze sowieckie wysiedliły przymusowo Bojków w głąb sowieckiej Ukrainy. Z kolei przed oddaniem Sowietom okolic Sokala władze PRL wysiedliły stamtąd przymusowo ludność polską – część na ziemie poniemieckie, a część w Bieszczady, do opuszczonych niedawno chałup.

Tak do Donbasu trafili również Bojkowie, którzy od pokoleń żyli w Liskowatem koło Krościenka nad Strwiążem. W 1939 r. populacja tej wsi liczyła 1870 osób (w tym 20 Polaków i 30 Żydów).





ARCHIWUM PRYWATNE NADII TUTOWEJ X2

Pociąg z bojkowskimi wysiedleńcami zmierza do Donbasu, jesień 1951 r.
Obok: mieszkańcy wsi Liskowate przed swoją cerkwią, dziewczęta w środku trzymają plakat z napisem „Bractwo Apostolstwa Modlitwy". Rok 1929.

Wywieziono ich w samą „Trójcę" – w obrządkach wschodnich dzień Zesłania Ducha Świętego i zarazem Świętej Trójcy. Osadzono w okolicy Bachmutu (wtedy Artiomowsk): we wsiach Zwaniwka, Rozdoliwka i Werchno-Kamiańskie.

Nowy Rozdół, dzisiaj

Wspomnienia wygnańców, budujących swoje życie na nowo, a także historia regionu znalazły schronienie w książce „Bojkowszczyzna-Donbas". Napisała ją, wraz z mężem i córką, Nadia Tutowa. Jej rodzice zostali zesłani do Donbasu w 1951 r.

Spotykam ją w Nowym Rozdole – miasteczku położonym między Lwowem a Stryjem, ponad 1000 km od wsi, w której się urodziła, a do której zbliża się front. To on zmusił potomków wysiedleńców z 1951 r. do podzielenia losu ojców i dziadów. Ewakuowani, trafili m.in. tutaj, do Nowego Rozdołu.

Rozmawiamy w miejskiej bibliotece. Towarzyszy nam troje innych uchodźców spod Bachmutu: starsze małżeństwo Nadia i Stanisław Gliwiak oraz Wołodymyr Styraniec. On małomówny, choć także z głową pełną wspomnień własnych i usłyszanych od rodziców, którzy pamiętali Liskowate.

Bieszczady, kiedyś

Bo w Liskowatem było pięknie. – Las wokół, tyle zieleni i łąk, gdzie wypasano krowy. Tam był dom, tam wszystko było. Tam była góra Kiczera – mówi Nadia Gliwiak. – Na Kiczerę chodziło się na grzyby i jagody.

– A jak wesoło chodziło się z kolędą! – dodaje mąż Stanisław. – Wszystko to opowiadali nam rodzice, a my naszym dzieciom. W Boże Narodzenie siano kładło się i na stole, i pod nogami. Na tym stole miało być koniecznie dwanaście potraw. Rozsypywało się trochę orzechów, a dzieci biegały po izbie, gdacząc, żeby kury dobrze niosły.

Nadia: – Ulubionym wspomnieniem mojej mamy było to, jak niemal każdego wieczoru w Liskowatem ludzie zbierali się u kogoś w chacie, żeby wspólnie śpiewać. Razem muzykowali, tańczyli, wioska zawsze pełna była muzyki!

Wertep i pisanki

W Liskowatem zostały bojkowskie chaty, sady i mogiły przodków. Oraz cerkiew. Wygnańcom, którzy musieli wsiąść ze skromnym dobytkiem do wagonów jadących na wschód, prócz wspomnień zostało dziedzictwo niematerialne.

Charakterystycznym elementem kultury bojkowskiej, rozpowszechnionym także w Ukrainie, jest wertep: bożonarodzeniowe przedstawienie kolędnicze. *Wertep* dosłownie oznacza betlejemską jaskinię, w której Jezus przyszedł na świat.

W przywiezionym z Liskowatego scenariuszu są postacie: Anioł, Pastuchowie, Żyd i Żydówka, Herod i Żołnierze, ↦

↦ Rabin, Setnik, Śmierć i Trzej Królowie. W donieckich wsiach, gdzie zamieszkali Bojkowie, do lutego 2022 r. odbywały się festiwale wertepów. Ich uczestnicy zjeżdżali z całego kraju.

Inny zwyczaj, opisany w książce „Bojkowszczyzna-Donbas", to malowanie pisanek. Traktowane z powagą: nie można było zabierać się za ten rytuał, uprzednio nie umywszy się i nie włożywszy najlepszego ubrania. Do zdobienia jajek przystępowano w piątkowy wieczór, przy świecy. Tego dnia nie wolno było się kłócić ani patrzeć w lustro. Miejsce pracy skrapiano święconą wodą.

Bojkowskim elementem zdobniczym były krywulki, fale symbolizujące nić życia, płynącą wodę i wieczność ruchu słońca. Święcone jajka miały chronić przed burzą i ogniem, a rozdrobnione z zieloną jeszcze pszenicą i zakopane w ziemi w dniu świętego Jury miały dać urodzaj.

Liskowate, później

Gdy powstała niepodległa Ukraina, Cerkiew greckokatolicka wyszła z podziemia. W każdej z trzech wiosek mieszkańcy zbudowali świątynię. W Zwaniwce powstał nawet klasztor.

Jeśli zaś idzie o cerkiew Narodzenia NMP w Liskowatem: jej budowę – w klasycznym bojkowskim stylu, reprezentowanym dziś w Polsce przez tylko trzy świątynie – przypisuje się uzdolnionym cieślom: Iwanowi Rakowi i Wasylowi Tymczakowi. Datowana jest na rok 1832, choć niektórzy sugerują, że może być z wieku XVII.

Szczęśliwie nie podzieliła losu wielu cerkwi w tym rejonie, zrujnowanych. Po wysiedleniu Bojków służyła w PRL-u początkowo jako magazyn i obora dla owiec. Potem, zanim nie zbudowano tu małej rzymskokatolickiej kaplicy (parafia jest w Krościenku), używali jej nowi mieszkańcy, Polacy. W 2021 r. wieś liczyła 187 osób.

Cerkiew jest dziś zamknięta (wpisano ją na listę zabytków Szlaku Architektury Drewnianej). Zabytkowe ikony z Liskowatego są dziś w zbiorach Muzeum Narodowego we Lwowie. Trafiły tam prawdopodobnie w latach 30. – jak wiele innych cennych obiektów wiejskiej sztuki sakralnej, z inicjatywy założyciela tego muzeum, greckokatolickiego arcybiskupa Andrija Szeptyckiego.



ANTONINA PAŁARCZYK

Od lewej: Stanisław i Nadia Gliwiakowie, Nadia Tutowa, Wołodymyr Styraniec. Nowy Rozdół w obwodzie lwowskim, 27 września 2025 r.

Spisać znaczy ocalić

Co było dla Nadii Tutowej impulsem, by zagłębić się w historię?

– Trzynaście lat temu zabraliśmy mojego tatę, dziś już nieżyjącego, do Liskowatego – wspomina. – On zawsze o tym marzył, by tam pojechać, a to długa droga. Gdy zobaczyłam go na jego rodzinnej ziemi, jak jest mu bliska, gdy padł na kolana przed cerkwią i zaczął całować ziemię, pojęłam, że trzeba ocalić jak najwięcej wspomnień. Dla potomków, żeby znali swoje pochodzenie.

Bo wśród żywych nie ma już niemal nikogo z wysiedlonych w 1951 r.

Tutowa: – Razem z mężem, Petrem, który był historykiem i prawnikiem, zaczęliśmy zbierać materiały. O Zachodniej Bojkowszczyźnie, historii Kościoła greckokatolickiego i cerkwi w Liskowatem. Spisywać tradycje, zwyczaje i święta, zachowane ustne przekazy.

Nadia Tutowa: – Tata miał na imię Oleksij. W 1951 r. służył w armii sowieckiej, a gdy został zwolniony z wojska, nie wrócił już do Liskowatego, lecz do Rozdoliwki w Donbasie, gdzie czekali na niego rodzice. Jego tata, a mój dziadek, nie wspominał Liskowatego inaczej niż słowami: u nas w domu. Nawet jeśli Donbas stał się jego nowym domem, a dla kolejnych pokoleń jedynym, jaki znały.

Nowy Rozdół, dzisiaj

– Dziadek dom miał jeden – wspomina Nadia. – On służył przed wojną w polskiej armii, pięknie mówił po polsku. Drugiego dziadka zesłali na Sybir w 1947. Nie chciał iść do kołchozu, miał dużo ziemi i rolniczego sprzętu. Takich zsyłali. Jeszcze się nie pali, mówił, pójdę w przyszłym tygodniu, zdążę ziemię obrobić. Nie zdążył, zabrali go rano.

– On biedny był, pół morga ziemi u niego było. Ciotka mi mówiła – polemizuje Wołodymyr.

– Za to u mojej babci było kilka koni i też ziemia, na którą miała papiery, ze złotymi literami i polską pieczęcią – dodaje Stanisław. – Babcia umarła, jak miałem sześć lat. Papiery nic nie warte, ale pamiątkowe. Bawiłem się nimi w dzieciństwie, potem przepadły.

– Tam zabrano wszystko naszym ojcom. Teraz my wszystko tu straciliśmy. Wyszło, że tułamy się po świecie jak Cyganie – mówi Wołodymyr.

Większość ich dobytku, a także pamiątek, jest dziś pod gruzami wsi zniszczonych przez Rosjan. Werchno-Kamiańskie i Rozdoliwka są już pod rosyjską okupacją. Zwaniwka, w dużym stopniu zrujnowana, wciąż jest po stronie ukraińskiej, ale Rosjanie robią postępy w jej kierunku.

– Zostało tylko to, co w głowie – mówi Nadia Gliwiak. Uchodząc przed armią Putina, zostawiła pamiątki po rodzicach: starą maselnicę, obrzędowy ręcznik, koszule-wyszywanki. Nie sądziła, że już tam nie wróci. Tylko kilka zdjęć rodzinnych udało się jej ocalić.

– A u mnie zostało trzypokojowe mieszkanie w Bachmucie – mówi Wołodymyr.

Donbas, wcześniej

Przybywając w 1951 r. do donieckich wsi, Bojkowie trafiali w środek obcej im kultury. Wyzywano ich od banderowców. Śmiano się z języka (z czasem zaczęli przyswajać rosyjski). Początkowo dopuszczano ich tylko do najprostszych prac. W dniach, gdy wypadało ich święto, nie szli do pracy i za to byli karani. Tak samo za kolędowanie. Inny był nawet humor bojkowski od tutejszego.

Różnice widać, jak słyszę z opowieści, także na wiejskim cmentarzu w Zwaniwce. Z jednej strony: miejscowi prawosławni (bądź tzw. chrześcijanie kulturowi, takich było w Donbasie wielu), chowani głową na zachód. Z drugiej: greckokatoliccy Bojkowie, zwróceni głową na wschód.

Inny był olej używany do gotowania. W Donbasie słonecznikowy, gdy ludzie z Liskowatego przywykli do lnianego lub konopnego.

Wielu początkowo chorowało. Może z tęsknoty, a na pewno ze zmiany klimatu: z wilgotnego górskiego przybyli w suchy stepowy.

Nadia Tutowa: – Andrij Jacynicz, brat mojej babci, wyjątkowo źle zniósł tę zmianę. Długo leżał w Doniecku w szpitalu. W końcu pozwolono mu wyjechać. Rzecz jasna nie mógł wrócić do Polski, więc osiadł z rodziną niedaleko, w rejonie Chyrowa. To blisko Liskowatego. Zamieszkali 10 km od granicy. Stąd widzieli rodzime góry, którymi biegnie granica.

Dodaje: – Mimo konfliktów, miejscowi pomagali też w adaptacji, w końcu musieli razem żyć. Potem zaczęto nawiązywać przyjaźnie. Już w 1953 r. moja ciotka Hanna wyszła za miejscowego, to było pierwsze takie mieszane małżeństwo. Petro, mój mąż, zmarły tuż przed pełnoskalową wojną, też był miejscowym Ukraińcem.

– Jednak wysiedleńcy nie zostali zasymilowani w pełnym tego słowa znaczeniu – uważa Nadia. – Częściej to miejscowi przejmowali część ich zwyczajów.

„Rozproszyliśmy się"

Dlaczego ich potomkowie, uciekający dziś przed wojną, osiedli właśnie pod Lwowem?

– Najpierw ze wsi wyjechały nasze dzieci z wnukami. Niektórzy do Kijowa, inni do Krzywego Rogu. A niektórzy aż



ANTONINA PALARCZYK

Nadia Gliwiak ze zdjęciem swojego dziadka, który służył w armii austro-węgierskiej.

tu, do Rozdołu. Albo do Chyrowa i okolic. Rozproszyliśmy się – mówi Nadia Gliwiak.

– A synowie poszli na wojnę – dodaje.

Dziś w Nowym Rozdole mieszkają 34 rodziny przybyłe z rejonu (powiatu) bachmuckiego.

Pod wodzą Nadii Tutowej działa tu oddolna inicjatywa: wspiera uchodźców wewnętrznych, angażuje ich w akcje pomocy dla wojska (jak plecenie siatek maskujących).

Kramatorsk, lato 2025 r.

Chciałam latem pojechać do wsi, w których Bojkowie żyli w Donbasie. Jednak to było niemożliwe, front był zbyt blisko.

W Kramatorsku, który jest centrum administracyjnym tej części obwodu donieckiego, jaka pozostaje pod kontrolą Ukrainy, spotykam za to w sierpniu Aleksandra Biłyckiego. Jest przewodniczącym hromady (odpowiednik gminy), do której należy Zwaniwka.

Także on jest etnicznym Bojkiem: pradziadowie, Hanna i Fedor Bandriwscy, w 1951 r. wraz z maleńkimi dziećmi trafili do Zwaniwki.

– Bez znajomości historii nie będzie przyszłości – jest przekonany Biłycki. Przez lata współorganizował festiwale wertepów, przewodniczył inicjatywom skierowanym do ludzi młodych, aby przybliżyć im ich korzenie.

Teraz, gdy hromada została oficjalnie ewakuowana, stara się kontynuować tę pracę na odległość. Jest w kontakcie ze sporą częścią uchodźców, rozsianych po całym kraju. Dzieci z hromady spędzają teraz czas na koloniach w Karpatach i innych częściach Zachodniej Ukrainy, aby odpoczęły. – Robimy wszystko, żeby miały jakiekolwiek wspomnienia z dzieciństwa – mówi Biłycki. Nie tylko wojnę i ucieczkę z domu.

Pieśń o wygnaniu

Słuchając opowieści o rozśpiewanym Liskowatem i zabranym ze sobą do Donbasu zamiłowaniu do muzyki, nie sposób pominąć pytania: czy tęsknota za rodzimą ziemią wyrażała się także w pieśni?

Bo nietrudno sobie wyobrazić, jakim szokiem musiała być zmiana górskiego krajobrazu, będącego częścią bojkowskiej kultury i tożsamości, na doniecki step.

We wspomnieniach o roku 1951 zachował się wielki płacz. Obrazy ludzi całujących ziemię, przyciskających jej grudki do serca. Oraz powstała później, już w Donbasie, „Pieśń o wysiedleniu":

W górach się rodziliśmy, w górach
mieliśmy żyć,
Ale umyślili rusińskich ludzi wywozić.
W niedzielny poranek dzwonią dzwony,
Pędzą ukraiński naród zgromadzony.
Zganiają wszystkich, zganiają do szkoły
I każą ludziom porzucić ich góry.
Porzućcie góry, łąki i doliny,
Bo my was wieziemy do wschodniej
Ukrainy.
Wieziemy do Donbasu, na bagna,
na stepy,
Naszą ziemię rodzinną zabiorą Polacy.
W niedzielny poranek wstaje słoneczko,
Ukraiński naród do wagonów jest gnany.
Pociąg kołysze się w dalekiej drodze,
Niech jeszcze raz spojrzę na góry rodzime.
Niech wspomnę kraj rodzinny i gaje
zielone,
Bo teraz żyć będziem już na obcej stronie.

Zwaniwka, jesień 2025 r.

Czwartek, 23 października. Ukraińska prokuratura podaje na Facebooku, że rosyjscy żołnierze wkroczyli do Zwaniwki i zastrzelili pięcioro cywilów, którzy ukrywali się w piwnicach (ludzie ci najwyraźniej nie chcieli się ewakuować). Informację przekazała 57-letnia kobieta, która była w tej grupie: ranna w głowę, przeżyła i dotarła do ukraińskich pozycji. W masakrze straciła męża i dwóch synów.

Kolejny rozdział tej historii się zamyka.

© ANTONINA PALARCZYK



WANG JIANGBO / XINHUA / AFP / EAST NEWS

NAUKA

NOWY KOSMICZNY WYŚCIG

Rywalizacja między USA i Chinami o panowanie w kosmosie wkracza w nową fazę. W tej walce nie chodzi tylko o prestiż. Także o technologie, które zmienią świat.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Elon Musk nie miał dobrego tygodnia. Ukochane dziecko miliardera, ogromna rakieta Starship, wykonała co prawda względnie udany lot testowy, ale zaledwie kilka dni później z Białego Domu wylano mu na głowę kubeł zimnej wody.

„Są w tyle. Wciąż przesuwają swoje terminy, a my ścigamy się z Chinami. Prezydent i ja chcemy dotrzeć na Księżyc w trakcie tej kadencji" – stwierdził tymczasowy szef NASA i bliski sojusznik Donalda Trumpa, Sean Duffy. I zapowiedział: „Dlatego pozwolę innym firmom kosmicznym konkurować ze SpaceX. Wybierzemy tę, która jako pierwsza zdoła nas zabrać na Księżyc".

Słowem – NASA nie wierzy już, że należąca do miliardera firma jest w stanie wykonać zlecony jej kontrakt.

Kto pierwszy wbije flagę

Pochodzący z RPA miliarder zareagował z taktem i umiarem, z którego jest znany. Na tweeta Duffy'ego odpowiedział memem z pytaniem „Czemu jesteś gejem?". Zdenerwowaniu Muska trudno się dziwić, bo gra

Statek załogowy Shenzhou-21 i rakieta Chang Zheng-2F gotowe do startu. Jiuquan, 24 października 2025 r.

idzie o miliardy. Dokładnie o 2,89 mld dolarów, które SpaceX ma dostać za dwie misje na Księżyc – jedną bez załogi, drugą z astronautami na pokładzie. Starship miał być kluczowym elementem misji Artemis, czyli programu, w ramach którego amerykańscy (a także europejscy i japońscy) astronauci mieli po dziesięcioleciach wrócić na Księżyc. Dla ogromnego statku przewidziano rolę księżycowego lądownika.

Tyle że do niedawna wszystko szło nie tak. Między styczniem a majem rakieta Muska zaliczyła trzy kolejne nieudane starty. Seria awarii znacząco opóźniła harmonogram. Loty w sierpniu i październiku poszły dobrze, ale eksperci przesłuchiwani przez amerykański Senat we wrześniu ostrzegali, że system może być „opóźniony o całe lata". Tymczasem księżycowa misja Artemis 3 jest zaplanowana na połowę 2027 r.

Co oznacza, że SpaceX powinna w ciągu 18 miesięcy zademonstrować, że jest zdolna regularnie i bez zbędnych fajerwerków wysyłać swoją rakietę w kosmos, przeprowadzić testy tankowania pojazdu na orbicie (czego nikt wcześniej w takiej skali nie próbował) oraz zrealizować bezzałogowe lądowanie na Księżycu. Tik-tak. NASA ma powody do niepokoju, choć wciąż pozostaje pytanie, czy którakolwiek inna amerykańska firma byłaby w stanie szybciej dostarczyć ludzi na srebrny glob.

Rywale zaś nie śpią. W sierpniu 2025 r. Chiny przeprowadziły serię udanych testów kluczowych elementów własnej, planowanej na rok 2030 misji księżycowej: silników rakiety Chang Zheng („Długi Marsz") 10, kapsuły załogowej Mengzhou oraz dwumiejscowego lądownika Lanyue. Ostatni z nich przeszedł pomyślnie próbę startu i lądowania w symulowanych warunkach księżycowych, potwierdzając gotowość technologii opracowywanych przez Chińską Agencję Załogowych Lotów Kosmicznych (CMSA). Dla Waszyngtonu to wyraźny sygnał ostrzegawczy: jeśli tempo amerykańskich prac nie wzrośnie, pierwsza flaga, która ponownie stanie na Księżycu, może mieć pięć złotych gwiazd na czerwonym tle.

Księżyc to symbol, ale i coś więcej. Co prawda potencjalnie miałby on stać się źródłem cennych surowców i zapleczem do eksploracji dalszych obszarów Układu Słonecznego, ale budowa księżycowych kopalni helu do fuzyjnych elektrowni to ciągle fantastyka. Podobnie jak w latach 60., wyścig na jego powierzchnię to częściowo wyścig po prestiż, a częściowo szansa na test technologii, które mogą być użyteczne znacznie bliżej Ziemi. I przekładać się na przewagę naukową, gospodarczą oraz wojskową jednej czy drugiej strony.

Problemy NASA

Są dwie zasadnicze różnice między dzisiejszym wyścigiem w kosmos a tym z XX wieku, z czasów radziecko-amerykańskiej zimnej wojny. Pierwszą jest to, że radziecko-rosyjski kompleks kosmiczny jest dziś cieniem swojej przeszłości, a kraj, który kiedyś był niekwestionowanym kosmicznym supermocarstwem, dziś spadł gdzieś do trzeciej ligi. Dość powiedzieć, że ostatnią udaną bezzałogową misję kosmiczną Rosjanie (wtedy jeszcze nie Rosjanie) wystrzelili w... 1982 r., a „woły robocze" tamtejszego programu lotów załogowych, czyli pojazdy Sojuz i Progress, to projekty z lat 60. Rosja zapowiedziała wycofanie się z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej w 2028 r. i niemal nikt nie traktuje poważnie jej zapowiedzi o tym, że wkrótce potem wystrzeli własną, konkurencyjną. Bo niby czym i za co?

Drugą różnicą jest to, że o ile radziecko-amerykański wyścig był zawodami dwustronnymi, o tyle tym razem obie strony budują koalicje. Stany Zjednoczone zainicjowały Porozumienia Artemis (Artemis Accords), które od 2020 r. podpisało kilkadziesiąt państw sprzymierzonych (m.in. Europejska Agencja Kosmiczna, Japonia, Kanada, Australia, a w 2023 r. także Indie). Porozumienia te ustanawiają ramy pokojowej eksploracji Księżyca i innych ciał niebieskich, podkreślając m.in. wolność prowadzenia badań i wydobywania surowców zgodnie z prawem międzynarodowym.

Chiny podpisały memorandum w sprawie budowy do połowy lat 30. Międzynarodowej Stacji Badawczej Księżyca (ILRS). Porozumienia o współpracy przy budowie księżycowej bazy podpisało już 17 państw i organizacji międzynarodowych, m.in. bliscy partnerzy Chin, tacy jak Pakistan (którego astronauta ma być pierwszym cudzoziemcem na chińskiej stacji orbitalnej) czy państwa rozwijające się z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. I, oczywiście, Rosja. Po inwazji na Ukrainę i izolacji Rosji na arenie międzynarodowej partnerstwo Moskwa–Pekin w kosmosie nabrało dla obu stron dodatkowego znaczenia, choć finansowo i technologicznie angażować się będą głównie Chiny. Rosja będzie tu co najwyżej pasażerem.

Amerykanie mieli w wyścigu spore fory. Program Artemis opierał się na sprawdzonych technologiach. Wielka rakieta SLS (należąca do NASA) to w znacznym stopniu składak z elementów wycofanych ze służby promów kosmicznych. Kapsuła Orion, na pokładzie której astronauci mają polecieć na księżycową orbitę, jest budowana od 2004 r., a pierwszy bezzałogowy lot wykonała już 11 lat temu. Również bezzałogową podróż wokół Księżyca odbyła w listopadzie 2022 r.

Tyle że w międzyczasie koszty rosły, programy toczyły się zaś coraz wolniej. A po ponownym objęciu urzędu prezydenta przez Donalda Trumpa NASA doświadczyła finansowej rzezi. Budżet agencji na przyszły rok ma zostać ścięty o 24 proc., w tym aż o 47 proc. spadną wydatki na badania naukowe. To przełoży się na 5 tys. zwolnionych naukowców i inżynierów. Czy wypatroszona agencja będzie w ogóle zdolna do bezpiecznego przeprowadzenia księżycowej misji?

Trump z lotu na Księżyc raczej się nie wycofa, bo jest głodny historycznego triumfu. Alternatywą dla kosztującej miliardy rakiety SLS miałby być Starship Muska, który, zdaniem miliardera, zamiast pełnić rolę lądownika, mógłby po prostu sam przeprowadzić całą księżycową misję. Właściciel SpaceX od lat zapewnia, że megarakieta będzie „już wkrótce" wozić ludzi nawet na Marsa. Dziewięć lat temu zapowiadał, że pierwsze marsjańskie loty odbędą się w 2022 r. Wtedy nie wyszło, a i dziś nic nie wskazuje, żeby jego rakieta była gotowa do – wciąż niezwykle trudnego – lotu na Księżyc przed zakończeniem drugiej kadencji Trumpa. ↦

Chińskie sukcesy

↦ Co się dzieje po drugiej stronie Pacyfiku? Chiny są dziś bliżej Księżyca niż kiedykolwiek wcześniej – dosłownie. Spektakularnym sukcesem była misja Chang'e 6, która w 2024 r. jako pierwsza w historii sprowadziła na Ziemię próbki z niewidocznej z naszej planety strony Księżyca. Chiny rozwijają też niezbędną infrastrukturę do lotów załogowych. W latach 2021-22 z sukcesem przetestowano nowy, potężny silnik rakietowy YF-100K, a w sierpniu 2023 r. przedstawiono prototyp nowego skafandra księżycowego dla tajkonautów. Oczywiście, jak głosi banalne powiedzenie ludzi z branży, „kosmos jest trudny" i chiński program mogą czekać jeszcze rozmaite niepowodzenia, ale na razie wygląda na to, że lądowanie niewielkiej, dwuosobowej misji do 2030 r. wygląda na bardzo prawdopodobne.

Celem ma być nie tylko eksploracja naukowa, lecz także wykorzystanie złóż lodu wodnego na biegunie południowym naszego satelity – potencjalnego źródła paliwa i tlenu dla przyszłych misji na Marsa. „Xi Jinping uczynił z podboju kosmosu swój wieczny sen, a jego ambicją jest, by Chiny stały się kosmiczną superpotęgą" – pisała stacja CNN o przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej. To w Waszyngtonie czy Tokio budzi niepokój. Były szef NASA Bill Nelson ostrzegł, że Pekin „może próbować rościć sobie prawa terytorialne" do fragmentów powierzchni Księżyca, wbrew międzynarodowym traktatom. Podobne zastrzeżenia formułuje prof. Kazuto Suzuki z Uniwersytetu Tokijskiego, który zauważa: „Chiny chcą być pierwsze, by móc dominować i monopolizować zasoby. Kto ma surowce w swoich rękach, ten zyska przewagę w przyszłości eksploracji kosmosu".

Sami Chińczycy odżegnują się od takich sugestii. „Prowadzimy loty kosmiczne po to, by rozwijać nowoczesne technologie, wspierać wzrost gospodarczy i poprawiać poziom życia ludzi. Nie bierzemy udziału w żadnym wyścigu kosmicznym z innymi krajami, ponieważ rywalizacja w tej dziedzinie jest pozbawiona sensu" – stwierdził w 2022 r. Yang Yuguang, starszy analityk chińskiego przemysłu kosmicznego z Pekinu i wiceprzewodniczący Komitetu Transportu Kosmicznego Międzynarodowej Federacji Astronautycznej (IAF). „Jeśli niektórzy są tak zakochani w idei wyścigu kosmicznego, to jest to ich własny wyścig – my nie będziemy w nim uczestniczyć. Jeśli chodzi o lądowanie na Księżycu, to nasza sprawa, kiedy wyślemy tam naszych astronautów, i nikogo innego to nie powinno obchodzić. A to, kiedy inne kraje zdecydują się wysłać swoich ludzi na Księżyc, nie jest sprawą Chin".

> Liczba chińskich obiektów na orbicie wzrosła z 250 w 2019 r. do 1015 w październiku 2024 r. Xi Jinping uczynił z podboju kosmosu swój wieczny sen, a jego ambicją jest, **by Chiny stały się kosmiczną superpotęgą.**

Z tymi zapewnieniami jest tylko jeden potencjalny problem. Powodem, dla którego chińskie statki kosmiczne nie cumują do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, a amerykańskie nie zawijają do chińskiej stacji Tiangong, jest to, że amerykański Kongres uznał, nie bez podstaw, że nie da się rozgraniczyć chińskiego cywilnego przemysłu kosmicznego od ich wojska. Słowem: każdy postęp cywilnego programu kosmicznego Pekinu może być przekuwany wprost na to, jak sprawne są chińskie kosmiczne i rakietowe siły zbrojne.

Front na orbicie

A o tym, jak istotny jest kosmos dla dzisiejszej wojny, po 2022 r. nie trzeba już nikogo przekonywać. I nie chodzi nawet o rozpoznanie – od pierwszych godzin wojny Ukraina wykorzystywała komercyjne satelity obserwacyjne do monitorowania i przewidywania ruchów Rosjan, co pozwoliło jej oszczędnie gospodarować własnymi siłami. Chodzi o łączność, nawigację, wprowadzanie zamętu i uderzanie w gospodarkę przeciwnika.

Dość przypomnieć, że jednym z pierwszych aktów rosyjskiej inwazji był hakerski atak, który sparaliżował wykorzystywane przez Ukrainę systemy satelitarnej łączności KA-SAT (co jednocześnie zatrzymało niemal 6 tysięcy turbin wiatrowych w Niemczech, nadzorowanych przez ten sam system). Czy fakt, że do tej pory Rosjanie zakłócają działanie systemu GPS nad znaczną częścią Bałtyku czy północno-wschodniej Polski.

Ale może być o wiele gorzej. Rosjanie i Chińczycy demonstrują coraz bardziej zaawansowane zdolności manew-

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

ZIELONA GÓRA, środa 29 października, godz. 19.00, recital Wojciecha Pruszyńskiego, „Pamięci Piotra Szczęsnego". „Manifest zwykłego szarego Człowieka" odczyta Jerzy Kaczmarowski. Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)

POZNAŃ, czwartek 6 listopada, godz.18.00, rozmowa z Wojciechem Bonowiczem w ramach Czwartków Literackich „Dlaczego warto wracać do Tischnera?" Prowadzenie o. Nikodem Brzózny OP. Sala Czerwona Pałacu Działyńskich (Stary Rynek 78)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

rowania orbitalnego. A to może przełożyć się na zaawansowane systemy broni przeciwsatelitarnej (ASAT). Zdaniem ekspertów, zakłócanie systemów łączności i nawigacji to normalizacja ataków na satelity jako elementu planów wojennych. Taki trend potwierdza Bruce McClintock z RAND Corporation, przypominając, że już w czasach zimnej wojny ZSRR i USA testowały odpalanie bomb jądrowych w kosmosie. Dziś, jak mówi, Rosja znów rozwija tego typu system. „To broń niedyskryminująca. Jej skutki odczułby każdy" – ostrzega badacz.

McClintock zwraca uwagę, że Stany Zjednoczone są „maksymalnie uzależnione od przestrzeni kosmicznej", podczas gdy Rosja w niewielkim stopniu. To, jego zdaniem, zachęca Moskwę do budowy „miecza Damoklesa" – potencjału, który może sparaliżować globalną infrastrukturę orbitalną. A podobne systemy rozwijają też Chiny, USA, być może także Iran czy Korea Północna. Jedno pociągnięcie spustu mogłoby sparaliżować globalną infrastrukturę satelitarną.

Gra o sumie niezerowej

To czarny scenariusz. Ale nie jedyny możliwy. Nawet jeśli założymy, że wbrew chińskim deklaracjom wyścig faktycznie trwa, historia uczy, że może on przynieść nam wszystkim w ostatecznym rozrachunku zyski. Nowe technologie, nowe szanse na rozwój, nowe odkrycia. Chińczykom nie będzie raczej zależało na satelitarnym armageddonie, bo sami od satelitów są w coraz większym stopniu uzależnieni. Liczba chińskich obiektów na orbicie wzrosła z 250 w 2019 r. do 1015 w październiku 2024 r., a prawdziwy boom dopiero nadchodzi – Pekin przygotowuje swoją alternatywę dla satelitarnego internetu Starlink, co będzie wymagało umieszczenia na orbicie kolejnych tysięcy obiektów.

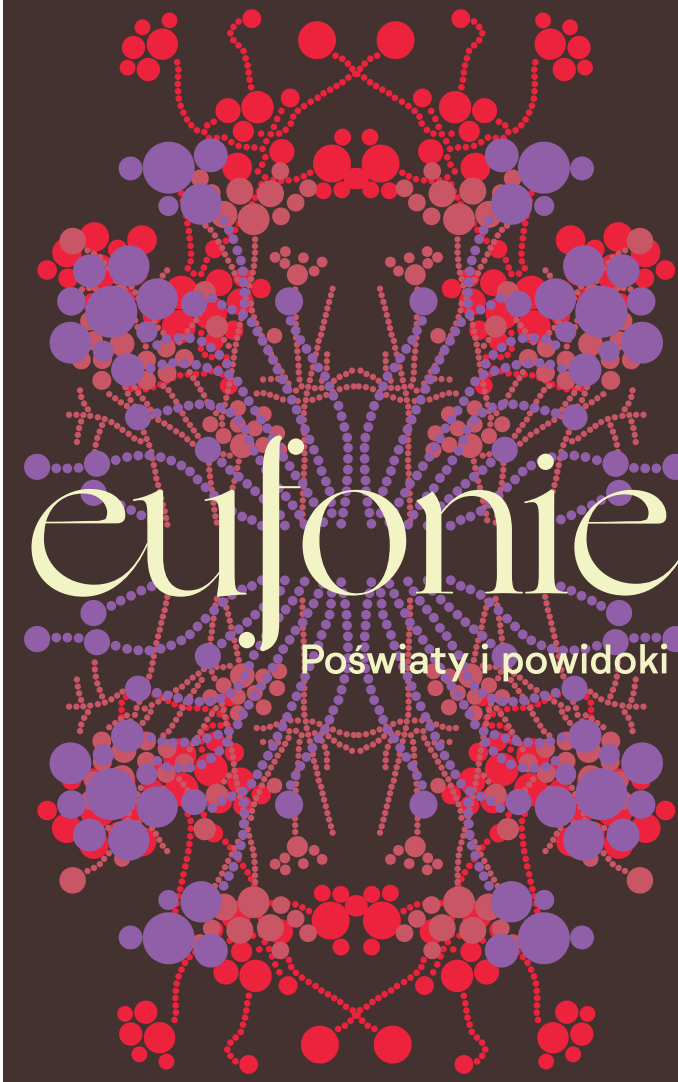
Jednocześnie już dziś widać, że – choć zapewne motywowane politycznym prestiżem – chińskie misje kosmiczne to dla świata nauki czysty zysk. Amerykańscy badacze pracują nad przywiezionymi przez Chiny próbkami z Księżyca, chiński lądownik mógłby przywieźć pierwsze próbki z Marsa już w 2031 r., na wiele lat przed podobną misją europejsko-amerykańską. A jednocześnie dopuszczenie, choćby w minimalnym stopniu, naukowców z krajów takich jak Senegal czy Pakistan do chińskich programów kosmicznych może stać się potężnym katalizatorem rozwoju nauki w krajach, które dziś nie dają młodym ludziom szans na karierę badacza.

Oczywiście, to wszystko pod warunkiem, że rywalizacja pozostanie pokojowa.

Nowy, kosmiczny wyścig zbrojeń nie musi być grą o sumie zerowej, taką, w której są wyłącznie zwycięzcy i pokonani. I nawet jeśli na prowadzenie wyjdą w nim Chiny, konsekwencje dla państw demokratycznych nie muszą być katastrofalne. Możliwe, że chińskie sukcesy skłonią USA do innowacji i inwestycji, otworzą drzwi do kosmosu większej liczbie państw oraz przyspieszą rozwój technologiczny z korzyścią dla całej ludzkości. Niezależnie jednak od scenariusza, kluczowe znaczenie ma dialog i ustanowienie norm – tylko to pozwoli przekuć ewentualne sukcesy jednej strony w zyski dla wszystkich. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

7. Międzynarodowy Festiwal — Muzyki Europy ——— Środkowo — Wschodniej



eufonie

Poświaty i powidoki

13 listopada ——————— 7 grudnia 2025
Warszawa • Katowice • Opole • Olsztyn • Kraków
Łódź • Gdańsk • Lusławice • Dębica • Bukareszt

Program i bilety:

ORGANIZATORZY MECENAS PARTNER STRATEGICZNY FESTIWAL JEST CZŁONKIEM BILETY
PATRONAT HONOROWY PARTNERZY
PATRONI MEDIALNI



CENTRUM NAUKI KOPERNIK / ADAM BURAKOWSKI

Wszystkie formaty komunikacji naukowej Kopernika są projektowane i testowane przez zespół Pracowni Przewrotu Kopernikańskiego



CENTRUM NAUKI KOPERNIK / WOJCIECH OLKUŚNIK

Mastodonzaur osiadł w Koperniku. Teraz wolontariusze będą pomagać w jego badaniu. To część projektu „Nauka ma Głos”

GIPSOWA KUKŁA I ŻYWA NAUKA

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Jak odbudować zaufanie do nauki? Centrum Nauki Kopernik uruchamia ambitny program, który pokaże młodym ludziom, że nauka to coś dla każdego.

Na początku jest kawał gipsu. Bryła spoczywa na palecie jak wielkie, nieforemne serce. Waży tonę z okładem, a w środku, o czym postronni nie muszą wiedzieć, „śpi” zwierzę ze świata sprzed dinozaurów: mastodonzaur, monumentalny płaz z triasu, który był postrachem bagien 240 mln lat temu. Znów zobaczy światło dzienne. Dzięki ochotnikom.

– Zagipsowaliśmy go jak nogę po złamaniu. Kukła waży jakieś 1,3 tony – mówi paleontolog prof. Tomasz Sulej. – Teraz jednak trzeba skamieniałość wydobyć ze skały, w którą wrosła. I tu na drodze stanęła proza życia. W instytutowej pracowni brakło windy, która uniosłaby kolosa, a Kopernik ma przestrzeń i zaplecze. Dlatego tu zaczynamy preparację – mówi badacz.

Centrum Nauki Kopernik ma coś jeszcze: entuzjastycznych ochotników. W preparacji prehistorycznego płaza wezmą udział wolontariusze. Ktoś dostanie do ręki wibrującą igłę – „pióro grawerskie” – i przez godzinę odsunie tyle skały, ile mierzy znaczek pocztowy. Ktoś inny nauczy się utrwalania kości albo dokumentacji. Ktoś wróci po tygodniu. Albo przekona się, że nauka jednak nie jest „magiczna”, tylko fizyczna: pachnie pyłem, piecze w palce, wymaga cierpliwości. I że można w niej uczestniczyć naprawdę.

Ta scena dobrze streszcza ambicję projektu „Nauka ma Głos”. Nowego, trzyletniego przedsięwzięcia Centrum Nauki Kopernik oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w którym chodzi o coś więcej niż o „zarażanie pasją”. Chodzi o zaufanie. O to, by nauka przestała być „czarną skrzynką” produkującą komunikaty, a stała się wspólną praktyką. To jeden z projektów Kopernika z nurtu nauki obywatelskiej. Centrum Nauki pomaga na różne sposoby, m.in. badając postawy wobec nauki.

STEREOTYP W BIAŁYM KITLU

– Zaskoczyło mnie, jak mocno młodzież utożsamia naukę z przedmiotami: rowerem, aplikacjami, szczepionkami. A jednocześnie, jak bardzo wierzy, że powstaje ona w jakimś magicznym laboratorium – mówi dr Marta Sałkowska, autorka raportu „Młodzi o nauce i naukowcach”, który powstał w ramach prac badawczo-rozwojowych Kopernika. Badacze pytali nastolatków, gdzie natykają się na naukę, czego potrzebują, by się w nią włączyć, a także: kogo tak naprawdę uznają za naukowca.

Z odpowiedzi wyłonił się obraz powszechnego kontaktu z technologią oraz... pustki. Młodzi deklarują ciekawość, ale nie widzą ścieżki: co właściwie robi naukowiec, jak wygląda jego dzień, kiedy popełnia błędy, kto mu pomaga, a kto stawia pytania?

W odpowiedziach pojawiał się też stereotyp. Wciąż ten sam.

– Starszy łysiejący pan w okularach i białym kitlu. Trochę szalony, czasem w spektrum – streszcza Sałkowska. Trop łatwo odnaleźć w kulturze popularnej: szalony profesor z „Powrotu do przyszłości”, kreskówkowe laboratoria, serialowi geniusze „spoza układu”. Obok Marii Skłodowskiej-Curie i Alberta Einsteina padało nazwisko Elona Muska – przedsiębiorcy, nie badacza. – To mówi sporo o tym, jakimi kanałami docierają dziś do młodych treści o nauce – zauważa badaczka. – To nie podręczniki, raczej memy i media społecznościowe.

Czy młodzi ludzie widzą siebie w „białym kitlu” naukowca? – Uważają, że to ścieżka trudna i wymagająca predyspozycji. Najważniejsze jednak jest to, że uczniowie szkół średnich nie wiedzą, na czym polega praca naukowca – opowiada Sałkowska.

SZKOŁA BEZ BŁĘDU

Gdzie zatem spotykają naukę? W odpowiedziach młodych przewijają się muzea, ogrody zoologiczne, targi kultury, wycieczki. Znacznie rzadziej szkoła. – Bo w szkole prawie wszystko jest na ocenę – wyjaśnia Sałkowska. – A nauka potrzebuje miejsca na błąd. Próbujesz, mylisz się, sprawdzasz raz jeszcze. Zmieniasz hipotezę. Porzucasz złudzenia. Budujesz od nowa.

Z jej raportu pochodzi anegdota, która mogłaby być scenariuszem krótkiego filmu edukacyjnego: Dziewczyna powiedziała, że jej koleżanka usłyszała, iż w parówkach są robaki.

MATERIAŁ PROMOCYJNY



CENTRUM NAUKI KOPERNIK / KAROL ZAPAŁA

Korzystając z eksponatów z grupy Living Lab Kopernika zwiedzający dodatkowo pomagają naukowcom realizować ich badania

Nauczycielka poszła za tym: przynosimy parówki, rozkrajamy, oglądamy pod mikroskopem. Tu nie ma „wielkiej narracji o nauce". Jest prosty mechanizm: pytanie – test – wniosek. Bez pogardy dla ciekawości, bez zawstydzania. Z szacunkiem do dziecięcej hipotezy.

Prof. Tomasz Sulej dorzuca inne problemy: – Dziś młodzi są bardzo kontrolowani. Jeżeli nie pozwalamy piętnastolatce pojechać pociągiem do innego miasta, to jak ma doświadczać świata? Jak ma się uczyć eksperymentu? – pyta. I dopowiada historię o spotkaniu, które mogło go uformować: w podstawówce jego klasę odwiedził polarnik. Po latach rozpoznał go w Muzeum Badań Polarnych i podszedł podziękować. – Jedno spotkanie potrafi wiele zmienić – mówi.

DZIECI NA WYKOPALISKACH

Dziś, by wciągnąć młodych do nauki, Sulej prowadzi Klub Młodego Paleontologa. Dzięki niemu nie tylko młodzież i dzieci, ale całe rodziny wyruszają na poszukiwanie skamieniałości czy wykopaliska. – Pamiętam dziewięciolatka, który rozpołowił skałę i zobaczył cały szkielet ryby sprzed 30 mln lat – wspomina. – Bywa też tydzień kopania „na pusto", bez satysfakcji „trofeum". I to też jest lekcja: porażki.

– Zaufanie powstaje, gdy czegoś doświadczymy – mówi Sałkowska. – Jeżeli nie mamy osobistego kontaktu ani z naukowcami, ani z efektami ich pracy, trudniej im zaufać. Tak jak ze stereotypami: biorą się z braku wiedzy i doświadczenia.

Są trzy filary budowania relacji zaufania: spotkania (proste, bliskie, bez żargonu), nauka obywatelska (udział w realnych badaniach) i badania nad komunikacją nauki (co naprawdę działa). Zespół Pracowni Przewrotu Kopernikańskiego testuje formaty: rozmawia, obserwuje, ankietuje, bada efekty. Wyniki publikuje i zamienia w rekomendacje. To ważne: przełączenie z narracji PR-owej na badawczą. Z „fajnie było!" na „fajnie było, bo...".

Jest w tym lekcja pokory. – Zamiast próbować naprawiać odbiorców, spróbujmy najpierw zmienić nadawców – tłumaczy badaczka. – Wyjdźmy z dualizmu „my–oni". Zaprośmy młodych do współtworzenia. Kiedy mają wpływ, bardziej to cenią.

MEDIA BEZ NAUKI

– Miałem olśnienie – opowiada Sulej. – Siedziałem w galerii handlowej, patrzyłem w telewizor. Sport, skandale, zero nauki. Pomyślałem: to także nasza, naukowców, wina. Za rzadko wychodzimy do ludzi. – Zorganizował konferencję prasową. Dziennikarze przyszli, bo prowadziła ją Martyna Wojciechowska. „To też lekcja: ważne, kto zaprasza i jak opowiada".

Sałkowska dodaje perspektywę młodych: – Chcą być tam, gdzie są ludzie tacy jak oni. Jeśli rówieśnik poleca wydarzenie, wiarygodność tego wydarzenia rośnie.

Dlatego w projekcie jest tyle pracy nad językiem (prosto, ale nie prostacko) i nad formatem (blisko, ale z sensem). I dlatego Kopernik od lat wychodzi poza własne mury: jeździ Naukobusem i Planetobusem, buduje sieć SOWA, rozwija Pracownię Przewrotu Kopernikańskiego, czyli zaplecze badawczo-rozwojowe, w którym edukacyjne formaty się projektuje, testuje i poprawia.

A teraz po sąsiedzku wydobywa się także ogromną skamieniałość. „Drgająca końcówka kruszy skałę. Pomału, punktowo. Centymetr po centymetrze wychodzi kość: krawędź, wyrostek, porowata struktura" – mówi Sulej. Brzmi jak zajęcie dla jubilerów, a w istocie jest ćwiczeniem uważności. – To wciąga. Po ośmiu godzinach widzisz, że zrobiłeś dziesięć centymetrów kwadratowych i jesteś szczęśliwy.

Młodzi ludzie wbrew pozorom potrafią poświęcić czas i dużo uważności w takie projekty – dodaje Sałkowska. Dowodzą tego także podczas zajęć, które realizujemy w Laboratorium Edukacji o Planecie pt. „Genetyczne Grzybobranie we współpracy z naukowcami z UW. Młodzi ludzie pomagają w analizie DNA, tworząc w ten sposób mapę bioróżnorodności grzybów.

– To niesamowite uczucie – mówi Sulej. – Jak wehikuł czasu: nagle widzisz coś, czego nikt nie oglądał od setek milionów lat.

A na koniec pojawia się sens: wyniki trafią do dalszych badań, stając się elementem większej układanki.

PO CO TO WSZYSTKO?

– W nauce chodzi o prawdę – podkreśla paleontolog. – Potrzebujemy jej, żeby lepiej żyć. Nie tylko tej o parówkach czy prastarych płazach, ale i tej o sensie naszego bycia na Ziemi.

A zaufanie? Nie przychodzi od razu. Buduje się powoli. To jak odkrywanie kości spod kamienia. Nauka powinna mieć głos. Ale najpierw musi mieć słuchaczy. A najlepiej – współwykonawców. ©



KULTURA

WIELKA LEKCJA

PIOTR DUMAŁA, REŻYSER:

Coraz wyraźniej czuję, że zbliżam się do tej granicy, za którą albo coś jest, albo nie ma nic. A co mogłoby być? Nad tym nie główkuję.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Najpierw na podstawie „Ameryki" Franza Kafki planowałeś film animowany.

PIOTR DUMAŁA: Wycofałem się, kiedy dotarło do mnie, ile to lat pracy. Chciałem, by powstał pełny metraż i kino akcji. Myślałem o technice rysowania postaci ołówkiem na papierze, potem wycinaniu ich komputerowo i wklejaniu w tła zrobione na innych kartkach. Ponad 100 tys. ręcznie robionych klatek.

Żmudna praca.

I wymagająca skomplikowanej postprodukcji. Zrealizowałem nieco ponad minutę, było piękne. Ale do ukończenia potrzebowałbym oddanego zespołu techników-artystów pracujących ze mną kilkanaście lat. A każdy rysunek musiałbym robić sam. Podrabianie rysunków groziło powstaniem jakiegoś monstrualnego kiczu.

Dlaczego?

Pracując sam, każdym nerwem czuję akcję i postać – jej bryłę, wyraz twarzy, błysk w oku, napięcie mięśni, rozwichrzenie włosów. Pomyślałem też, że nawet jeśli zrobię ten film za dwadzieścia lat, to będę miał prawie dziewięćdziesiątkę. Komu wówczas będzie on potrzebny? Jakiemu światu go pokażę? Czy będzie jeszcze istnieć kino?

Komiks okazał się realnym wyzwaniem.

Bohaterem „Zaginionego" Franza Kafki, bo tak brzmi pierwotny tytuł „Ameryki", jest szesnastolatek – Karl Rossmann. Kiedy wpadłem na pomysł adaptacji tej powieści, moja córka zbliżała się do wieku głównego bohatera. Automatycznie wyczuwałem ten naelektryzowany czas, bo w trakcie pracy towarzyszyłem doświadczeniu młodości mojego dziecka. I równolegle zbliżałem się do samego siebie.

Siebie sprzed lat?

Zależało mi, by pokazać sprawczość mojego Karla. W odróżnieniu od bohatera Kafki – poniekąd cierpiącego na syndrom sztokholmski, „współwinnego" swoich nieszczęść – ja chciałem go wyrwać z pułapki, stopniowo wyposażając w zdolność do podejmowania decyzji, buntu.

U Kafki w sumie nie wiadomo, kim Karl jest: jako nastolatek zostaje ojcem, ale nie poczuwa się do tej roli. Spłodził dziecko z 37-letnią służącą rodziców, a ci za karę wyrzucają go z domu. Z kilkoma dolarami zaszytymi w marynarce płynie więc do Ameryki, gdzie czeka na niego bogaty wuj z trzcinką bambusową w ręku. Od razu wiadomo, że to typ kapo. Początkowo wuj polubi Karla, potem da mu kopniaka za rzekome nieposłuszeństwo i wyrzuci z domu.

Brutalne dorastanie do samodzielności.

Zafascynowało mnie, jak Karl z chłopca przemienia się w mężczyznę. Co oznacza, że musi stracić niewinność. Nie tylko przez to, że uwiodła go służąca, ale dlatego, że przestaje być „dobrym chłopcem". Zaczyna kombinować, walczyć o siebie, rodzi się w nim świadoma seksualność. Staje się twardzielem.

Ty taki byłeś?

Karla z komiksu wyposażyłem w cechy, które we mnie objawiły się znacznie później.

Mówisz o pewności siebie?

Nie umiałem się bronić, wykazywałem daleko posuniętą łagodność, chociaż narastały we mnie napięcie, złość, agresja. Może bałem się eksplozji, którą w sobie nosiłem. Nikt tego nie widział, mój profesor mówił o mnie „niespotykanie spokojny człowiek".

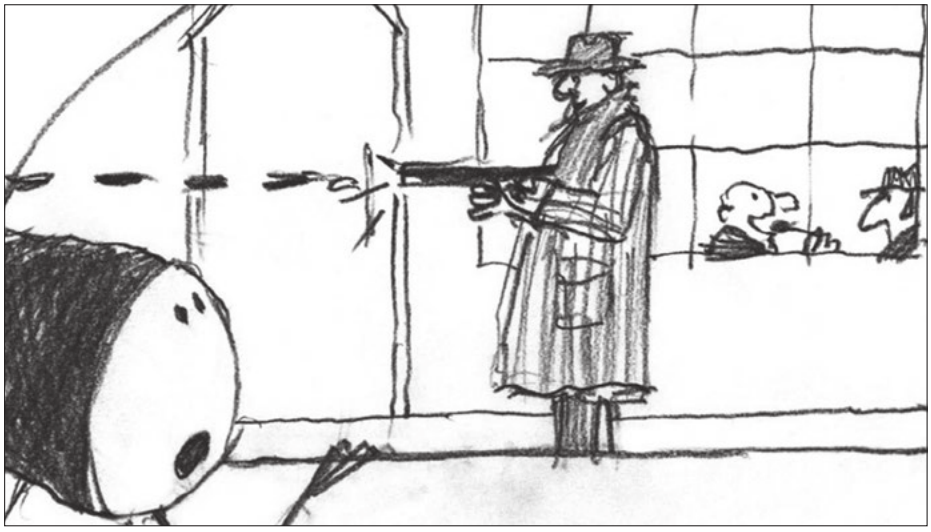
To źle?

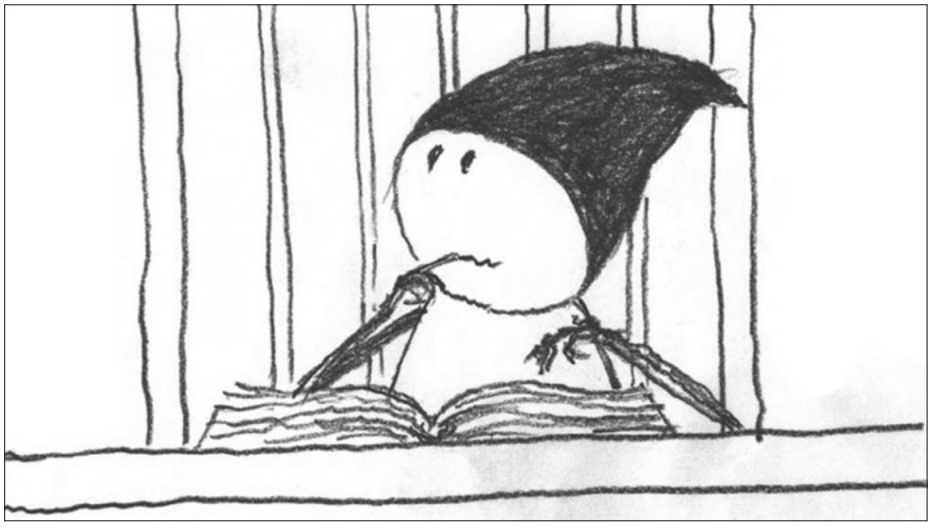
Kiedy w liceum plastycznym na pytanie, skąd jesteś, odpowiedziałem, że z Woli, to usłyszałem szydercze: „no tak, z Woli". Facet z Woli uchodził za bandytę – palił papierosy, pił wódkę, w kieszeni nosił nóż. Ja natomiast byłem piętnowany przez „prawdziwych" chłopaków z Woli. Nie byłem bandziorem, choć oczywiście trochę chciałem nim być.

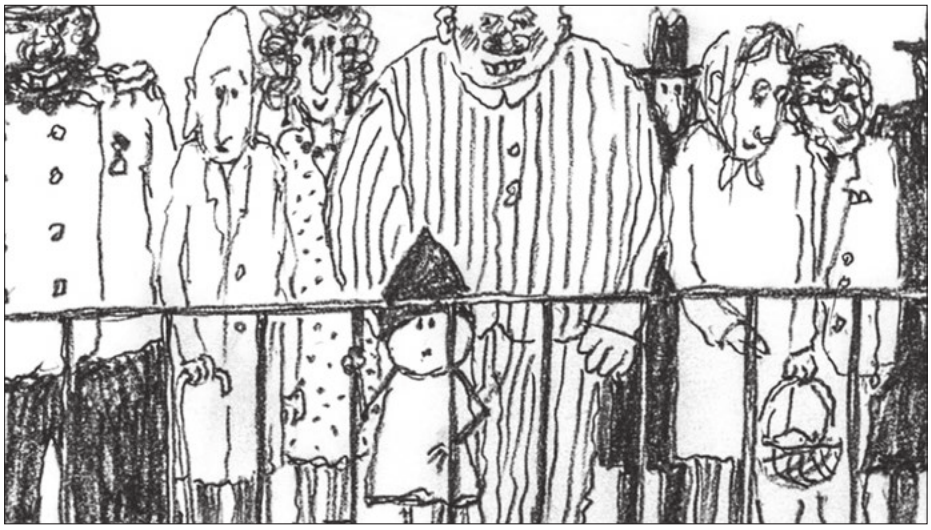
Jakim sposobem?

Zapisywałem się na sztuki walki: karate, kung-fu, tai chi... W pewnym momencie ćwiczyłem kyokushin, najbardziej agresywny styl karate. I rzecz jasna piłem. W czasach licealnych pisałem też okrutne powieści, trup ścielił się gęsto, na każdej stronie kilkudziesięciu zabitych. Albo taka scenka: idzie gromada dzieci, wesołe, rozkrzyczane niemiłosiernie, a potem cichutkie jak trusie. Tylko jedna dziewczynka charczy nieprzyzwoicie i szef bandy musi uspokoić ją krótką serią z broni maszynowej.

Makabreska.







FUMI STUDIO X3

Kadry z filmu w produkcji „Czarny Kapturek w Ameryce", reż. Piotr Dumała

Rękopisy krążyły po całej szkole. Dwa lata starszy Maciek Kobyliński, syn słynnego Szymona, który był guru nas wszystkich, poklepał mnie po ramieniu mówiąc: „stary, niezłe".

Uznanie grupy w tym czasie jest nie do przecenienia.

Ja w siebie z tamtego czasu mam wgląd też dzięki dziennikom. Uzbierało się z osiemdziesiąt zeszytów. Odkąd pamiętam, była we mnie potrzeba notowania refleksji, snów. Kiedyś bardziej żaliłem się w ten dziennik, pisałem, bo byłem zły na kogoś, zawiedziony, niekochany. Takie lustereczko, w którym przeglądały się moje negatywne stany ducha. Z czasem pojawiło się więcej spokoju. Zapiski zaczęły być rozmową ze sobą, jakby z mądrzejszym przyjacielem.

To musi być kopalnia wiedzy.

Zaskoczyło mnie, w tych najwcześniejszych dziennikach, jak bardzo starałem się być bliski faktów. Pod datą 27 sierpnia 1973 roku piszę: „Zdarzył się jakiś cholerny wypadek kolejowy pod Kielcami, matka na pewno nie pozwoli mi na wyjazd...". To był czarny dzień Polskich Kolei Państwowych. Doszło do katastrofy pod Radkowicami koło Kielc. Nocny pociąg osobowy relacji Zakopane – Warszawa, jadący z prędkością 90 km na godzinę, wjechał na porzucone na torach nieoświetlone 20 wagonów, które wykoleiły się z pociągu towarowego. W konsekwencji lokomotywa wyleciała w górę, zmiażdżeniu uległy pierwsze wagony, 14 osób zginęło, 24 były w stanie ciężkim.

Kiedy niedawno obejrzałem reportaż o tym wydarzeniu, łzy popłynęły mi z oczu. Ale wtedy myślałem tylko o sobie i swoim pragnieniu wyjazdu do dziewczyny do Opola. Jako nastolatek byłem bezduszny. Tak jakbym chciał powiedzieć: nie mogli sobie zginąć później albo gdzie indziej? Teraz widzę, jaką świadomość ma chłopiec siedemnastoletni, jak jest kompletnie niesocjalny.

A te granice kiedy nauczyłeś się stawiać?

Ciągle się uczę. Ostatnio zostałem okradziony. Facet mnie zagadnął, jak dojechać na jakąś tam ulicę. Niby Słowak. W pewnym momencie wręcza mi perfumy, a ja czuję, że to zmierza w złym kierunku, że będzie chciał o wiele więcej. Potem mówi, ↦

↦ bym dał mu pieniądze na benzynę, bo oni z kolegami przyjechali z Bratysławy i stoją teraz przy stacji benzynowej, mają pusty bak, nie mogą ruszyć. Że my, bracia Słowianie, musimy sobie pomagać.

Ściskał mnie za rękę kilka minut, z portfela wyciągnąłem dwie dychy, a on mówi, że to mało, że chce stówę. W tym momencie przebudziłem się, bo cały czas grałem w jego grę, wspólnie z nim starałem się udawać, że on jest w porządku.

Udawać?

To charakterystyczne, że kiedy ktoś cię robi w konia, przez długi czas bronisz tego człowieka, myśląc, że może źle go oceniasz, że on na pewno jest porządny. I próbujesz mu pomagać, by w twoich oczach pozostał dobry. Więc obaj gracie w tę grę... W końcu jednak powiedziałem: „Pan mnie nabiera, to jest nie *fair*". Ale te 20 złotych w jego ręku zostało, nie chciało mi się o nie upominać. Sama widzisz: na karku mam prawie 70 lat, a wciąż trudno mi uwierzyć w to, że świat jest zły.

Mnie też.

A to ułuda. Mówi się, że przyroda jest taka piękna, że gdyby nie człowiek, świat byłby rajem. I zachwycamy się łagodnymi wzniesieniami z gęstym lasem. A przecież w tym lesie właśnie toczy się bitwa, tam się napieprzają wszyscy ze wszystkimi – o światło, żarcie, wodę. Czy istotą tego świata nie jest mordowanie się? Wszyscy wszystkich próbują zjeść. Uśmiechamy się do słodkich kropeczek na biedroneczkach, a to przecież jeden z największych drapieżników, w jeden dzień może zjeść kilkadziesiąt mszyc. Ogrodnicy zwęszyli w tym interes i napuszczają jedne owady na drugie, by pomogły ludziom.

A ludzie?

Wychowano mnie w religii katolickiej, wierzyłem w istnienie duszy i w to, że jesteśmy podobni do Boga, że cząstka nas może być dobra. Że to możliwe. Tyle że ja wkoło widziałem i widzę triumfujące zło.

Choć jestem na tym etapie życia, że złapałem dystans. Dawniej nie umiałem, wszystko traktowałem śmiertelnie serio. Teraz się z tego potrafię śmiać. I nauczyłem się bawić własnymi lękami, gram nimi jak w piłkę. I jeszcze na nich zarabiam.

Kafka też pokazał Amerykę jako świat wrogi.



FUMI STUDIO

Screen z trailera nieukończonego filmu „Ameryka", reż. Piotr Dumała

A sam w Ameryce nie był. Za to mieszkali tam jego krewni, którzy regularnie przysyłali do Pragi kartki pocztowe z wizerunkami amerykańskich metropolii. Ważna była dla Kafki lektura przewodnika Artura Holitschera „Ameryka: dziś i jutro". Niemal wszystkie opisy amerykańskich krajobrazów, które znajdują się w „Ameryce", mają źródło w zdjęciach zreprodukowanych przez Holitschera. Kafka stworzył swoją Amerykę zaludnioną niemal wyłącznie przez Żydów i Niemców.

Natomiast kiedy rysowałem komiks, zacząłem przypominać sobie własne wyjazdy do Stanów. W sumie spędziłem tam trzy razy po pół roku jako *visiting lecturer* na Harvardzie.

I co myślisz?

To był jeden z najlepszych okresów mojego życia. Ale poprzedzony trudnym czasem, w którym odchodzili moi rodzice. Najpierw zmarł ojciec, potem mama. Jej pogrzeb odbył się tydzień przed moim wylotem. W Polsce zostawiałem grób pełen świeżych kwiatów.

Jak się odnalazłeś w Ameryce?

W Harvardzie dostałem pracownię z sufitem z matowego szkła, wysoką na 15 metrów, z rurami, które wyciągały zapachy rozpuszczalników i innych chemikaliów. Początkowo nie chciałem jej wziąć. Myślałem: po co mi jakaś tam pracownia, ja tu przyjechałem uczyć, po godzinach pracy będę chodził po ulicach, zwiedzał, siadał na ławce i pisał. Ale ktoś mi poradził: „Człowieku, weź ten klucz i przynajmniej otwórz drzwi, zobacz, jak to wygląda". Posłuchałem i oniemiałem.

Potem nie było dnia, bym nie był w tej pracowni. Do dziś pamiętam jej zapach – stare drewno, rdza – pracownie mieściły się w dawnych magazynach teatru Gilbert & Sullivan. I jeszcze pamiętam zakupy we wspaniale wyposażonych sklepach z materiałami dla plastyków. W Ameryce zrobiłem kilkaset rysunków i obrazów. Najlepsze moje prace powstały właśnie tam.

Prawdziwa ziemia obiecana.

Cambridge to piękne miasto, pełne młodych ludzi. Miałem tam swoją ulubioną księgarnię – Harvard Bookstore, gdzie godzinami przesiadywałem, oglądając albumy, i kawiarnię Toscanini, w której była pyszna gorąca czekolada. Codziennie ćwiczyłem jogę – nigdy wcześniej ani później nie robiłem kwiatu lotosu. Przechodziłem samego siebie.

I uczyłem studentów o różnych kolorach skóry – Rosjanina, Kubankę, Irlandczyka, Ormianina, Polaka, Hinduskę, Japonkę, Koreankę, kilku białych Amerykanów i Afroamerykanów. To nie byli wyłącznie artyści, ale ludzie studiujący geografię, mitologię, psychologię, filozofię, *computer science*.

Nie wszyscy byli wybitnie uzdolnieni plastycznie, po prostu chcieli wziąć udział w eksperymencie i stworzyć swój film animowany. Realizowali marzenia, pracowali niezmordowanie, nawet w największe upały, a wydział mieścił się na poddaszu. Ameryka dawała mi poczucie niesamowitej energii.

A dzisiaj skąd się bierze Twoja artystyczna energia?

Wracam do starych wątków i autorów. Przecież pierwszą animację wokół Kafki zrobiłem ponad 30 lat temu... To działa na zasadzie korzystania ze złóż zbieranych całe życie, one transformują w coś nowego. Jak miliardy ton drzew i dinozaurów, które zapadały się w bagnie i zamieniały przez tysiące lat w węgiel czy ropę naftową.

Co robisz teraz?

Pracuję nad 25-minutową animacją pt. „Czarny Kapturek w Ameryce". Rysuję wszystko sam, po prawie 2 latach pracy zbliżam się do 10 minut. Na stole piętrzy się stos 7 tys. rysunków.

Poniekąd to kontynuacja „Czarnego Kapturka", mojego filmu z 1983 r. Uruchamiam też własne, dziecięce rysunki zachowane w kilku zeszytach. Moja córka powiedziała, że to niesamowite, że jako czterolatek robiłem projekty do filmu, który realizuję teraz, ponad 60 lat później.

W Twoim starym filmie Kapturek nie tylko zmienia kolor nakrycia głowy, ale też z ułożonej panienki przemienia się w rozwydrzoną dziewuchę.

Mój „Czarny Kapturek" to bardziej chłopiec. I przez wiele lat ten bohater pojawiał się w różnych moich króciutkich filmach reklamowych, między innymi w czołówce Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni. Ale teraz, w nowym filmie, wraca jako główny bohater, gra Karla Rossmanna. Tytuł jest nawiązaniem do Kafki, bo chodzi o jego „Amerykę".

To zupełnie gagowe i *crazy*, ten Kafka. Podkładam sam roboczo głosy postaci, więc mam ubaw po pachy.

Powroty do przeszłości mają jakiś inny cel?

Może też taki, że coraz wyraźniej czuję, że zbliżam się do tej granicy, za którą albo jest coś innego, albo nie ma nic.

To jest czy nie ma?

Nad tym nie główkuję.

Nie?

To przecież jedna z tych kwestii, która pozostaje poza rozumieniem, ona jest sama z siebie potężniejsza od myślenia. Wiesz, ja w ostatnich pięciu latach całkiem sporo chorowałem i miałem poważne wypadki, do szpitala trafiłem z siedem albo osiem razy, więcej niż przez całe wcześniejsze życie.



BARTEK BARCZYK DLA GAZETY FESTIWALOWEJ „NA HORYZONCIE"

PIOTR DUMAŁA (ur. 1956) – reżyser, scenarzysta i scenograf filmów animowanych i fabularnych. Autor plakatów, ilustrator, pisarz. Profesor zwyczajny PWSFTViT w Łodzi, profesor gościnny Konstfack College of Art w Szwecji oraz Harvard University w USA. Laureat ponad setki nagród za twórczość filmową i graficzną. W wydawnictwie Nagle! ukazał się jego komiks „Ameryka" na motywach powieści Franza Kafki.

A przechodząc próg szpitala, robisz się innym człowiekiem, stajesz się określonym przypadkiem chorobowym. Tam nikt do mnie nie mówił „panie profesorze". Chociaż... Kiedy w Wigilię leżałem z covidem i narzekałem, że nie mam światła do czytania, bo lampka przy moim łóżku była popsuta, to jedna fajna lekarka powiedziała: „Profesorze, to prezent dla ciebie". I podarowała mi super lampkę.

Wigilijny cud.

Ale pewnego razu przyszedł inny lekarz, stanął przy moim łożu i pyta: „Od kiedy pan ma covida?". Ja: „Chyba siódmy dzień". On: „A, to jutro i pojutrze będzie ten najbardziej newralgiczny moment. Bo wie pan, jeżeli dojdzie do burzy cytokinowej, to wtedy tracimy kontrolę i następuje zgon". Jeszcze spojrzał w jakieś kartki i dodał: „Wyniki ma pan fatalne". Po czym odwrócił się do pacjenta z sąsiedniego łóżka: „No a co tam u pana, panie Stasiu"?

Teraz mnie zatkało.

Nie miałem pojęcia, co to jest ta burza cytokinowa, w życiu nie słyszałem o czymś takim. Ale raczej nie myślałem, że ma coś wspólnego z kinem. Tego samego dnia wzięli mnie na tomograf, jechałem na wózku, nie wolno mi było iść samemu. Siedziałem w poczekalni, z nikim nie rozmawiałem, zostałem w takiej ciszy sam ze sobą. I nagle miałem wrażenie, że siedzę na samej krawędzi cypla, a przede mną rozpościera się nieskończona otchłań. Jedyne w swoim rodzaju uczucie.

I scena jak z Kafki.

Dawniej do śmierci zbliżałem się poprzez sztukę. Choćby oglądając filmy Bergmana. W „Tam, gdzie rosną poziomki" jest scena, w której profesor Isak Borg we śnie widzi trumnę, ona się przewraca, otwiera, a w środku leży on sam.

Kiedy pisałem te swoje okrutne opowiadania, śmierć była dla mnie jakimś rodzajem ekspresji, nie zdawałem sobie sprawy, co to właściwie znaczy. Nawet jak umarł dziadek, a byłem wtedy w piątej klasie, to przeżywałem to dość banalnie: płakałem, napisałem wiersz, ale jednocześnie nie bardzo czułem coś głębszego. I bałem się zimnego ciała, nie chciałem dotknąć trupa.

Kiedy mój ojciec rok wcześniej pocałował swego zmarłego brata w czoło, myślałem: jak on się go nie boi? Ale kiedy po latach żegnałem się z ojcem na cmentarzu, to też go pocałowałem. A wcześniej zrobiłem jego portret. Tak samo portret mamy. Rysowałem go w chłodni, pozostawiony sam, pośród wielu trumien z ciałami zmarłych. Śmierć rodziców była dla mnie wielką lekcją zrozumienia życia. Nie było tam miejsca na strach.

A Ty?

O śmierci nie myślę z lękiem, bardziej z ciekawością. Jest przecież rzeczą najbardziej powszechną, niezbędną częścią całości. Nawet jeśli nic tam nie ma. Nic – w sensie naszego intelektu, który zniknie. Więc co jest oprócz niego?

Kafka w ostatnich zdaniach swoich dzienników napisał: „Każde słowo przekręcone w ręku upiorów – ten rozmach ręki to ich charakterystyczny ruch – staje się ostrzem zwróconym przeciw mówiącemu... Więcej niż pociechą jest stwierdzenie: ty też masz broń".

Sztuka jest bronią?

Dla artysty to kwestia przetrwania. Ja w dzieciństwie i w wieku dojrzewania przetrwałem dzięki sztuce. I to dzięki pisaniu właśnie, nie plastyce. Szczęśliwie psychoterapia nie wykurzyła ze mnie sztuki, raczej mnie umocniła, bym zajmował się nią właśnie, ale już racjonalnie, nie desperacko. Ujrzałem w niej moją siłę na całe życie. Więc tak, poczułem w sobie tę broń, jak Kafka. © Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z gry „Silent Hill f", NeoBards Entertainment Ltd.

Wyjedź z tego miasta

MICHAŁ WALKIEWICZ

GRY | Twórcy „Silent Hill" stworzyli oniryczny poemat grozy. Udowodnili, że dzięki połączeniu języka kina, literatury i sztuk plastycznych gry wideo mogą skutecznie podsycać egzystencjalne lęki.

Obiło mi się o uszy, że piekło jest w nas. Czy ja wiem? Kto powiedział, że musi ono istnieć w sferze abstrakcji, poza czasem i przestrzenią? Być może materializuje się pod koniec października na ulicy Pocztowej w Szczecinie, łódzkich Bałutach albo w innych miejscach, gdzie synoptycy przewidują zwykle mgłę, przymrozki i opady popiołu. Nawet teraz, gdy wyglądam przez okno na Żoliborzu, myślę o swoich grzechach. I wypatruję tabliczki: „Witaj w Silent Hill".

Tytułowe miasteczko zwiedzamy w popularnej serii gier wideo. Trafiają tam ludzie dręczeni najcięższymi wyrzutami sumienia – kaci oraz ich ofiary, samotni mężczyźni i umęczone kobiety, ciała i dusze w stanie ustawicznej psychomachii. Na zlecenie japońskiej firmy Konami namalowali je Bacon i Beksiński, prawa miejskie zaś spisali Lovecraft i Dostojewski.

To najważniejsze z fikcyjnych miejsc, w których egzorcyzmujemy prawdziwe demony.

Miejsce i klątwa

Położoną w Pensylwanii Centralię dzieli od japońskiego Gero na wyspie Honsiu 11 tys. kilometrów. W tym pierwszym mieście, pod ziemią, płonie wieczny ogień. Choć od katastrofy w kopalni węgla minęło sześć dekad, okoliczne tereny wciąż nie nadają się do zamieszkania. Czterem osobom, które mimo toksyn oraz marsjańskich krajobrazów zostały na miejscu, musi starczyć pamięć o lepszych czasach. Gaz ziemny będzie wypalać się przez kolejne 250 lat.

Gero słynie z gorących źródeł, uzdrowisk oraz mgły spływającej z okolicznych wzgórz. Kiedyś odwiedził je sam Charlie Chaplin. Jak głosi legenda, pomiędzy jedną sesją fizjoterapii a drugą pogubił się w labiryncie ciasnych uliczek. Pewnie dlatego miejscowi odlali go w brązie i posadzili na dziedzińcu, żeby witał przyjezdnych.

W popkulturze 11 tys. kilometrów to rzut kamieniem. Nic dziwnego, że Centralia i Gero wyznaczają dwa bieguny inspiracji twórców serii „Silent Hill". W latach 90. zamglone, opuszczone miasteczko ulokowano symbolicznie w stanie Maine – tak by kojarzyło się z ulubionymi kierunkiem bohaterów powieści Stephena Kinga. W najnowszej grze z serii Silent Hill to raczej stan ducha niż

fizyczne miejsce. Nastrój bezbrzeżnej melancholii i zarazem niezgody na rzeczywistość, który udziela się mieszkankom japońskiej prowincji lat 60. Najważniejsze miejsce w historii cyfrowego horroru jest zarówno punktem na mapie, jak i szczeliną w podświadomości. Klątwą nadprodukty wnej wyobraźni oraz oryginalnym kodem estetycznym.

Wszystko zależy od tego, kto patrzy. I czego się boi.

Poemat grozy

Stopę w Silent Hill postawiliśmy po raz pierwszy w roku 1999. W rewolucyjnej grze wideo żyliśmy i umieraliśmy w zgodzie z dekalogiem gatunku zwanego *survival horror*. Eksplorowaliśmy więc niegościnne miejsce, rozwiązywaliśmy abstrakcyjne zagadki i tłukliśmy pałką powykręcane w spazmach monstra.

Tym, co odróżniało grę od konkurencji w postaci cyklu „Resident Evil", był zakres inspiracji. Zamiast nurzać się w filmowej pulpie lat 60. i 70., ucieleśnionej przez ojca żywych trupów George'a A. Romero, scenarzysta i reżyser Keiichiro Toyama obrał kurs na „Twin Peaks" Davida Lyncha, a w podróż zabrał „Krainę Chichów" Jonathana Carrolla. Celebrował klasyków turpistycznego malarstwa, a emocjonalne stany bohaterów oddawał zarówno pasusami z Szekspira, jak i językiem psychologicznego horroru.

Symbolem tych zmian stały się narracyjno-formalne eksperymenty: uwolniona spod rygoru statycznych ujęć wirtualna kamera, stylistycznie niezborna z horrorem melodramatyczna fraza oraz – wizytówka cyklu – otulająca Silent Hill mgła. I choć większość tych innowacji wynikała z technologicznych ograniczeń, to właśnie dzięki nim twórcy zamienili zera i jedynki w oniryczny poemat grozy. Udowodnili, że dzięki interaktywnej naturze oraz eklektycznemu językowi kina, literatury i sztuk plastycznych gry wideo mogą skutecznie podsycać egzystencjalne lęki – nawet jeśli do uniwersalnych prawd o człowieku docierają okrężną drogą.

Ulice Silent Hill noszą nazwy po mistrzach literatury grozy – Deanie Koontzu, Richardzie Bachmanie (*alias* Stephenie Kingu), Michaelu Crichtonie. Wystrój kręgielni Pete's Bowl-O-Rama przywodzi na myśl zanurzone w rdzy i spleśniałym twarogu płótno Edwarda Hoppera. Pod budynkiem Towarzystwa Historycznego kryją się ruiny więzienia z okresu wojny secesyjnej. Szpitale Alchemilla i Brookhaven to ponure, odpowiednio gotyckie i brutalistyczne molochy. Repozytorium urbanistycznej grozy nie byłoby kompletne bez latarni morskiej rodem z lovecraftowskiego Innsmouth oraz sierocińca na planie architektonicznym panoptykonu – słynnej metafory nadzoru absolutnego autorstwa Jeremy'ego Benthama.

Choć w ramach postmodernistycznych harców zwykliśmy przydawać takim rzeczom więcej sensu, czasem nazwa to tylko nazwa, a oczko puszczone graczowi nie musi automatycznie odsyłać do wielkiej literackiej tradycji. Siła „Silent Hill" leży gdzie indziej. Ze znajomych klocków twórcy gier budują nieoczywiste konstrukcje.

Refleksy z popkulturowego gabinetu luster zderzają z ostentacyjną powagą psychodramy.

Zwyczajny strach

Pierwsza część gry żongluje tymi motywami, by opowiedzieć prostą w gruncie rzeczy historię ojca, który pragnie wyrwać córkę ze szponów pogańskiego kultu. Akcja rozgrywa się w mieście zamieszkałym przez wytwory podświadomości ofiary tegoż kultu – złożonego w ofierze starożytnemu bóstwu i umierającego w męczarniach dziecka. Stąd ilustrowany katalog pacholęcych lęków: od przerośniętego robactwa, przez dusze szkolnych prześladowców z wielkimi nożami w dłoniach, po obleczone cielistą membraną, zakrwawione i połamane pielęgniarki.

Arcydzielny *sequel* (jego równie dobry *remake* stworzyło przed dwoma laty krakowskie studio Bloober Team) wyprowadził opowieść z rejonów spirytualistycznego horroru. Kultyści, rytuały oraz gnostycka filozofia ustąpiły miejsca grozie wyrosłej z codziennego strachu – przed chorobą, seksualnym niespełnieniem, samotnością i deficytem miłości.

James Sunderland błąka się po miasteczku w nadziei na odszukanie żony. Choć ta zmarła po walce z ciężką chorobą, sygnowany przez nią list wzywa mężczyznę do Silent Hill. Prywatne śledztwo prowadzi nad krawędź otchłani, eksploracja oznacza błądzenie w labiryntach cudzej podświadomości. Rozgrywka staje się metaforą zmagań z poszarpaną psychiką.

I znów, w zgodzie z logiką koszmaru, miasto podsuwa bohaterowi fizyczne reprezentacje jego lęków: manekiny niedbale posklejane z kobiecych ud i ramion; oskórowane humanoidy wszyte w zardzewiałe ramy szpitalnego łóżka; ↦

Kto zbudował Silent Hill

ADRIAN LYNE
Choć „Silent Hill" doczekało się aż dwóch filmowych adaptacji (trzecia jest w drodze), jedynym filmem, który chwyta ulotny nastrój miasteczka, pozostaje „Drabina Jakubowa" Adriana Lyne'a. Opowieść o uwięzionym między piekłem i niebem weteranie z Wietnamu była dla twórców gry scenariopisarskim podręcznikiem oraz katalogiem mrożących krew w żyłach scen.

JONATHAN CARROLL
Nie bez powodu amerykański autor doczekał się w Silent Hill własnej ulicy. Jego wybitny debiut, „Kraina Chichów" pozostaje studnią bez dna dla miłośników surrealistycznego horroru. A wszystko przez nośny motyw materializowania wytworów pisarskiej wyobraźni oraz nastrój rodem z sennego koszmaru.

PORTISHEAD
Wybitne kompozycje, którymi Akira Yamaoka okrasił gry wideo, miały wielu duchowych ojców – od Angela Badalamentiego po Trenta Reznora. Ambientowy nastrój utworów Portishead kojarzy się jednak z partyturą „Silent Hill" na tyle mocno, że trudno nie myśleć o Japończyku jako o zaginionym kuzynie ekipy z Bristolu.

ZDZISŁAW BEKSIŃSKI
O wspólnych kodach estetycznych arcydzieła cyfrowego horroru oraz twórczości Beksińskiego można by napisać książkę. Wystarczy jednak uświadomić sobie, że internet zalany jest wytworami sztucznej inteligencji w rodzaju: „A co gdyby Zdzisiek Beksiński mieszkał w Silent Hill". © MW

↦ wreszcie – Piramidogłowego, XIX-wiecznego kata, potwora żerującego na cudzej winie, jednoczesny symbol rozbuchanej męskości oraz seksualnych frustracji.

Silent Hill konfrontuje Jamesa z innymi grzesznikami: kontemplującą samobójstwo ofiarą molestowania Angelą Orosco, wyszydzanym z racji swojej tuszy Eddiem Dombrowskim oraz Marią – kobietą do złudzenia przypominającą zmarłą żonę bohatera, tyle że z nieco krótszą spódniczką i dłuższymi paznokciami. Mężczyzna nie potrafi się w nich przejrzeć, zbudować z nimi relacji, jego samotność staje się niemal pornograficzna. Fantastycznie rezonuje to z ugruntowanym we współczesnej kulturze modelem męskości oraz krajobrazem społecznej atomizacji.

Kolejne wcielenia

„Silent Hill 2" jest nie tylko najlepszą grą z serii, ale i piwotalnym momentem w historii samego miasteczka. Od tamtej pory funkcjonuje ono nie tyle jako miejsce na ziemi, ile koncepcja psychologicznej matni. To zarazem czyściec i piekło, strefa poznania, egzystencjalnej próby oraz cielesnej i mentalnej gehenny.

Nastolatkę Heather Mason („Silent Hill 3") spersonalizowany koszmar dopada w centrum handlowym po drugiej stronie Ameryki. Henry'ego Townshenda („Silent Hill 4: The Room") więzi w jego własnym pokoju. Z kolei weteran wojenny Alex Shepherd („Silent Hill: Homecoming") zabiera swoje traumy do portowego Shepherd's Glen. Gry o ich przygodach bywały lepsze i gorsze, powracała w nich jednak refleksja na temat psychologicznych urazów, którymi „infekujemy" nowe miejsca, a co za tym idzie – ludzi.

W wydanym niedawno „Silent Hill f" rzeczona koncepcja staje się sednem zaskakującego fabularnego twistu. Żyjąca w Japonii lat 60. szesnastoletnia Hinako zostaje przymuszona do aranżowanego małżeństwa. Uwikłana w sieć indywidualnych potrzeb i społecznych nakazów, poddana wielokierunkowej presji, rozszczepia osobowość na dwoje.

> Najważniejsze miejsce w historii cyfrowego horroru jest zarówno punktem na mapie, jak i klątwą **nadproduktywnej wyobraźni.**

W krainie inspirowanej sintoistycznymi podaniami symbolicznie odcina się od dawnego życia – brutalnie uśmierca przyjaciół i toksycznego patriarchę, odcięte ramię zastępuje lisią łapą męża, na plecach wypala sobie krwawy herb nowej rodziny. W „prawdziwym" świecie posłanie z krwistoczerwonych kwiatów (lub, jak kto woli, fala krwi menstruacyjnej) zasnuwa dachy i ulice fikcyjnej Ebisugaoki, symbolizując zbrukaną niewinność. To znak oporu – Hinako niestrudzenie walczy o swoją podmiotowość.

Oczywiście z siekierką w dłoni.

Była tu dziura

Za parawanem mgły i ciszy kryje się w Silent Hill jeszcze jedna rzeczywistość. Jej nadejście zwiastuje zazwyczaj dźwięk syreny. Popękane ulice zamieniają się naraz w stalowe kratownice, w uszach dudnią industrialne dźwięki, aż po horyzont ciągnie się nieprzenikniona ciemność.

Tych, którzy wylęgarnię największych okropieństw dostrzegają w ciele, Silent Hill uraczy widokiem pulsujących żył, biomechanicznych konstrukcji, wózków inwalidzkich oraz mebli uszytych z ludzkiej skóry. Bohaterów, którzy odgradzają się od prawdy za pomocą rozmaitych mechanizmów wyparcia, miasto otoczy folią, półprzezroczystymi powłokami i rusztowaniami. Mężczyznę zanurzonego w odmętach depresji zaleje z kolei kaskadami deszczu. Każdy dostanie dokładnie to, na co zasłużył. Do wszystkich złośliwi scenarzyści wyciągną jednak pomocną dłoń. Niektórych, za introspekcję, nagrodzą nawet światełkiem na końcu tunelu.

Idea spersonalizowanego piekła nie jest w filozofii i literaturze nowa. U Dantego mieściła się w kategorii *contrapasso*, czyli kary odpowiadającej winie w jednym z dziewięciu infernalnych kręgów. U Sartre'a w „Przy drzwiach zamkniętych" powracała jako wyrafinowana metafizyczna tortura. W „Silent Hill" kojarzy się nieco z laicką narracją spod znaku „potęgi wyobraźni".

„Kiedyś była tu dziura. Już jej nie ma" – głosi napis wymazany krwią na zaklejonym starymi gazetami oknie. To kapitalny cytat, dzięki któremu zbliżamy się do emocjonalnego i filozoficznego jądra całej historii. Może chodzi o dziurę w sercu, przez którą zapadamy się w sobie i której nie sposób załatać. Albo o ulotny moment, w którym wypieranie niezaleczonych traum staje się nawykiem i taktyką przetrwania. A nawet, całkiem dosłownie, o portal do alternatywnego wymiaru, gdzie wszystkie nasze strachy mają krzywe zęby i ostre szpony.

Podobne tropy, a są ich setki, pracują na wielką opowieść o ludziach pozbawionych punktów odniesienia – samotnych, pokancerowanych, rozdartych między atawizmami a wyznaczonymi przez kulturę powinnościami. Przy okazji budują kronikę dojrzałych narracji na temat chorób psychicznych – od depresji, przez zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, po schizofrenię. Jak na ironię wysokobudżetowe gry wideo osadzone w tak mocno skodyfikowanym gatunku jak horror mogą być fantastycznym nośnikiem podobnych treści. I nie bez przyczyny jedna z najciekawszych odsłon cyklu – „Silent Hill: Shattered Memories" – jest autotematyczną fantazją, której gracz zasiada na kozetce u psychoanalityka.

Szkopuł tkwi w optyce. Obserwując akcję z trzecioosobowej perspektywy i podążając krok w krok za przymusowymi turystami z Silent Hill, jesteśmy na tyle daleko, by nie pomylić ich problemów z własnymi. Z drugiej strony trzymamy się na tyle blisko, by czuć za nich odpowiedzialność i spotykać się z nimi we wspólnych lękach i obsesjach.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM



JOANNA SIWIEC & BARTEK BARCZYK / TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE

„Pan Tadeusz", reż. Wojtek Klemm, Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Po co nam Adam

DARIUSZ KOSIŃSKI

TEATR | Czas czytania „Pana Tadeusza" po dobroci minął. W tym roku dobrał się do epopei młody polski teatr krytyczny. Z jakim skutkiem?

Trzeba przyznać: z epopeją Adama Mickiewicza jest problem. I to poważny. Tuż po jej publikacji odzywały się już głosy zdziwienia, a nawet niechęci, że narodowy poeta, uwieszczony i uprorokowany, wiele od narodu wymagający, serwuje Polakom tę przygodowo-romansową historię, w której wszystkie oczywiste przecież wady zagłuszone są mistrzowskim polonezem słów, przesłonięte porywającymi opisami przyrody i – właściwie – unieważnione.

Dyplomatyka i łowy, czyli kto to wymyślił

Najczęściej się mówi, że to wyraz tęsknoty dręczącej poetę albo narodowy mit pocieszający umęczonych wychodźców. Ale kłopotu to nie usuwa, bo jakże to – Mickiewicz demokrata i rewolucjonista, Mickiewicz, który kilka lat po opublikowaniu „Pana Tadeusza" rzuci poezję i pójdzie ją czynić mistagogią słowa w Collège de France, a potem zajmie się podnoszeniem głosu na papieża i prowadzeniem włoskiego Legionu, miałby jako mit narodowy podsunąć nam tę historyjkę o młodym paniczyku przyjeżdżającym na rodzinną wieś z zamiarem zaliczenia jak największej liczby doświadczeń seksualnych?

Mitem naszym ojczyźnianym miałaby być ta historia o wykrzywieniu szlachetnej misji pokutującego zabójcy przez prywatne zawiści i tępą chęć postawienia na swoim? Ziemią obiecaną miałby być ten zapyziały zaścianek? Różne dziwne rzeczy wymyślano, żeby to jakoś uzasadnić. Mnie na przykład w szkole uczono takiej oto wyjątkowo niemądrej tezy, że „Pan Tadeusz" jest jednym z trzech, obok eposów Homera i „Kalewali", narodowych epopei w całej światowej literaturze i dlatego dumni zeń być powinniśmy. Kto to wymyślił – wolę nie wiedzieć, ale cel jest oczywisty: „Pan Tadeusz" wielki jest i kwita.

Także poza literaturą poemat Mickiewicza długo funkcjonował głównie jako wzorcowy narodowy mit. Tak był filmowany jeszcze w erze kina niemego, na dziesięciolecie odzyskania niepodległości, taką też kanonicznie mityczną jego wersję stworzył Andrzej Wajda.

W teatrze też zdarzały się kultowe, podniosłe inscenizacje (np. Mieczysława Kotlarczyka w Teatrze Rapsodycznym), a nawet późniejsze wersje lżejsze i nieco bardziej dystansujące się wobec kanonu i mitu (jak telewizyjna Adama Hanuszkiewicza czy powtarzana kilkakrotnie na różnych scenach adaptacja sceniczna Mikołaja Grabowskiego) zachowywały do oryginału ciepły i wyrozumiały stosunek.

Zaścianek, czyli nakurwiam eposa

Ale czas łagodności i czytania po dobroci minął. W tym roku dobrał się do epopei młody polski teatr krytyczny. Na początek (20 stycznia) zdzielił ją bejsbolem i poprawił z kopyta w Teatrze Polskim w Poznaniu. Cała akcja pod niewinnym tytułem „Nowy PAN TADEUSZ, tylko że rapowy" została niedawno pokazana w Teatrze Telewizji.

Redakcja najwyraźniej zdawała sobie sprawę, jaką bombę detonuje, więc umieściła eksplozję w telewizyjnym paśmie ↦

↦ późnonocnym, a obejrzenie rejestracji na VOD uzależniła od potwierdzenia, że jest się osobą pełnoletnią. Te środki zaradcze chyba się udały, bo jakoś nie słychać pokrzykiwań o brutalnym szarganiu świętości ani nawet narzekań na „kloaczny język" w TVP – było nie było – Kultura. Efekt jest jednak jak wystrzał z kapiszona: dużo huku, trochę dymu i już.

Ostrzegam: skoro twórcy klną jak chłopcy i dziewczęta, których mijam, gdy wracają z pobliskiego liceum, to i mnie zdarzy się użyć słów mocniejszych niż zwykle. Moje pierwsze i podstawowe wrażenie było takie, że ten „Pan Tadeusz" jest robiony i grany na wkurwie.

Wkurw to w roku 2025 odczucie (przynajmniej w pewnych kręgach) tak powszechne, że byłoby hipokryzją napisać, że się go nie czuje, nie rozumie i nie podziela. Że reżyser Kamil Białaszek *alias* raper Koza podobny wkurw z powodów sobie właściwych czuje, chce go z siebie wyrzucić i używa do tego Mickiewicza, mogę zrozumieć. Tym bardziej że rapowany Mickiewicz brzmi świetnie (opowieść Gerwazego o zabójstwie Stolnika naprawdę ma w tej wersji moc), ale nie przekonuje mnie dodane do tego rapowania przedstawienie zbudowane z najbardziej stereotypowych wyobrażeń o żulach, dziwkach i dilerach.

Bitwa, czyli zderzenie dwóch fikcji

Błyskawicznie osuwa się to w łopatologię: państwo czytacie sobie Mickiewicza i zachwycacie się nim kulturalnie, ale Polska to zglajchszaltowany kraj meneli i ten wasz narodowy epos do takiej właśnie idealnie pasuje. Reżyser opowiada, że ta patorzeczywistość to jego wspomnienie z dzieciństwa spędzonego na blokowisku w Raszynie. Współczuję. Nigdy w Raszynie nie byłem, więc nie wiem, ale sam jestem z blokowiska leżącego w Polsce o wiele dalszej od Warszawy i myślę, że o ile żaden inteligent Białaszkowi za szarganie „Pana Tadeusza" nie przyłoży, to mieszkańcy blokowisk za to, jak ich pokazuje, mogą.

Gdyby takie przedstawienie powstało, powiedzmy, w roku 1997, a jego bohaterami byli wywaleni przez plan Balcerowicza na bruk pracownicy PGR-ów, miałoby to swoje ostrze i zaczepienie w rzeczywistości: „Pan Tadeusz" feat. „Arizona". Ale nawet po dokumentalnej było nie było „Arizonie" odzywały się głosy, że czarny obraz Polski po transformacji to manipulacja.

Ponieważ generalnie zakładam, że twórcy teatralni są świadomi i rozumieją, co robią, to podjąłem próbę wytłumaczenia sam sobie, dlaczego młody reżyser, o którym w środowisku mówi się jak najlepiej i który ma w tym sezonie zrobić „Hamleta" (sam się zarzeka, że bez rapu), serwuje tak irytująco nudny i myślowo płaski gniot. I pomyślałem, że może jest w tym świadoma próba zderzenia ze sobą dwóch polskich fikcji: wzniosłej i zdołowanej. Mit raju lat dziecinnych Mickiewicza Białaszek wali raperskim mitem patopolactwa, żeby zobaczyć, czy i co z tego wyniknie.

Na rejestracji przedstawienia pokazanego w ramach programu „Teatr na Open'erze" widać było jak na dłoni, że nie wynikło nic poza jeszcze jednym koncept-koncertem. A że obśmiewanie lektur obowiązkowych to od dekad jedna z podstawowych szkolnych zabaw, więc niedawni uczniowie liceów przeważający na widowni weszli w to jak w masło. Teatr wytworzył chwytliwy tytuł budzący ciekawość i ułatwiający pracę specjalistom od marketingu. Mickiewicz trafił pod strzechy i leży tam nadal, pokrywając się kolejnymi warstwami kurzu.

Gospodarstwo, czyli pan i jego chłopi

„Pana Tadeusza" w reżyserii Wojtka Klemma Teatr im. Słowackiego w Krakowie zapowiadał już w poprzednim sezonie, ale wystawił dopiero w tym, jako pierwszą premierę na dużej scenie (10 października). Przedstawienie wpisuje się w dość wyrazistą linię programową teatru, na którą składają się reinterpretacje kanonicznych polskich dzieł narodowych.

Jej wcześniejsze punkty węzłowe to „Dziady" i „Wesele" w reżyserii Mai Kleczewskiej, która w tym sezonie ma dopełnić tę trylogię inscenizacją „Wyzwolenia". Klemm oraz odpowiedzialni za opracowanie tekstu Sandra Szwarc i Tomasz Cymerman idą jednak inną drogą niż reżyserka, którą interesuje raczej diagnozowanie współczesności przy pomocy wybranych dramatów niż ich interpretacja.

Strategia twórców krakowskiego „Pana Tadeusza" wydaje się tymczasem zasadzać na uznaniu, że trzeba uważnie wziąć epopeję narodową pod włos i zobaczyć, co takiego właściwie zawiera, co nam podsuwa, jaki raj nam urządza. Wyciągają więc z poematu nieoczywiste, słabo pamiętane lub niezauważone wątki i układają je obok tych najbardziej kanonicznych, dzięki temu oświetlając je w nieoczywisty sposób. Tak jest na przykład ze scenami, w których aktorki i aktorzy mówią wspaniałe Mickiewiczowskie opisy przyrody ustawione tak, że bez wątpliwości słucha się ich jako opisów czegoś, co zostało zniszczone i bezpowrotnie stracone, a co autentycznie mogło budzić zachwyt ludzi żyjących wśród tego piękna.



Najważniejsze dla tej interpretacji i inscenizacji są tematy i osoby w „Panu Tadeuszu" albo nieobecne, albo obecne „źle", pozbawione własnego głosu i racji. Te pierwsze to chłopi. Klemm słusznie zauważa, że ktoś te wszystkie prześliczne pola musiał uprawiać, a w poemacie mającym w tytule słowo „pan" ludzie ci są nieobecni. Twórcy krakowskiego przedstawienia dodają więc postać Chłopa (Marcin Kalisz), który otwierając spektakl, a potem przyjmując w nim różne role (m.in. Niedźwiedzia, Jankiela), wplata w jego tkaninę temat doświadczenia chłopskiego.

Po wszystkich głośnych publikacjach odsłaniających ludową historię Polski za-



MICHAŁ MITORAJ / TEATR POLSKI W POZNANIU

„Nowy PAN TADEUSZ, tylko że rapowy”, reż. Kamil Białaszek, Teatr Polski w Poznaniu

Rapowany „Pan Tadeusz”?

Brzmi świetnie, ale nie przekonuje dodane do niego przedstawienie.

bieg taki wydaje się wręcz oczywisty. Groził on uproszczeniami i pójściem w dość łatwą opozycję, lecz na szczęście udało się uniknąć tego niebezpieczeństwa dzięki prowadzeniu tematu Chłopa i chłopstwa na cienkiej linii między gniewem a ironią.

Kochajmy się, czyli piekło kobiet

Postacie źle obecne w epopei to oczywiście kobiety: Telimena (Marta Konarska) i Zosia (Karolina Kamińska). Tu jest ich więcej, bo aktorki grające Asesora i Rejenta (Natalia Strzelecka i Agnieszka Judycka-Cappuccino) pojawiają się też w rolach kobiecych komentatorek i narratorek. Co ważne, wszystkie grają o wiele subtelniej niż ich męscy koledzy, którzy bardzo często sięgają po środki mocne a powtarzalne: dużo krzyczą, chodzą po scenie wielkimi krokami i co chwila machają rękami.

Kobiety prowadzą swoje role w taki sposób, że wpisują w nie od razu komentarz do postaci, stworzonych przecież przez mężczyznę. Świetnym tego przykładem jest finałowy monolog Zosi, która mówiąc słowami poematu o tym, jak generał Dąbrowski postawił ją na stole i kazał się obracać na wszystkie strony, by mężczyźni mogli sobie bez trudu pooglądać czternastoletnią dziewczynę, samym tonem, lekkim uśmiechem i precyzyjnym akcentowaniem wybranych słów przekształca sielankowy obrazek w scenę budzącą grozę.

Szczęśliwie krakowski „Pan Tadeusz” nie jest przedstawieniem tak oczywistym, jak można się było obawiać po zapowiedziach. Poemat Mickiewicza czyta się tu nie tylko krytycznie, ale także ze zrozumieniem, a chwilami nawet z zachwytem. Pozwala to odzyskać sens dramatów tych ludzi, dotkliwość ich historii – zbyt dobrze już znanych, więc bardzo trudnych do przeczytania świeżym okiem.

Tak jest z kobietami, zwłaszcza z Zosią, która z sielankowego dziewczęcia bez głosu przemieniła się w kobietę świadomą tego, co męski świat jej robi. Tak jest też z Księdzem Robakiem (Mateusz Bieryt), który pojawia się jako postać wręcz groteskowa, śpiewająca piosenkę Misia Uszatka, ale przedśmiertny monolog Jacka Soplicy zamienia w porywające i przejmujące opowiadanie o miłości i krzywdzie. Jest też w tym przedstawieniu sporo inteligentnych i trafionych pomysłów reżyserskich – polecam zwłaszcza uwadze sposób rozegrania opisu gry Jankiela (nie zdradzę go, by nie psuć przyjemności tym, którzy do teatru dopiero się wybiorą).

Objaśnienia poety, czyli wyguglaj to

Pewien problem, jaki to przedstawienie może mieć w spotkaniu z publicznością, to naruszenie świętej litery tekstu i brzmienia deklamacji, przy jednoczesnym powstrzymywaniu się przed jego ustawieniem sobie do bicia i waleniem na odlew. Taka pozycja może sprawić, że nie będzie zbyt wiele osób, które ze spektaklem Klemma zechcą i będą mogły rozmawiać.

Żeby dać się ponieść raperskiej energii spektaklu Białaszka, nie trzeba wcale Mickiewicza czytać, wystarczy to, co „tak ogólnie wiadomo”. Żeby zobaczyć, co robią Klemm i jego ekipa, trzeba jednak mieć jakąś pamięć tekstu i kontekstu.

Boję się, że czytelnicy znający dobrze „Pana Tadeusza” mogą poczuć się obrażeni bezceremonialnością twórców (niesłusznie!), dla tych nieobrażonych zaś próg wymaganej wiedzy może okazać się za wysoki. Okazuje się bowiem, że nawet z tak – wydawałoby się – oczywistym przywołaniem jak umieszczone w finale pierwszej części fragmenty „Latarnika” może być problem. Widzowie siedzący za mną dopiero w przerwie wyguglowali zręcznie pytanie do AI i bardzo się ucieszyli, gdy po przeczytaniu streszczenia noweli Sienkiewicza zrozumieli, co właściwie oglądali.

Być może tu jest pies pogrzebany wraz z całą tajemnicą epopei: zamiast czytania narodowego czas, by może Adamowi (a także Juliuszowi i innym) urządzić seans czytania ze zrozumieniem. Teatr nie wydaje się do tego najgorszym miejscem.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Bez uproszczeń



ANITA PIOTROWSKA

KINO | W co grają ludzie ze strachu przed odrzuceniem? Jakie deficyty próbują zaspokajać w związkach? Oto dwa filmy ciekawie odpowiadające na te pytania.

W kontrze do halloweenowego wysypu horrorów porozmawiajmy o miłości – bądź o jej braku. Tak się składa, że na ten temat rozgadali się ostatnio Norwegowie i Norweżki. Z lekkim poślizgiem na ekrany naszych kin wejdą za chwilę „Być kochaną" Lilji Ingolfsdottir i „Miłość" Daga Johana Haugeruda.

Same tytuły mogą zniechęcać domniemanym banałem, choć nic z tych rzeczy – oba mniej lub bardziej uciekają od poradnikowej gadki w dojrzałe i czasem bardzo zaskakujące rejony. A w kinowej poczekalni mamy dodatkowo „Sny o miłości" tegoż Haugeruda, o których napiszę w osobnym tekście, bo tam dyskurs miłosny jeszcze bardziej się komplikuje, wchodząc w niebezpieczne związki z literaturą.

Oczywiście, to kino wyrasta na szczególnym gruncie: dobrobytu, bezpieczeństwa socjalnego, zaufania społecznego, równościowej polityki i rozwiniętej „kultury terapeutycznej". Może dlatego twórcy tych filmów mogą do woli drążyć zakamarki ludzkiej intymności i nawet gdy bohaterce „Być kochaną" system płatniczy odrzuca kartę kredytową, wątek ów zaraz się urywa jako mało istotny.

Reżyserka skupia się na dynamice związku i patchworkowej rodziny w czasach płynnej nowoczesności, a my dostajemy jeden z bardziej wnikliwych filmów o tym, co można prześlepić walcząc, skądinąd słusznie, o własne potrzeby. Tak jak Maria (Helga Guren), czyli matka czwórki dzieci, która zaczyna dostrzegać, że kocha i poświęca się za bardzo – oraz w gruncie rzeczy na próżno. W nowym, rzekomo lepszym związku rychło przemienia się w umęczoną pogromczynię domowych chaosów czy niestrudzoną westalkę gasnącego małżeństwa i oczywiście kibicujemy jej w emancypacji. Ale Ingolfsdottir przeskakuje ten poziom kina psychologiczno-społecznego i odkrywa stopniowo jego podszewkę.

Tka ją gęsto, najpierw z romantycznych fantazji i ich porażek, by już za chwilę zrewidować modne dzisiaj pojęcia, jak choćby „brak własnej przestrzeni". Kiedy Maria wyprowadza się z domu, film nie sprowadza tej decyzji do feministycznego buntu – idzie o krok dalej. Niby mówi o wysokich kosztach kobiecej ucieczki, o rozpaczliwych próbach ratowania przez nią związku i o cierpieniu z powodu odrzucenia, lecz w gruncie rzeczy to wołanie „na pomoc ginącej miłości" raczej coś powoli otwiera niż diagnozuje.

W co grają ludzie ze strachu przed odrzuceniem? Jakie swoje deficyty próbują zaspokajać w związkach? Dlaczego manipulacje, dążenia do równości czy moralnej wyższości okazują się ślepą uliczką, a dawanie może być jednocześnie próbą zawłaszczenia? I wreszcie najważniejsze pytanie, „jak być kochaną", na które norweska debiutantka odpowiada trochę zbyt dosłownie, w duchu „ukochaj siebie", aczkolwiek dochodzi do tej odpowiedzi ciekawymi drogami.

Są nimi niezwykle gęste rozmowy – z trzeźwo myślącą przyjaciółką, zbuntowaną córką, zdystansowaną matką (to najmocniejsza scena) czy uważną psychoterapeutką. Bywają ryzykowne, podszyte różnymi oczekiwaniami, jednakże każda z tych rozmów coś istotnego wnosi i odsłania, prowadząc do finałowego oczyszczenia.

Z takich ważnych, choć pozornie lekkich rozmów składa się też film „Miłość" i udaje się mu wznieść na dużo wyższy poziom niż po prostu wiwisekcja miłości czy niemiłości. Fantastycznie Haugerud meandruje między wątkami heteroseksualnej lekarki w dojrzałym wieku i młodego homoseksualnego pielęgniarza, którzy stykają się ze sobą w pracy na oddziale urologicznym, ale spotykają się naprawdę dopiero podczas nocnej jazdy promem.

Marianne (Andrea Bræin Hovig) wraca z zapoznawczej randki, podczas gdy Tor (Tayo Cittadella Jacobsen) zalicza właśnie kolejną gejowską „pikietę". Chociaż różni ich wszystko, a już na pewno podejście do seksu i bliskości, to przypadkowe spotkanie i bezinteresowna wymiana skrywanych myśli coś odmieniają w życiu każdego z nich.

Tyle że w przeciwieństwie do tego banalnego zdania nic w tym filmie nie szeleści rozprawką o pułapkach miłości w czasach Tindera i Grindra. Wnikliwie napisany i subtelnie zagrany scenariusz Haugeruda (zresztą cenionego powieściopisarza) opowiada o dzisiejszych lękach przed angażowaniem się, zostawiając szeroką przestrzeń dla niedopowiedzeń i domysłów.



MATERIAŁY PRASOWE

MIŁOŚĆ
(„Kjærlighet”) – reż. Dag Johan Haugerud. Prod. Norwegia 2024. Dystryb. Aurora Films.

BYĆ KOCHANĄ
(„Elskling”) – reż. Lilja Ingolfsdottir. Prod. Norwegia 2024. Dystryb. Gutek Film.

Dag Johan Haugerud to nagradzany norweski pisarz i reżyser, znany z takich filmów, jak „Nasze dzieci” (2019) czy z trylogii „Seks”, „Miłość” i „Sny o miłości” (2024). Za ten ostatni otrzymał m.in. Złotego Niedźwiedzia na Berlinale.

Lilja Ingolfsdottir jest norweską reżyserką, której debiut „Być kochaną” otrzymał wiele nagród na ubiegłorocznym festiwalu w Karlowych Warach.

Powyżej: kadr za filmu „Być kochaną”.

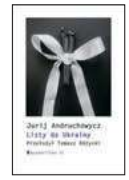
Mało kto potrafi dzisiaj w kinie tak pokazywać – i przegadywać – międzyludzką intymność, toteż nic dziwnego, że chętnie porównuje się „Miłość” do kina Érica Rohmera. Na dodatek norweski twórca umieszcza kwestie erotyczne w dużo szerszych kontekstach, na przykład choroby i niedołężności, etyki medycznej czy zwykłej ludzkiej empatii. A słowa Marianne, że „ciało jest polem walki”, nabiera w filmie coraz to nowych znaczeń.

Przypomnijmy, że tłem dla tych rozważań jest nowoczesne społeczeństwo, które głosi swobodę seksualną i popiera wszelkie postępowe inicjatywy, jakkolwiek Haugerud stawia swoich bohaterów w sytuacjach, kiedy są zawstydzeni, bezradni i bezbronni. Nad wszystkim zaś unosi się sierpniowy oddech miasta. Stanowi bowiem „Miłość” prawdziwą odę do Oslo – jego widoków, promów, doków, pomników, i staje się ono w filmie żywym organizmem. Haugerud nie jest odosobniony w tej melancholijnej miłości do swojego miejsca – patrz Joachima Triera „Oslo, 31 sierpnia” czy „Najgorszy człowiek na świecie”.

Dlaczegóż to Norwegom, Haugerudowi zwłaszcza, tak dobrze wychodzi opowiadanie o emocjonalno-erotycznych zawiłościach i ponowoczesnych stadłach? Zostawiając fachowcom kulturoznawcze rozkminy, trudno nie zauważyć, że prócz ucha do dialogów mają tamtejsi filmowcy wyjątkowe wyczulenie na paradoksy i niuanse dzisiejszych związków. Na rozdarcie między potrzebą niezależności i bliskości, pomiędzy samoświadomością i kruchością. Bo nie dość, że obciążone są toksycznymi wzorcami z przeszłości, to jeszcze formatowane przez dzisiejszą technologię i konsumpcję.

„Być kochaną” napisane zostało na podstawie osobistych przeżyć reżyserki; scenariusz „Miłości” powstawał z luźnej inspiracji „Miastem zwanym samotnością” Olivii Laing i z myślą o głównej aktorce. Być może trzeba mieć po prostu tę „przestrzeń”: czas, środki, nie mówiąc o filmowym nasłuchu i życiowej wrażliwości, żeby opowiadać o tym wszystkim w taki sposób. Na spokojnie, bez uproszczeń, wystrzegając się fałszywych tonów. ©

Lektor:
Głos wolny



▪ *Jurij Andruchowycz*
LISTY DO UKRAINY *(wydanie dwujęzyczne)*
Przełożył Tomasz Różycki. Opieka redakcyjna Natalia Belczenko. Wydawnictwo a5, Kraków 2025, ss. 54.
Biblioteka Poetycka tom 127.

Urodzony w 1960 r. w Stanisławowie / Iwanofrankiwsku prozaik, poeta, eseista, tłumacz i muzyk był pierwszym pisarzem wolnej już Ukrainy, który zdobył u nas prawdziwą popularność. Zasługa to konsekwencji wydawcy, czyli Czarnego – a i przyjaźni Andruchowycza z Andrzejem Stasiukiem oraz ich wspólnej książki „Moja Europa”. Pamiętam, jak Stanisław Lem zachwycił się „Moscoviadą”. Pamiętam też, zachowując proporcje, własny zachwyt „Dwunastoma kręgami” – powieścią, w której Andruchowycz dokonał brawurowego wskrzeszenia Bohdana Ihora Antonycza (1909-1937), znakomitego poety pochodzącego z Łemkowszczyzny, który całe swoje dojrzałe – bardzo krótkie – życie spędził w II Rzeczypospolitej.

Wspomniałem „Moscoviadę” – „Listy...” są z Moskwą ściśle związane. W stolicy upadającego właśnie imperium autor spędził lata 1989-90 i cykl dwudziestu wierszy czytać można jak wyzwanie rzucone tamtej rzeczywistości i wielkoruskiej pysze, jak nieskrępowany głos w stłamszonym, szarym i okrutnym świecie. Choć napisane w czasie pokoju, brzmią teraz, podczas wojny, szczególnie mocno, trochę proroczo, ale też niosą nadzieję swoją energią i poczuciem wewnętrznej siły – toteż nie dziwię się, że czytane są i w schronach przeciwbombowych. Nawet jeśli znacznie skromniejszych niż moskiewskie metro, które przecież jest jednym wielkim schronem, w dodatku – w wizji poety – „w bliskim sąsiedztwie piekła”.

Tłumacz, wybitny pisarz, który obecną walkę Ukraińców stara się wspierać, nazywa te wiersze „iskrzącymi liryzmem, satyrą społeczną i polityczną przenikliwością łobuzerskimi balladami”. Nasycone grami językowymi i rozmaitymi odesłaniami („uczą, że (...) trzeba epileptyków czytać”), stanowią – pisze Różycki – „gest twórczej wolności” i „świadectwo miłości do rodzinnego kraju”.
A przy tym przynoszą trzeźwą diagnozę stanu rosyjskiego ducha.

„Co dzień przechodzę tu obok katowni / a oni mówią do mnie, że Rosja – to Mesjasz... // Uczą, że wolność gorsza niż choroba, / coś jak syfilis, albo i czerwonka. / Cała reszta w zasadzie jest ozdobą / celi, którą z zapałem sam sporządza // sobie naród, i siedzi w niej zawzięty / jak sportowiec, co dietę trzymać musi. / Czapki zdjęto, głowy ścięto – więc święto! / To w wariatkowie wariatów sen zdusił”. A nadzieja? Cóż, „może wnet skona Herod”... ©℗



ALICJA RZEPA / FESTIWAL CONRADA

Yan Ge na Festiwalu Conrada. Kraków, 23 października 2025 r.

Przetrwanie to za mało

MICHAŁ SOWIŃSKI

LITERATURA | W niedzielę zakończyła się w Krakowie siedemnasta edycja Festiwalu Conrada. Za nami kilkadziesiąt wydarzeń i spotkania z ponad setką gości z kraju i ze świata.

Hasło tegorocznej edycji – „Nadzieja radykalna" – nie było pocieszeniem. Raczej pytaniem, co zrobić z życiem po końcu: gdy coś się skończyło, ale świat nadal trwa i trzeba w nim na nowo znaleźć sens. Ideę tę potraktowaliśmy jako punkt wyjścia do rozmowy o tym, jak przetrwać – i jak żyć dalej.

O nadziei mówiono tu na wiele sposobów. Emily St. John Mandel powtarzała, że „przetrwanie to za mało", bo prawdziwym wyzwaniem po katastrofie jest zachować człowieczeństwo. Noblista Abdulrazak Gurnah mówił, że nie można wrócić „do domu", bo dawnego domu już nie ma – trzeba go wymyślić od nowa. Auður Ava Ólafsdóttir przekonywała, że nadzieja to czynność, codzienna praktyka: naprawianie, dbanie, troska o rzeczy, które łatwo pominąć. To nie łatwy optymizm, lecz wiara, że sens wciąż jest możliwy – nawet jeśli jeszcze nie umiemy go opisać.

Dla jednych była to nadzieja po katastrofie – dla innych po rozpadzie języka. Yan Ge mówiła o utracie mowy ojczystej i pisaniu po angielsku jako formie wygnania. Norman Erikson Pasaribu opowiadał o queerowej codzienności w kraju, gdzie nawet codzienne gesty wymagają wielkiej odwagi. Z kolei Kamel Daoud i Carole Martinez mówili o pamięci i o ciele, które odzyskuje swój głos po latach milczenia. Każde z tych spotkań było próbą odpowiedzi na pytanie, jak mówić, kiedy język zawodzi.

Polscy autorzy również mówili o nadziei – Anna Ciarkowska, Zośka Papużanka i Katarzyna Sobczuk rozmawiały o śmierci jako części życia i o odwadze, jaką daje rozmowa z bliskimi o odchodzeniu. Weronika Gogola, Ján Púček i Ziemowit Szczerek szukali ducha Europy Środkowej w „reklamówce pełnej chaosu" – gdzie znaleźć można mnóstwo absurdów, ale też witalnych sił. Colm Tóibín opowiadał o Irlandii, rozdwojonym życiu emigrantów, ale też o czułym dystansie, bez którego trudno dostrzec istotne szczegóły rzeczywistości. Nawet w tych opowieściach o utracie



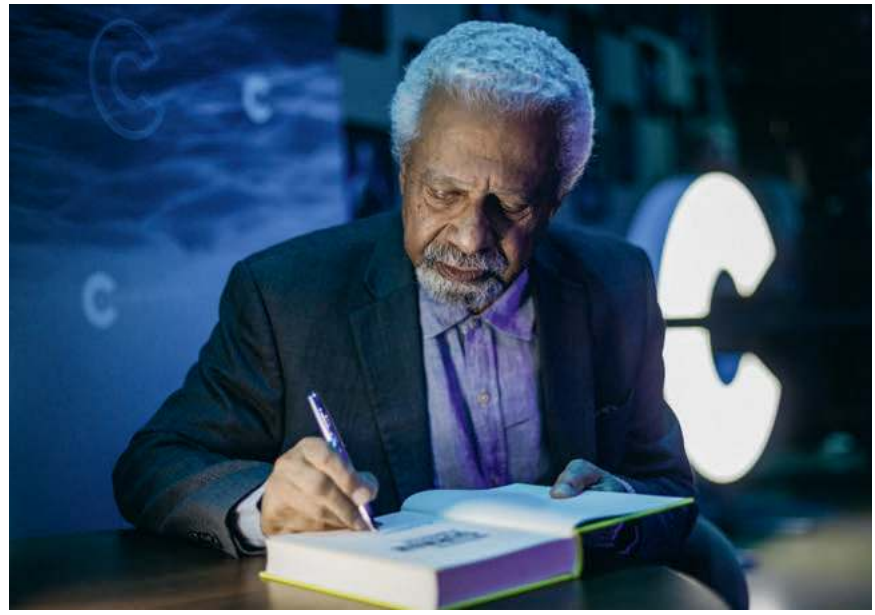
KATARZYNA KUKIEŁKA / FESTIWAL CONRADA

Marta Hermanowicz, autorka powieści „Koniec" (wydawnictwo ArtRage), z Nagrodą Conrada za najlepszy debiut prozatorski ubiegłego roku. Kraków, 26 października 2025 r.

była nuta lekkości, świadomość, że nadzieja nie wymaga patosu.

Zwieńczeniem Festiwalu była gala Nagrody Conrada, przyznawanej za najlepszy literacki debiut roku. Tym razem zwyciężyła Marta Hermanowicz za powieść „Koniec" (wydawnictwo ArtRage) – opowieść o dziedziczeniu traum, o ciałach i językach, które pamiętają więcej, niż by chciały. Jury i czytelnicy docenili jej odwagę językową i emocjonalną autentyczność. Bohaterka książki, wnuczka sybiraczki, dorasta w domu, gdzie historia wciąż nie daje spokoju – jakby przeszłość była chorobą przekazywaną z pokolenia na pokolenie. „Koniec" to początek nowego języka w polskiej literaturze – mocnego i bezkompromisowego.

Siedemnasta edycja Festiwalu Conrada dobiegła końca, ale rozmowa o literaturze i nadziei trwa dalej. Dziękujemy wszystkim, którzy byli z nami przez ten tydzień – na spotkaniach, w kuluarach i w sieci. Do zobaczenia za rok, na kolejnej odsłonie Festiwalu. ©℗



ALICJA RZEPA / FESTIWAL CONRADA

Noblista Abdulrazak Gurnah na Festiwalu Conrada. Kraków, 25 października 2025 r.



ALICJA RZEPA / FESTIWAL CONRADA

Olga Drenda i Emily St. John Mandel na Festiwalu Conrada. Kraków, 25 października 2025 r.



ALICJA RZEPA / FESTIWAL CONRADA

Festiwal Conrada, Kraków, 25 października 2025 r.

PAWEŁ

Bravo:
Nasycenie i kwasy



Dziesięć procent energii w waszym jadłospisie może pochodzić z nasyconych kwasów tłuszczowych, nie więcej, jeśli serce leży wam na sercu. To znaczy jeśli chcecie w najprostszy z możliwych sposobów zapobiegać degeneracji i osłabieniu tego organu oraz sieci naczyń, które tworzą wraz z nim to coś, co nawet medyczny profan intuicyjnie rozumie jako obieg życia w ciele. A w każdym razie taki obowiązuje dotychczas aksjomat, wśród różnych zmiennych mód i trendów dietetyki osobliwie trwały. Co najmniej od ostatniej ćwierci zeszłego stulecia kolejne pokolenia uczyły się w szkołach, z reklam margaryny i z ulotek suplementów, że nasycenie to coś podejrzanego, czego należy unikać.

Zupełnie zgodnie z duchem epoki – można by zauważyć na marginesie, gdyby ktoś chciał łapać komunały za słówka. Nasycenie, jak do przesytu powtarzaliśmy, to naczelna nieprzyzwoitość w świecie, który może w wymiarze fizycznym jest kwantowy, niedookreślony, ale w wymiarze ludzkim ma jeden wyrazisty wektor z grotem ostrym niczym tarka do wasabi. *Up or out* to równanie wyznaczające jego bieg, w zawsze skłonnej do celnych skrótów angielszczyźnie. Po naszemu byłoby to mniej więcej „wzwyż albo precz". Człek nasycony przestaje się wspinać, uczucie pełni to z punktu widzenia ekonomisty groźny letarg, wstęp do stagnacji. Dlatego dopuszcza się je tylko w ściśle wyznaczonych ramach warsztatów z samorozwoju i wellness, podczas których obiecują nam chwilowe zaleczenie ran duchowych odniesionych wskutek walki o pieniądze – konieczne, by za te kosztowne kąpiele w nirwanie zapłacić. Wdech, wydech, z dłonią na sercu posłuchaj ciszy, ale budzik miej na szóstą, słońce powitasz w korku.

Wróćmy jednak do serca pojętego ściśle jako mięsień, bo nie zaglądacie wszak tu do kuchni, żeby nawąchać się kadzidełek. Nie ma żadnej filozofii w nasyceniu kwasów, to tylko wyrażenie opisujące wiązania węglowe w ich cząsteczkach, a rozumieć z tego wszystkiego trzeba tylko tyle, że występują, jak wszyscy wiemy na pamięć, przede wszystkim w żywności pochodzenia zwierzęcego, a zwłaszcza mięsie i tłuszczach „mięsnych", czyli smalcu i łoju oraz we wszelkim dobru, jakie człowiek potrafi pozyskać z mleka. Czarną listę (choć przecież to na-biał...) zamykają jajka. To wszystko rzeczy bardzo kaloryczne, więc te dziesięć procent energii oznacza, że jeść ich należy naprawdę mało: kotlet w święta państwowe, jajecznica w dni parzyste, ser tylko, gdy zabraknie tofu, a smalec już wyłącznie na łożu śmierci, gdy można wreszcie przestać słuchać lekarzy.



EIGHTSTOCK / SHUTTERSTOCK

Eksperci i urzędnicy odpowiedzialni za politykę zdrowotną w USA, tworząc kolejne edycje federalnych wytycznych żywieniowych, narzucili światu ten procentowy konsensus dietetyczny równie skutecznie, jak ich koledzy od zaciskania pasa ekonomicznego wmówili światu tzw. konsensus waszyngtoński, czyli zbiór świętych prawd neoliberalizmu i rygorystycznej polityki fiskalnej. Okazało się, że łatwiej się obcina wydatki państwa na socjal niż gospodarstw domowych na kiełbasę. Spożycie „złych" tłuszczów wcale nie chciało bardzo spadać. A teraz na dokładkę departament zdrowia pod wodzą stałego bohatera naszej rubryki, Roberta F. Kennedy'ego, zamierza zdjąć 10-procentowy limit z najbliższej edycji wytycznych żywieniowych.

Ameryka jest wolnym krajem (podobno), można strzelać i jeść, jak się podoba, ale te wytyczne mają kapitalne znaczenie społeczne i gospodarcze, od nich bowiem zależy skład szkolnych obiadów oraz racji wojskowych, a to jest wielki biznes. Korporacje, które mają z Kennedym utrapienie z racji jego krucjaty przeciwko słodzonym napojom i sztucznym barwnikom, może teraz odetchną – zwłaszcza że ważnym źródłem nasyconych kwasów jest olej palmowy, jakże istotny w produkcji wysokoprzetworzonych śmieci w sreberku.

Wśród dietetyków, oprócz rytualnego oburzenia na trumpizm, da się zauważyć coś w rodzaju rachunku sumienia. Ten i ów, także utytułowany, przebąkuje, iż faktycznie kwasy nasycone nie są aż tak szkodliwe, jak się od lat mówiło, a w każdym razie zbyt łatwo zwala się na nie wszystkie winy.



I że trzeba brać pod uwagę szerszy kontekst nawyków żywieniowych oraz dostępności produktów, że procenty i straszenie nie wystarczą. Kiedy się czegoś chce zakazać, to koniecznie też trzeba zadbać o to, co zostawia się ludziom w zamian. W przypadku tłuszczów mówiono: używajcie roślinnych, oliwa to zielone złoto w płynie, jedzcie więcej warzyw. Ale populacje poddane presji dietetycznej poszły po linii najmniejszego oporu: pobierają jeszcze większą część energii niż wcześniej z węglowodanów. Cholesterol od tego nie rośnie, ale wątroba wysiada, kliniki w miejsce sercowców zapełniły się cukrzykami.

Kennedy jako minister zdrowia robi rzeczy ewidentnie szkodliwe, np. wokół szczepień, i dopuszcza głosy ciemnoty i zabobonu. Bywa niekonsekwentny, zapowiada walkę o zdrowie ludzi przeciw korporacjom, a jednocześnie niszczy instytucje, które by się do tego przydały. Z drugiej strony, potrafi raz po raz w swojej bezceremonialnej prostocie wskazać łatwizny i mielizny, na jakie leniwie godził się wcześniejszy ład, zwany liberalnym (w przypadku jedzenia ten termin brzmi dziwacznie, ale czyż nie widzieliśmy prób wrabiania mięsa i masła w „prawicowość”?). Jest nam go żal, ale żal też, że dopiero pod naciskiem barbarzyńców orientujemy się w różnychlukach i zakłamaniach tego ładu.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Spaghetti à la Ungaretti

Masło czy mięso wypadły z diety wielu współczesnych z powodów raczej etycznych niż zdrowotnych, i mam do tego wielki szacunek, chociaż czasem chciałbym móc z wami, drodzy roślinni przyjaciele, móc porozmawiać o tych sprawach na większym luzie. To nie jest tak, że milcząca większość, która dalej je produkty zwierzęce, składa się z niewrażliwych troglodytów. Są wśród nas nawet poeci! Giuseppe Ungaretti pisał skupione, medytacyjne wiersze, w pewnej liczbie przełożone na polski, ale któregoś razu, na prośbę czasopisma „Cucina Italiana”, dał przepis na makaron, którego smak w najwyższym stopniu zależy od jakości masła.

SKŁADNIKI:
320 g spaghetti 100 g masła 75 g tartego parmezanu 50 g suchego miękiszu bułki ▪ gałka muszkatołowa ▪ nasiona kminu rzymskiego

Kruszymy miękisz bułki (lepiej go użyć zamiast gotowej bułki tartej, ale i ona się nada), prażymy lekko na suchej patelni, aż ładnie się zrumieni. Gotujemy spaghetti. Równolegle topimy masło na dużej patelni, a kiedy makaron już będzie miał za sobą parę minut gotowania, dolewamy do masła kilka łyżek wody spod gotowania. Mieszamy, dosypujemy stopniowo ser i szczyptę gałki oraz nasion kminu, ciągle mieszamy, aż powstanie gładki sosik. Przerzucamy ugotowany makaron do sosu, mieszamy, podgrzewamy chwilę, gdyby wszystko okazało się za rzadkie. Posypujemy uprażoną bułką. ©℗



NOLONELY / ADOBE STOCK

PSYCHE

BYĆ ZMĘCZONYM TO NIE WSTYD



MARTA MŁYŃSKA, PSYCHOEDUKATORKA:

Troska o siebie nie jest słabością, ale formą odwagi.
Świat potrzebuje nas żywych,
a nie półprzytomnych z przepracowania.

JACEK TARAN: Jest piątek po siedemnastej, ja jeszcze w pracy. Czuję się trochę zmęczony. To normalne?

MARTA MŁYŃSKA: Ważne, żeby zauważyć i rozpoznać swoje samopoczucie i stan emocjonalny. To jest *clou*. Żyjemy w świecie przebodźcowanym, jesteśmy przestymulowani. Trudno, żebyśmy po piątym dniu pracy czuli się świeży i lekcy. Zmęczenie jest stanem jak najbardziej normalnym. Pytanie tylko, czy to nie będzie ewoluować? Czy ze zmęczenia zrobi się przemęczenie, a potem wyczerpanie? Dlatego warto się sobie przyglądać – bez obsesji, bez kompulsji, ale zdrowo. To nie ma nic wspólnego z egoizmem, raczej z troską o siebie. Bo chodzi o to, na ile zmęczenie dezorganizuje twoje życie. Czy to zwykłe, piątkowe zmęczenie, czy już permanentny stan przeciążenia prowadzący do wypalenia zawodowego.

Zatem jak zauważyć, że to nie jest zwykłe zmęczenie?

Żeby rozpoznać, że jest stan, o którym mówimy „wypalenie zawodowe", istotne jest zrozumienie słowa-klucza: zmiana. To jest istota każdego kryzysu psychicznego. Jeśli wcześniej byłam osobą pogodną, wesołą, towarzyską, a od jakiegoś czasu doświadczam spadku nastroju, motywacji, wkrada się apatia – to jest to sygnał ostrzegawczy. Trzeba postawić sobie pytanie: jak długo ten stan trwa, jaka jest jego intensywność i jaki ma wpływ na moje życie? To bardzo ważne, żeby zauważyć, że np. przez drugi czy trzeci tydzień cierpię na migreny, choć wcześniej nie miałam w życiu tylu napięć, bólu czy smutku. Mogą też się pojawić symptomy fizyczne – mdłości, problemy ze snem czy emocjonalne: drażliwość, szybka irytacja, tzw. krótki lont, cynizm, sarkazm.

Dla wypalenia zawodowego charakterystyczna jest utrata poczucia sensu. To, co kiedyś sprawiało satysfakcję, nagle przestaje. Kiedyś praca dawała poczucie sensu, a teraz już absolutnie nie. To właśnie zmiany w obszarach emocjonalnym, poznawczym i relacyjnym stanowią niepokojące sygnały.

Brzmi to jak objawy depresji.

Osoba wypalona zachowuje się i mówi podobnie, jak ta z depresją. Ten stan może się szybko przerodzić w epizod depresyjny. W jednej z klasyfikacji mówi się o stopniowaniu: zmęczenie – wypalenie – depresja. Ale najpopularniejszy jest model profesor Christiny Maslach, na który powołuje się też WHO. Maslach wskazuje trzy filary wypalenia: wyczerpanie emocjonalne – brak sił, spadek nastroju, apatia, irytacja; cynizm i sarkazm – obronny dystans wobec ludzi; oraz obniżenie poczucia wagi osobistych dokonań.

Można być wypalonym zawodowo, ale szczęśliwym w domu?

Niestety, nie da się tego oddzielić jak marynarki od wieszaka. Owszem, wypalenie zawodowe dotyczy pracy, ale promieniuje na inne sfery. Nadal mogę czerpać radość z biegania po lesie, relacji, duchowości – ale idę przez życie bardziej drażliwa, konfliktowa, zmęczona. Przy depresji wszystko ciemnieje, wszystkie obszary życia stają się dramatyczne. Przy wypaleniu cierpi głównie sfera zawodowa, ale wpływa na resztę.

Rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady?

O, uwielbiam tę „dobrą radę"... Jasne – jeśli jesteś zmęczony, to świetny pomysł. Odpocznij, nabierz dystansu, wyśpij się. Ale przy wypaleniu warto zapytać: co mnie do niego doprowadziło? Jeśli pracowałeś w przemocowym środowisku – z mobbingiem, przy braku wsparcia – to zmiana pracy może być zbawienna. To jak przesadzenie rośliny do żyznej gleby. Ale jeśli to kwestia naszych własnych mechanizmów – perfekcjonizmu, braku umiejętności delegowania, zatracania się w pracy, niestawiania granic – to gdziekolwiek pojedziemy, zabieramy to ze sobą. Wtedy Bieszczady czy Malediwy nie pomogą. Potrzebny jest głębszy proces – refleksja, terapia, leczenie.

Mówienie w pracy, że czegoś nie zrobisz, może być ryzykowne. Możesz usłyszeć, że wymigujesz się od roboty i nie można na tobie polegać.

Oczywiście, że możesz to usłyszeć i będzie to trudne. Ale możesz też próbować zaakceptować sytuację albo z niej wyjść – i to też będzie trudne. Trzeba wybrać swoje „trudne". Tylko tak możemy zbudować swoją odporność psychiczną. Nie możemy funkcjonować jak roboty, w trybie permanentnego obciążenia, na kofeinie, bez snu i granic. A często takie są właśnie oczekiwania wobec nas – ze strony szefów, kultury pracy, czasem nas samych. Oddychanie, odpoczynek, jedzenie, satysfakcjonujące relacje – to nie luksusy. To warunek zdrowia psychicznego. Nie chodzi o to, żeby się nie męczyć – tylko żeby zauważyć, kiedy i dlaczego jesteśmy wyczerpani. To może być początek troski o siebie, a nie słabości.

Nie dać się zajeżdżać?

Nie dać sobą pomiatać. A przy tym trzeba też czasami się odważyć poprosić o pomoc. To naprawdę duży temat. Często nie doszacowujemy zasobów. I nie mówię nawet o własnych zasobach, ale też o ludziach wokół, którzy po prostu mogą być nam życzliwi, tyle że tego nie widzimy lub nie chcemy zobaczyć. Na szczęście coraz więcej się o tym mówi. Coraz częściej też piętnowane są postawy, że rzekomo „chłopaki nie płaczą" albo że „dziewczynki się nie złoszczą i są grzeczne". Pokolenie zetek, a alfy to już w ogóle nie wierzą w te mity. My jesteśmy pokoleniem, które zainfekowano tym modelem. Nie obwiniam nikogo, bo naszych rodziców też tak wychowywano, ale dziś zauważenie, jakie to było niesprzyjające, stanowi duży krok w stronę budowania dobrostanu psychicznego całej generacji.

W nowej ekranizacji „Akademii Pana Kleksa" piosenkę „Leń" śpiewa Czesław Mozil. Teledysk pokazuje człowieka bezsilnego, który nie jest w stanie wyłączyć telewizora i który właściwie prosi o pomoc.

W psychologii pojęcie lenistwa w ogóle nie występuje. To może być bezradność, bezsilność, obniżone samopoczucie fizyczne, anemia, insulinooporność, choroba – po prostu brak siły wynikający z różnych dolegliwości czy chorób. Łatka lenia to katastrofa. Nie widzimy człowieka i jego zmagań, tylko oceniamy: nie działa, więc pewnie mu się nie chce. To jest stygmatyzowanie drugiego człowieka. A nigdy nie wiemy, z czym on się zmaga.

O wypaleniu mówimy nie tylko w kontekście pracy, ale też wolontariatu.

↦

OLGA DANYLENKO // SHUTTERSTOCK



ARCHIWUM PRYWATNE

MARTA MŁYŃSKA jest edukatorką i trenerką, prowadzi warsztaty, kształci się w kierunku zawodu psychologa. Autorka książki „Wypalona. Jak poradzić sobie z wypaleniem zawodowym i całkiem nie zgasnąć".

↦ To pierwszy rząd grupy ryzyka. Zaangażowanie, akcyjność, potrzeba bycia potrzebnym światu, ciągle w pogotowiu, bo świat płonie i zawsze są potrzeby. Do ciągłego zaangażowania dochodzą wyrzuty sumienia – że nie daję rady, że mam za dobrze, że piję latte za czterdzieści złotych, gdy gdzieś dzieją się tragedie. Rodzi się poczucie winy, „bo mam lepiej".

Jak zatem, pomagając innym, zachować równowagę?

Warto się zastanowić: jakie mam intencje? Nic w tym złego, gdy przy okazji pomagania robię też trochę dobrze sobie – to normalne. Ale trzeba bardzo uważać na to, co stoi za moimi intencjami. Jedną z najbardziej ryzykownych postaw jest nadmierne oczekiwanie wdzięczności, bo kiedy jej nie dostaję, rodzi się rozżalenie i frustracja. „Czemu te dzieci z domu dziecka nie biją braw, gdy przynoszę im pluszowe miśki czy klocki lego?".

To widać szerzej – często słyszymy, że „tyle pomagaliśmy Ukraińcom, a oni nie są wdzięczni".

Pomoc powinna być udzielana bez roszczeń. Pomagam z serca. Wiem, że mam lepiej, ale potrzebuję się też tym podzielić. Przy wolontariacie trzeba uważnie patrzeć na swoje zasoby. Pamiętać, że pomaganie to też zobaczenie, w jakim jestem miejscu, co naprawdę mogę dać. Często się przypomina, że pomaganie to maraton, a nie sprint. Ja wolę powiedzieć, że to sztafeta, w której oddajesz pałeczkę: teraz ty odpoczniesz, a dalej pomaga następna osoba. Trzeba zobaczyć siebie jako część łańcucha. Nie chodzi przecież o własną chwałę, lecz o to, żeby realnie komuś pomóc.

W swojej książce poświęconej wypaleniu u kobiet piszesz o „ludziodogadzaczach".

To dotyczy nie tylko wolontariatu, ale pracy, relacji w rodzinie, ze znajomymi. Chodzi o ludzi z potrzebą pomagania, nawet bez pytania, czy ktoś tego chce albo potrzebuje. Jak w święta – nikt nie prosi o dwanaście dań, ale i tak ktoś się zarzyna, żeby wszystko było idealnie. Pada na twarz i potem ma żal, że nikt tego nie docenia. Moja babcia tak miała. Nie siadała do stołu, tylko do końca wigilii biegała. Tomasz Stawiszyński celnie nazywa to ucieczką od bezsilności – często działamy w maniakalnej kompulsji, jak w maniakalnej fazie choroby afektywnej dwubiegunowej.

Czy jedne zawody są bardziej podatne na wypalenie niż inne?

Tak, to zwykle zawody, gdzie bardzo dużo jest kontaktu z drugim człowiekiem, interakcji, bólu, cierpienia. Zawody pomocowe: lekarze i w ogóle cały sektor medyczny są dramatycznie obciążeni. Chory system, za dużo pacjentów, za dużo cierpienia. Podobnie nauczycielki – tu dochodzi często niskie poczucie sprawczości, niska ocena społeczna, nadmierne wymagania i odpowiedzialność w stosunku do zarobków. Wreszcie służby mundurowe, gdzie często zachodzi obawa o bezpośrednie zagrożenie życia czy zdrowia.

I weterynarze...

Tak, to jedna z grup największego ryzyka. Nie tylko leczą, ale przecież często też pomagają odejść, mierząc się jednocześnie z bólem zwierzęcia i cierpieniem właściciela. To ogromny ciężar emocjonalny. Ale nieoczywistą grupą ryzyka są osoby pracujące w *call center*. Mają bardzo wysoko postawione cele, muszą bezustannie rozmawiać z ludźmi. W najlepszym wypadku ktoś się rozłączy, ale codzienne wysłuchiwanie obelg pod swoim adresem bywa jednak trudne. A to ich codzienność. I jeszcze menedżerowie w korporacjach, zwłaszcza IT. Ciągłe podróże, zmiany, trzy miesiące w Dubaju, dwa w Japonii – brak stabilności, brak relacji, brak korzeni. To też wypala.

Ale przecież to wszystko może dotyczyć każdego – również kierowcy, murarza, elektryka.

Oczywiście. Wypalenie nie wymaga tytułów naukowych ani elitarnej pozycji. Może dotknąć każdego, kto stracił zapał do pracy i nie czerpie z niej satysfakcji. Po prostu przestaje się czuć sens tego, co się robi – to najważniejszy objaw.

Piszesz też o „pierwszej pomocy emocjonalnej". Co to właściwie jest?

Może jej udzielić każdy. Gdy widzisz, że ktoś przeżywa trudny moment, że cierpi, po prostu to zauważasz. Nie udzielasz rad, nie oceniasz, nie mówisz: „inni mają gorzej". Tylko jesteś. Mówisz: „Widzę, że jest ci trudno. Jestem obok. Czy mogę coś zrobić?". Czasem wystarczy być – usiąść obok, potrzymać za rękę, nic więcej.

Zdrowa, mądra empatia.

Jeśli rozumiemy empatię jako bycie z drugim człowiekiem, a nie poprawianie go, to tak. Nie mówimy: „nie przesadzaj, nie powinno być tak źle", tylko „widzę cię, słyszę cię". I to jest właśnie pierwsza pomoc emocjonalna. Nie rady, nie analizy, tylko obecność. A dopiero potem – jeśli sytuacja jest poważniejsza i widzimy lub słyszymy taką potrzebę – można zaproponować kontakt z psychologiem, podać numer pomocowy. Często za szybko przechodzimy do dawania rad, a ludzie najczęściej chcą po prostu być wysłuchani.

I co ważne – nie mówimy wtedy o sobie. Te wszystkie „a mówiłam ci", „ja bym tak nie zrobiła" – nie mają nic wspólnego ze wsparciem, są jedynie próbą pokazania własnej „mądrości".

Wyobraźmy sobie, że jestem przedstawicielem zawodu z grupy ryzyka albo wolontariuszem, który pomaga ludziom w kryzysie i styka się z ich emocjami. Jak zadbać o siebie?

Ważne jest, żeby na bieżąco dokonywać samoobserwacji. Zadawać sobie trzy podstawowe pytania: „Jak się czuję?" – czyli

nazwać swoje emocje. „Czego potrzebuję?" – może krótkiej przerwy w ciągu dnia? Zamknięcia oczu, posiedzenia w ciszy, zjedzenia czegoś dobrego, nierobienia niczego, przytulenia psa, pocałowania żony czy męża, zamknięcia komputera, wyjścia na chwilę? I trzecie: „Co mi pomoże się odnaleźć?". Może mam zapieprz, ale ta kawa przy kadzidełku, fajna muzyka, piesek obok, przyjaciółka, ulubione ubranie – mogą mnie „uprzytulnić". Jednak te trzy pytania to dopiero początek.

Taki pakiet startowy?

Tak, bo kiedy jest ciężko, warto się zatrzymać. Może zauważymy wtedy, że sen po pięć godzin na dobę przez trzy miesiące to średni pomysł. Może zaczniemy spacerować, lepiej jeść, stawiać granice. Przestaniemy odbierać telefon po 17. Zauważymy, co nas irytuje. To są alerty. Gdy śpię po pięć godzin, to prędzej czy później coś mnie rozłoży. Trzeba się zaopiekować pierwszym klockiem domina. Odciąć się na chwilę od pracy czy fundacji, zregenerować się. Przecież jak padnę, to nikomu nie pomogę. Sen, odpoczynek, nawodnienie – to fundament. A potem nauka bycia niedostępną. Zobaczenie, że świat się nie zawali, kiedy nie odbiorę telefonu.

Telefon i komputer ładujemy codziennie, a siebie – nie. Traktujemy siebie nie jak sprzymierzeńca, lecz jak wroga. Zbyt często troska o siebie wydaje się nam egoizmem.

Słyszeliśmy pewnie jako dzieci wiele razy: nie bądź samolubem.

To też kwestia kultury. Zobacz, jak to się odbija nawet w językach. W języku rosyjskim litera я [ja] jest na końcu alfabetu. Natomiast angielskie *I* – zawsze pisze się wielką literą. Tam car, dyktatura, podporządkowanie, jednostka spychana na sam koniec. Tutaj autonomia, indywidualizm i zadbanie o siebie oraz swoje potrzeby. Bo Ja jestem ważny.

Ile jest prawdy w tym, że kryzys może być początkiem czegoś nowego?

Może to być moment przełomowy, ale bardzo ważna jest umiejętność dostrzeżenia punktu, od którego możemy się odbić. Często to się nie udaje bez pomocy specjalisty. Gdy z pomocą psychologa zauważę, że jestem perfekcjonistką, która rzeźbi 800 godzin w czymś, co niczego nie zmienia – i nauczę się odpuszczać – to odzyskuję czas, energię, relacje, zaczynam żyć zdrowiej i szczęśliwiej. Ale to nie znaczy, że każdy, kto się spali, powstanie jak feniks z popiołów. Kryzys może być transformujący, ale to od nas zależy, co z nim zrobimy. Warto też pamiętać, że kiedy padniemy, obciążamy sobą innych – rodzinę, bliskich. Nie tylko my cierpimy, ale i oni.

Mówiliśmy o etykietach: nie wyrabiasz się – jesteś leniem; dbasz o siebie – jesteś egoistą. Gdzie znaleźć balans?

Każdy ma prawo czasem powiedzieć: nie, nie dam rady. Nie dlatego, że jest leniwy, tylko dlatego, że ma już za dużo. Może trzeba dorosnąć do świadomości, że czasem ktoś pomyśli, iż jestem leniwa. Trudno, niech sobie myśli, to jego sprawa, nie moja. To trudne, szczególnie dla kobiet, które nie potrafią stawiać granic, ale niezbędne. W swojej książce pt. „Odwaga bycia nielubianym" japońscy filozofowie Ichiro Kishimi i Fumitake Koga piszą: zdrowie psychiczne zaczyna się wtedy, gdy akceptujesz, że nie wszyscy będą cię lubić. A ja mam kubek Marty Frej z napisem: „Nie mogę przejmować się tym, co mówią inni, bo innych jest wielu i każdy mówi co innego".

A mimo to tkwimy w kompulsji zaspokajania cudzych potrzeb.

Dlatego czasem trzeba po prostu – proszę wybaczyć – czymś p...dolnąć, żeby wydostać się z chorych mechanizmów.

Ale równocześnie zadbać o relacje.

Relacje to czynnik ochronny. Kilka życzliwych, serdecznych osób to moja wspólnota. Ludzie, którzy powiedzą: „Nie jesteś sama. Zawiozę cię. Przyniosę zupę ". Bez oceniania, bez rad. Psychoterapia, bliscy i ruch – to moje trzy filary, które pomogły mi odbudować życie po moim kryzysie. Oczywiście, nie każdy potrzebuje terapii, ale jeśli trudności dezorganizują życie, jeśli to boli – to już sam nie ogarniesz. Trzeba pamiętać, że zaopiekowanie się sobą to akt odwagi. Świat potrzebuje ludzi żywych, a nie półprzytomnych z wypalenia. ©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

REKLAMA


TOMASZ

Stawiszyński: *Wyższa konieczność*



Chciałbym zwrócić uwagę na pewną szczególną prawidłowość. Uświadamianą najczęściej tylko połowicznie. Otóż niemal każdy, kto postanawia czynnie uniemożliwić komuś innemu wypowiadanie jego poglądów – nierzadko przekraczając przy tym granice grzeczności albo nawet prawa – robi to z przekonaniem o absolutnej słuszności własnej postawy. Owszem – rozumuje ktoś taki – może i zakłócam porządek albo nawet posuwam się do werbalnej lub czynnej agresji, niemniej wymaga tego szlachetna sprawa, o którą walczę. Słowem: działam w stanie wyższej konieczności.

Rzecz w tym, że środkami oraz argumentami tego typu posługują się zwolennicy każdej ze stron politycznego spektrum. Wspomniana połowiczność polega zaś na tym, że choć własne transgresje usprawiedliwiają słusznością i wyższą koniecznością, to zarazem głośno potępiają analogiczne transgresje dokonywane przez innych. Generuje to sytuację osobliwą, jakby istniały obok siebie dwa (albo więcej) alternatywne uniwersa. W jednym z nich doprowadzenie do, dajmy na to, odwołania spotkania z pisarzem jest wyrazem słusznego oburzenia wobec głoszonych przez niego bezeceństw. W drugim, w którym owego pisarza uważa się za co najmniej niekontrowersyjnego, ocenia się to odwołanie jako akt inwazji i zapowiedź mrocznych czasów. Ale niech no tylko w tym drugim uniwersum pojawi się, dajmy na to, pisarz uważany w pierwszym za co najmniej niekontrowersyjnego. Wówczas nierzadko ci, którzy przed chwilą rozpaczali nad nadchodzącymi mrokami, ochoczo napiszą petycję o odwołanie spotkania z nim. Nie będzie to już w ich oczach żaden akt inwazji. Będzie to słuszna i potrzebna demonstracja. Z kolei mieszkańcy pierwszego uniwersum, którzy przy poprzedniej okazji analogicznie uzasadniali swój sabotaż, zaczną natychmiast podkreślać, że oto doszło do aktu inwazji, który zwiastuje mroczne czasy.

Stosuje się to oczywiście nie tylko do spotkań z pisarzami, intelektualistami czy naukowcami, lecz także do wystaw muzealnych, sztuk teatralnych czy projekcji filmowych. W każdym przypadku odwoływać, inwadować i protestować, z użyciem przemocy (symbolicznej bądź dosłownej) lub bez, wolno wyłącznie tym, którzy mają poglądy słuszne i działają w stanie wyższej konieczności. Inaczej mamy do czynienia z warcholstwem, zamachem na wolność, aktem społecznej destrukcji. Problem tylko w tym, że wszyscy zawsze tak o sobie myślą – że mają słuszność i działają w stanie wyższej konieczności – a jednocześnie tracą z oczu fakt, że wszyscy zawsze tak o sobie myślą.

W odpowiedzi usłyszę teraz, że istnieją przecież poglądy niedopuszczalne i jeśli ktoś je w przestrzeni publicznej wygłasza, trzeba koniecznie protestować, niekiedy w sposób drastyczny. Podobnie – są instytucje i osoby propagujące różne opresyjne dyskursy, tym zaś należy się sprzeciw.

Odpowiem: wszyscy zawsze tak mówią, ale tylko o poglądach, z którymi się nie utożsamiają. I wszyscy tak odpowiadają na konstatację, że wszyscy zawsze tak mówią, ale tylko o poglądach, z którymi się nie utożsamiają. Przy czym – znów reaguję na standardowo pojawiający się w tym momencie zarzut – wcale nie twierdzę, że wszystkie racje są równe albo że nie istnieją poglądy zasługujące na to, żeby je z przestrzeni publicznej rugować (istnieją – m.in. takie, których artykulacji zakazuje prawo). Mówię coś odwrotnego. Z tego właśnie, że każdemu się zawsze wydaje, że jego poglądy są słuszne i że działa w stanie wyższej konieczności, wynika poniekąd, że nie wszyscy równolegle mają rację. A także że nie wszystkie poglądy stoją na tym samym poziomie.

Rzecz w tym, że ustalanie, kto ma rację, a kto się myli, kto głosi poglądy słuszne i moralne, a kto się słuszności i moralności sprzeniewierza, w warunkach demokracji może przebiegać tylko w jeden sposób: za pomocą rozmowy. Taka rozmowa zaś może być niekiedy procesem długotrwałym, a niekiedy nieskończonym. Jednak nawet pomyślne jego zakończenie nie oznacza automatycznie, że poglądów niesłusznych i niemoralnych już nie wolno głosić. Przeciwnie, w demokracji wolno głosić (i posiadać) zarówno poglądy słuszne, jak i niesłuszne, moralne, jak i niemoralne – z wyjątkiem tych, których głoszenia zakazuje prawo.

To szczególne osiągnięcie zachodniej cywilizacji – wykuwanie kształtu sfery publicznej przez debatę, nie zaś przy pomocy siły. Owszem, w historii różnie z tym bywało. Owszem, dziś rządzą manipulacje i perswazje, koterie i histerie, a rozwijającą się technologię świetnie się do nich wprzęga. Ale groźniejsza niż technologia, grupy interesów czy cokolwiek innego jest ta osobliwa nieświadomość: wszystkim, którzy pragną uniemożliwić innym głoszenie ich poglądów, zawsze się wydaje, że mają słuszność i w związku z tym działają w stanie wyższej konieczności.

Zapominają przy tym, że w każdej chwili również ich poglądy ktoś może arbitralnie uznać za niedopuszczalne, przyznać sobie prawo do zakazywania ich ekspresji, a następnie siłą to wyegzekwować. A skoro tak, to *summa summarum* ostaną się nie te, które są najlepiej uzasadnione, lecz te, których zwolennicy dysponują większą siłą. Do tego bowiem prowadzi zamykanie ust innym – do rządów siły. I do takich rządów właśnie zmierzamy, przekonani, paradoksalnie, że przecież mamy słuszność i działamy w stanie wyższej konieczności. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00



SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8

SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
YOKOHAMA

REKLAMA